BIBLIOTEKA
POLSKA.

WITWICKI
ZBIÓR PISM
OMNIEJSZYC

I.

LIPSK.
F.A.BROCKHA

76

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXXVI.

ZBIÓR
PISM POMNIEJSZYCH

UTWORU

STEFANA WITWICKIEGO.

TOM PIERWSZY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1878.

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Nr 509475
Inwentarz czytelni
w Białymstoku

CZYTELNIA KSIĄŻEK
821.162.1-1/2

Od wydawnictwa.

Przyjąwszy w poczet tomów «Bibljoteki pisarzy polskich» najsławniejszy utwór literacki Stefana Witwickiego pod tytułem «Wieczory pielgrzyma» nie mogło wydawnictwo na ogłoszeniu jego w swym czasie poprzestać, ale skrzętnie się starało, aby i inne prace tak poetyczne jak i prozaiczne tegoż autora wydobyć z niepamięci, dla ozdoby swego doboru, oraz przekazania ich polskiej potomności.

Starania te długo nie dały się przywieść do skutku, bo trudno było odnaleźć porozrzucane po różnych stronach prace, i odpowiedni wybór z nich uczynić.

Dziś nareszcie ofiaruje wydawnictwo «Bibljoteki pisarzów polskich» w dwóch tomikach «Zbiór pism pomniejszych», szczęśliwe, że tym czynem przysługuje się literaturze ojczystej, wznawia pamięć o jej sławnej przeszłości.

W małych ramach podane tu prace Stefana Witwickiego, przedstawiają niby najwierniejszą fotografję tego pisarza, a wznawiając czystość marzeń i zamysłów jego, dają wzór wolnomyślnego rodaka, co, pomimo wpływu nowoczesnej oświaty, jaka w on czas do Polski razem ze szkołą romantyzmu, za przewodem wieszcza Adama Mickiewicza, wpłynęła, potrafił się zdrowo przy raz zdobytem poczuciu, jako stworzenie w obec wszechmocy

Boga utrzymać i zachował tę zasługę aż do najpóźniejszych czasów walk religijno-politycznych, życia emigracyjnego we Francji. Wszelkie napady materjalizmu z bronią niedowiarstwa ówczesnego we Francji, nie zdołały Stefana Witwickiego od raz obranej drogi oderwać i zdyskredytowały go w zwolennikach nowej szkoły piśmiennictwa polskiego na Emigracji do tego stopnia, iż najsławniejsi autorowie krytykowali dążności jego w utworach swych, publicznie.

Wydawnictwo «Bibljoteki pisarzy polskich» nie mając na celu propagowania jednej lub drugiej odrośli poczuć i dążności narodowej, ale pragnąc wybudować swą publikacją wspaniały pomnik literatury ostatniego wieku w tejże dążności — wydawnictwo to uważało się obowiązanem do działania na raz obranej drodze i przy publikacji niniejszej. Tem bardziej chętnie się dzisiaj ze swego zadania wywiązuje, iż utwory Stefana Witwickiego pod każdym względem na zachowanie zasługują — porówno: poezje religijne, piosnki sielskie, wiersze różne, jak i jego proza, do jednego wielkiego celu, do podniesienia i umoralnienia polskiego narodu dążące.

Oby więc i wznowione wydanie tych zaszczytnych prac ulubionego autora dopomogło osiągnąć świętego nam zamiaru, wywdzięczając się przytem samemu twórcy tomików niniejszych, przez udzielenie im honorowego miejsca w wieczystej pamięci narodu.

Lipsk, 1878 roku.

Spis rzeczy.

Strona.

Edmund.

Przedmowa . . . 2
Księga I. . . . 5
Księga II. . . . 28
Księga III. . . . 65

Poezje biblijne.

Tobijasz . . . 93
Ruth . . . 108
Samson . . . 112
Saul i Dawid . . . 115
Płacz grzesznika . . . 124
Bitwa i zgon Abnera . . . 126
Edyssa . . . 127
Izmael . . . 129
Znalezienie Rebeki . . . 131
Poddanie się . . . 133
Pokutnik . . . 133
Odbudowanie kościoła . . . 137
Wołania . . . 140
Esdrasz i anioł Uriel . . . 147
Śmierć Machabejczyków . . . 152
Miasto święte . . . 155
Treny przychodnia . . . 158

Piosnki Sielskie.

Żołnierz . . . 169
Matka . . . 170
Marzenie . . . 171
Hulanka . . . 171
Poseł . . . 172
Syn . . . 173
Opuszczona . . . 174
Powrót . . . 175

Strona.

Piosnka gajowego 176
Gołąb 177
Czary 178
Ucieczka 179
Narzeczony 179
Smutna rzeka 181
Jelonki 181
Dwaj młodzieńcy 182
Pieśń przy umarłym 183
Wojak 184
Podstęp 185
Grób kochanka 186
Mogiły 187
Podróż 187
Zasadzka 188
Życzenie 189
Wiosna 190
Gdzie lubi 191
Żal matki 191
Wyjazd 192
Bławatek 193
Prośba 194
Wieniec 194
Gość 195
Rószczka 196
Stróż grobu 197
Piosnka dziada 198
Płótno 199
Pierścień 200
Przyczyna 201
Żebraczka 201
Ptaszek tajemniczy 202
Obrazek 203
Przypadek 204
Strzelec 205
Kwiatki 205
Ostrożność 206
Tułaczka 207
Koń grabarz 207
Kukułka 208
Zawód 209
Bociany 210
Trzy plamy 212
Cudzoziemiec 213
Wdzięczność 213

Wiersze różne.

Do *** 219
Dziewczę 220

Strona.

Kukułka 222
System filozoficzny 224
Rozmowa z Michałem 225
Rachunek życia 228
Prostak wiejski 232
Do dziecka 233
On 234
Sądy Boże 236
Pamięci J. P. Woronicza 238
Do Antoniego Oleszczyńskiego 240
Do sosny polskiej 243
Pielgrzym 244
Modlitwa 245
Chmura 245
Obecność Stwórcy 245
Wielkość 246
Zmarszczki czoła 246
Kwiatek 246
Mądrość 247
Kunsztmistrz 247
Dwa wieki 247
Człowiek i ziemia 248
Spojrzenie umierającego 248
Myśl i morze 249
Sędziowie 249
Ziarno 249
Bitwa nad Lorą 250
Krotar 257
Minwana 261

EDMUND.

PRZEDMOWA.

W niniejszem dziele chciał autor wystawić charakter, cierpienia, i obłąkanie zapaleńca, (entuzjasty), tak same w sobie, jak w stosunku do innych ludzi.

Wiek, w którym poezja, stargawszy form i prawideł okowy, uniosła się aż do przesady w kraj fantazji, tęsknot, i melancholji, w którym filozofja, broniąc się nieczułości i ślepocie materjalistów, zaczęła przechodzić w drugą ostateczność: w mistycyzm i idealizm; wiek dzisiejszy przysparza ofiar tej przemożnej serca i głowy choroby, którą zowiemy egzaltacją, a która dla towarzystwa tem jest nieszczęliwszą, że chwyta się wyłącznie dusz piękniejszych, umysłów głębszych i szlachetnych.

Oddani na pastwę wybujałym i pożerającym uczuciom, płomieniem rospasanej czułości namiętnie trawieni, entuzjaści, otaczają się samotnością i czarnym smutkiem, w czczych marzeniach marnując najświetniejsze zdolności: w boleściach myśli wpadają w mizantropję, a nie wsparci pociechą i siłą wiary, chociaż niekiedy pełni religijnego uczucia, dochodzą często do zbrodni samobójstwa. Cierpienia tych istot nadzwyczajnych ile smucą i oburzają surowego moralistę, tyle znów dla wyobraźni poety bogate otwierają pole.*)

*) Tu jest miejsce przypomnieć że często imieniem entuzjastów nietrafnie szafujemy. Nieraz to nazwanie dają ludziom, którzy są tylko szarlatanami, lub nieuważnymi rosprawiaczami.

Każde wielkie uczucie może mieć swój entuzjazm. Edmund jest ofiarą entuzjazmu poezji.

Autor ku lepszemu wydaniu obranego przedmiotu, namiętność, którą miał przedstawić, odosobnił zupełnie od innych. Edmund nie jest nawet zakochanym. Przez to straciło pismo na żywszym interesie i stało się trudniejsze: wszakże jego myśl główna zyskać na tem powinna.

Jest pewien rodzaj ludzi w szyderstwo obracających to wszystko, co już dla nich przestaje być poważnem; zowiących nieturalnością i fałszem co tylko się nie mieści w ich osobistych granicach; ludzi a raczéj pół-ludzi, którzy w martwości czucia, w ograniczeniu myśli cały przestwór krajów imaginacji chcieliby cyrklem i linją przemierzyć, a działaniom umysłów jakby pokłonom niewolników przepisać jednostajne i niezmienne formy. Dla nich świat nie ma dziwów, życie tajemnicy, i jest tylko miejscem, porą do obrania stanu, zrobienia tej lub owej *karjery*, i załatwiania interesów. Nie dla takich historja cierpień Edmunda. I żałować należy równie ich samych jak tej książki, jeśli kiedykolwiek ma być od nich czytaną.

Prawda, że dramatyk szukający osób nie między zwyczajnymi ludźmi, unosząc się nad pospolite życia stosunki, wychodzi na niebespieczniejsze pole; że mierność chcąc się dźwignąć w kraj pomysłowy, upada tem niezgrabniej, im bardziej się oddala od zwykłych podpór, im mniej może użyć miary przepisanej. Ale ograniczać myśli i uczucia jedynie wypadkami i prozą powszedniego z powszednimi ludźmi pożycia, aby się nigdy nie wzniosły nad ten padół małości, niewoli i nudów: byłoby to ubliżać losowi człowieka i umyślnie poniżać powołanie talentu.

Niech rozsądek stoi na straży naszej drogi ziemskiej; ale czyliż idzie za tem, aby się wyrzekać wszystkiego co pod jego widoki i wnioski nie łatwo da się podciągnąć? Myśl nie maż mieć swoich skrzydeł, dusza, swego świata? Nadzmysłowość nie jest chimerą: tam czujące serce ciągle się kieruje, stamtąd ludzkość wzięła swoje najwyższe zaszczyty.

Autor nie śmiał swego pisma nazwać dramą: gdyż do tego wyrazu łączy się wyobrażenie reprezentacji, a Edmund nie jest dziełem teatralnem; a przynajmniej nie był dla sceny pisany.

KSIĘGA I.

(Piękna okolica Szwajcarji, ożywiona pogodnym wschodem słońca.)

WILHELM, WACŁAW

(wchodzą).

WACŁAW.

Nawet w dzieciństwie już to nie było jak dzisiaj, ale pan Wilhelm sam zobaczy że się coraz pogorsza, chociaż te kilka czasów powinny były jak dzień przelecieć, a zwłaszcza, mój Boże, w tym pięknym wieku.

WILHELM (zatrzymując się).

Lecz powiem ci, poczciwy Wacławie, że już doprawdy czuję się zmęczony.

WACŁAW.

Można trochę wypocząć. W tym kraju, gdzie stanąć to pięknie, aż oczom miło. Jak ja się cieszę że łaskawy, kochany pan Wilhelm znowu z nami się zjechał. Panom to tam nie tyle, dla nich wszędzie i zabawa i rozmowa; ale biedny sługa jak z domu wyjedzie, to stałby się ptakiem a wracał do swoich. Miłoż to z ust czyich choć usłyszeć o kraju; a pan Wilhelm choć cudzy, tak dobrze z nami o tem rozmawia. Jabym się nigdy w tę podróż nie puszczał; już trzeci rok tak idzie, iż człowiek tylko nudzi i nudzi, nie ma do kogo i przemówić; a zostawiło się i kobietę i dzieci małe. Już to jegomość krzywdy im nie dozwoli, w każdym liście na końcu dopisuje: ale myślę sobie, jak ma jechać obcy; wychowałem się w tym

domu — a potem czy zasłabnie w drodze, czy co, nie będzie komu dojrzeć, dopilnować . . . Pojechałem.

WILHELM.

Dobry Wacławie, poświęcenie się twoje znalazło nagrodę w sercu twego pana.

WACŁAW.

Jużcić to zawsze było serce najlepsze: gdybym pieniędzy nie trzymał, to jak przyjdą z domu w jednymby ich tygodniu rozrzucił; sam biednych szuka, a daje jakby nie wiedział co pieniądz znaczy. Żeby tylko sam siebie tak kochał jak jego ludzie kochają. Cóż, kiedy te książki, te nieszczęścia: jak weźmie myśleć, myśleć Bóg wie o czem i na co, nie doje, nie dośpi, chodzi, a zawsze sam, zawsze smutny, że człowiekowi aż nie wiem co się dzieje. Cóż dziwnego, wielmożny panie, człowiek nie kamień; nie dać sobie takiej wygody, schnie w oczach prawie. Nigdy dla niego żadnej zabawy, uciechy, w takim wieku co to inszym aż ziemia pali się pod nogami. Ja nawet nie wiem jakie tam myśli do niego przystępują: a mów mu o tem to niech Bóg broni. Jego pan ojciec miał ich pięcioro, a proszę było widzić co za męszczyzna, gdyby nie przygoda sto lat by przeżył. A ten unika ludzi jakby strzeż Boże czy zabił kogo, czy wyklęty. Zawsze jakieś przemyślania, smutki; jak zacznie medytować, medytować gdyby pustelnik, to insi spią już od dawna, on siedzi po nocach, oprze się lub patrzy w górę, właśnie nie równając jak nieme stworzenie. Ja mówię: panie Edmundzie, czemu się pan Edmund nie rozbiera, po co panu te myśli? jegomość przykazywał żeby zdrowia szanować: to jak spojrzy to aż z nóg zwali, (ocierając oczy) trup i trup właśnie, tylko oczy palą się strasznie, jakby co przystąpiło do chłopca; nic nie odpowie, bierze kapelusz i idzie śród nocy, że ja już potem i gadać się boję. Daż mnie pan wiarę że to czasem będzie cały tydzień taki co . . . (znowu łzy ocierając, z ciężkiem westchnieniem) ot, co już pomoże mówić; skaranie nieba i dosyć.

WILHELM.

Kochany Wacławie, los twego pana i mnie mocno dotyka. Trzy miesiące spólnego w okolicach Rzymu pobytu, dały mi

w nim poznać młodzieńca najpiękniejszych przymiotów. Jego szlachetny lubo dziwaczny charakter, i smutek którym młodość swoją otoczył, rychło mu ujęły me serce; i gdyby mię na miejscu nie zatrzymała słabość niestety, żony, dla której właśnie podróż podjąłem, nie tak byśmy się prędko wtedy rozłączyli. Dzisiejsze moje z nim spotkanie sprawia mi prawdziwą przyjemność, i niecierpliwie radbym go już uściskał. Może też towarzystwo moje i mej córki przyniesie mu jakie rostargnienie.

Ale istotnie musiał wyjść bardzo rano, kiedy obudziwszy się ze wschodem słońca, już go w domu nie znalazłem. Nie wątpię iż wcale nie wie o naszem przybyciu.

WACŁAW.

Ale bo też tak cicho państwo zajechali, że ja nawet nic nie słyszałem. Za sen widzę ręczyć nie można. Dopiero dziś powiadają, przyjechał jakiś pan z córką; ani mi w głowie żeby to znajomy, aż po głosie pana Wilhelma poznałem. Pan Edmund nie widzi co się w dzień dzieje, a dopieroż miałby wiedzieć kto w nocy do oberży zachejał: nie widziałem nawet jak wyszedł przed świtem, tylko chłopiec powiadał że poszedł w tę stronę. Już to najgorsze te Włochy. Czego on tam z sobą nie wyrabiał jakeśmy od państwa odjechali! Ośm tygodni będzie pojutrze, jak jeździmy po Szwajcarach i tu już jest przynajmniej spokojniejszy; ale bywało tam: to panie niedroby naród, powymyślali te tam figury, rozwaliny, tyle tego, a wszystko żeby wyciągać pieniądze i mamić panów że tak kiedyś było. W jednem panie miejscu takie rudera, kamienie, rozwaliska, że to zwyczajnie jakiś zamek Króla, wielkie więzienie czy magazyny kiedyś stały, dosyć że my tam przyjechali: ja widzę że już porosło zielskiem choć kosić, po co i czas darmo tracić; on jak zaczął chodzić, chodzić, patrzy, wzdycha, coś gada po francusku, rzuca rękami, głową: ot nikt nie uwierzy, dosyć że tak było, płakał panie i nieme kamienie jak rodzonego ojca całował . . . Straszne rzeczy, myślę sobie, aż on mnie ściska i krzyknął: "Co myślisz?" Powiedziałem co prawda, że to właśnie jak u nas w domu, kiedy jegomość kazał stary lamus rozrzucać: szczęściem że nie miał

w ręku kamienia; jak cisnął mi w oczy kapeluszem jakby Boże broń od pamięci odchodził: a to niech się z tego miejsca nie ruszę, jeżeli zmyślam i jeżelim insze jakie słowo albo w złej myśli co powiedział.

WILHELM.

Kiedy go widzisz tak czem zajętego, nie trzeba mu się sprzeciwiać, dobry Wacławie; gdyż czasem pomimo woli możesz mu istotną przykrość wyrządzić.

WACŁAW.

A ktoby tam chciał się sprzeciwiać ... Ale długo, długo jeszczeby mówić, gdybym miał o wszystkiem. Onegdaj taki deszcz, burza — jego nie ma; już noc zapada, pytam się ludzi, bo go tu wszyscy znają z jałmużny i z takiego życia: widzieli mówią na smętarzu. Przychodzę; na kamieniu leżał jak kamień drugi; przemokły, blady, w ręku kapelusz, na oczach chustka, pod głową tylko jakaś książka była. Panie Edmundzie, na miłość boską! Co pan tu robisz w takiej burzy, przecież i suknia kosztuje. Ledwiem się słowa dopytał. "Dobrze mówisz, odpowie, na kamieniu burza, trzeba się pod kamień przed nią schować." Żeby zaś młody chłopiec takie miał myśli! Gniewał się, dąsał, poszedł przecie do domu. Czyż pan rozumie że człowiekowi nic się nie dzieje, patrząc jak się to dziecię pańskie marnuje i poniewiera? Ucieka od ludzi jakby bez edukacji żadnej, śpi po smętarzach, nie gada, nie bawi się, nie użyje ...

(Wyjmuje z kieszeni list.)

WILHELM.

Cóż to masz za papier?

WACŁAW.

To ja chciałem panu powiedzieć o czem nikomu jeszczem ani wspomniał, a on broń Boże żeby się dowiedział. (Z tajemnicą.) Widząc ja panie że to coraz gorzej i gorzej, znalazlem chłopaka i podyktowałem list do jegomości. Pan Edmund wie żem niepiśmienny i ani się domyśla, a to już siódmy tydzień jak list przez pocztę posłany. (Rozkłada list i pokazuje.) Tutaj się

pomylił i powalał bo i sam niekoniecznie był nauczony, otóż przepisał na nowy papier, a ten mi się został. Proszę pana.

WILHELM.

Uważ mój przyjacielu że ja, obcy człowiek, nie mam żadnego prawa do tajemnic familji.

WACŁAW.

Nie ma tu żadnych, pan to wszystko już wie; a potem dla takiego łaskawego co jabym miał do ukrywania? Niech tylko pan Wilhelm serjo do niego, po ojcowsku, żeby przecie wziął rospamiętanie. Bo cóż, ja gadam, zwyczajnie sługa, to właśnie jakby nie słyszał. (Podając list.) I proszę powiedzieć czy ja tu dobrze wszystko opisałem.

WILHELM (czyta).

„Jaśnie wielmożny mój panie i dobrodzieju. Co mnie pan roskazałeś wedle tego, com wierny sługa zawsze był, ja też panicza doglądam wiernie służąc, rzeczy wszystkich tu pilnuję, a to przez pewną okazję już donoszę; ale niech pan będzie łaskaw żeby na mnie nie było winy, bo pan Edmund nie wie, a mnie żal patrzeć bo to sam dyktuję, panu wiadomo żem niepiśmienny. Żeby wracał tobym już czekał, ale od roku mówi do domu do domu, a ja co prawda donoszę że my zawsze u cudzych, a pieniądze idą, chociaż sam wszystko trzymam; teraz mówi do Szwajcarów, potem może znów do Włochów, tam najgorzej jak weźmie myśleć i nic gadać, a tak smutny jest, że ja się modlę: nic nie pomaga. Według tego co był w domu, to teraz daleko i strasznie gorzej, i taki smutny że pobladł i zmizerniał bardzo co prawda, a nie daj Boże, byle co to gada o śmierci na moje stare lata w takiem nieszczęściu. Wczoraj już późno było siedział sam nad książką, co ja od maleńkości mówiłem nic nie wart nadto pisma, dziecko dzieckiem a po co tyle czytania, zdrowia nie będzie; na cóż zda się, choćby najwięcej ochoty i sposobieństwa —?

(Patrzy na Wacława.)

WACŁAW.

To ja sam wszystko dyktowałem, on tylko pisał, bo zwyczajnie młody jeszcze chłopak; kazałem słowo w słowo i nic

nie odmieniać. (z uśmiechem.) A nie chwaląc się, nie było komu do szkół oddawać wielmożny panie.

WILHELM (czyta dalej)

"siedział, tak ja przychodzę żeby się rozbierał, aż sam już zrzucił kamizelkę; przed nim na książce małe portrety co wziął na wyjezdnem od panny Anieli . . .

WACŁAW (przerywając.)

To siostra pana Edmunda, kochane paniątko.

WILHELM (czyta.)

"nieboszczyka ojca i nieboszczki pani, a zapłakany strasznie był jakby dopiero umierali; siedział podparty i w ręku trzymał pistolet a koniec jego, nie dopuść Matko Boska, miał w ustach; porwał się prędko i powiedział «ja tylko próbuję, nie chcę nikogo w nocy przebudzać.» Mnie żal się bardzo wziął dziecka, gadałem na niego, on zaczął całować jakby równego żebym nie płakał, potem ukląkł i długo modlił się serdecznie: ja układałem rzeczy w walizie i umyślniem nie brał światła aż dobrze zasnął: wziąłem pistolet, nabity był. (Przestawszy czytać:) Nie wspomniałeś mi o tym przypadku. (Czyta dalej:) "Boję się, przeczuwam, żeby nieszczęście jakie nie spotkało, bo coraz gorzej i gorzej donoszę, pan Edmund pewno jeszcze nie zaraz będzie powracał, a pan dawniej pisałeś że do nas przyjedziesz, a donoszę że dotąd nie przyjechałeś; niech pan jaki sposób względem tego uczyni, wszak to dziecko nieboszczyka brata pańskiego i serce najlepsze, a Panie broń, coś do niego przystępuje, i zawsze bardzo smutny jest, bardzo proszę pana. Ja to wszystko dyktuję, całuję nogi pańskie, wierny sługa. Wacław."

WACŁAW.

Jakże się panu ten list wydaje?

WILHELM (oddaje pismo.)

Nic mi nie mówiłeś o tym przypadku. Stan Edmunda jest prawdziwie zatrważający. Jakąż pokładasz nadzieję w przesłaniu tego pisma?

WACŁAW.

Przecież jegomość jest jego rodzonym stryjem i kocha ich jak ojciec właśnie, a trudnoż było czekać, aż broń Jezu jakie

nieszczęście przypadnie, kto za niego może ręczyć? Bo pan Wilhelm nie wie że jegomość także miał tu jechać z panną Anielą, bo jest wdowiec, a ona jak panią w domu, jak oko w głowie, i lekarze mówili żeby do ciepłych krajów jechała: tylko znać przyszła teraz do siebie to siedzą w domu, bo komu to miło taki świat przejeżdżać!

(Głośniej i pokazując:)

Ale proszę pana! tażto pan Edmund stoi na skale, tam odwrócony. Płaszcz jak za sobą wlecze, a nowiuteńki, nic nie zaszanuje.

WILHELM.

Poznaję go; idźmy.

WACŁAW.

Ja wrócę do domu — on i tak się gniewa że za nim chodzę.

WILHELM.

Zwraca się w tę stronę.

(Odchodzi naprzeciw Edmunda.)

WACŁAW, sam.

Dobry pan i grzeczny, i Bogu niech będą dzięki że tu przyjechał; może przy nim rozerwie się, mając przecie do kogo co powiedzieć. (Składa list i chowa.) A dobrze przeczytał, nie ma co mówić; (z uśmiechem) a co przeczyta to patrzy na mnie, że to ja dyktował choć niepiśmienny.

(Patrzy za Wilhelmem.) Coś rozmawiają i idą . . O Boże, Boże, dajże już jaką odmianę i pociechę z tym chłopcem, albo żeby z domu już jaka wiadmość czy sam jegomość żeby przyjechał, czy po niego przysłać chciał kogo . . Coś rozmawiają. A on bo i pierwej z niemi był mowniejszy i z panną Julją także lubił. Grzeczna panna i do rzeczy. Ciekawym ją zobaczyć. Musi być także smutna bo dobrą matkę pochowała.

(Odchodzi.)

EDMUND, WILHELM.

WILHELM.

Tak jest, mój przyjacielu; najlepszą towarzyszkę życia utraciłem, niestety! Dziś smutny wdowiec, wracam na łono

rodziny podzielić z nią swe żale. Ta sama jednak ręka święta, co mię dotknęła nieszczęściem, ta sama i pociechę podała w boleści. Jak matka, dzieci, od których odłączyć się nie może, tak życie nasze prowadzi z sobą zgryzoty, straty, cierpienia; dzień jeden oddawa je drugiemu pod opiekę jak smutne nadziei szczepy: śmierć dopiero przynosi im dojrzałość, i owoc z nich podaje nam w wieczności. Pielgrzymka ta nasza byłaby ubliżeniem Opatrzności, gdyby jej drogi ciernistej nie oświecała gwiazda innego życia. Długie już przeżyłem lata, i nie jeden łez strumień oczy moje wylały: ale zawsze to światło widziałem przed sobą. W najczarniejszej nocy dolegliwości i udręczeń promienie jego przed oczyma duszy czującej, jeszcze jasnym i czystym świecą blaskiem, i nie ma tak wielkiego nieszczęścia, na któreby dobroć Przedwieczna nie miała stokroć większej pociechy.

Lecz ty, Edmundzie, trwasz widzę w nałogu smutków polubionych. Mnież to, stawającemu na schyłku ziemskiej ścieżki, starcowi, przed którym każda godzina coraz się już zamyka, mnież przystoi rozweselać młodzieńca, do którego świat jak miłość otwiera ręce? Przyjaźń, którą ci ofiarowałem daje mi prawo do twej otwartości. Pozwól niech doświadczenie moje przyniesie ci jaką usługę. Edmundzie, wszakże mi przyrzekłeś odmianę. Miałeś być spokojnym, wesołym, szczęśliwym. Takimże cię znajduję?

EDMUND.

Spokojny, wesoły, szczęśliwy? Są to słowa jak inne; brzmienia czcze, jak wszystko co usta wymawiają, co rozum chciał oznaczyć. A więc jestem spokojny, wesoły, szczęśliwy. Spokojny, jak puls umarłego; wesoły, jak kwiat w jego ręku; szczęśliwy .. jak mi życzysz panie.

WILHELM.

Nie, Edmundzie, nie zrazisz mię, chociażby słowa twoje zimniejsze od lodu były. Wiem, że twa dusza głęboko zamknięta, każdy głos od siebie odbija z razu nieczule jakby miedź głucha; lecz choćby skałą było serce twoje, musi odpowiedzieć godnie mej przyjaźni. Młodzieńcze, nic mnie innego do ciebie nie zbliża tylko szacunek przymiotów, tylko

miłość uczuć twych szlachetnych. Zdołasz że odrzucić przyjaźń tak czystą?

EDMUND.

Nie wiem, panie, czem na nią mogłem zasłużyć; nie starałem się jej pozyskać. Dla czegoż wzrok swój zatrzymujesz nad samotnem i uschłem drzewem, gdy tak łtawo około siebie znaleść ci milsze widoki? znaleść spokojność i szczęście? Jeśli chcesz przydać sobie doświadczenia, i nową przerzucić kartę widowisk natury: wolno. Lecz jeśli na to dajesz mi swą przyjaźń aby wzajemną odebrać: jej obowiąski są wielkie, bardzo wielkie, a ja nie byłbym w stanie już im odpowiedzieć.

WILHELM.

Myśli twoje zachowały przykry swój kolor; może się nawet czarniejszemi stały. Edmundzie, nie chceszże zwyciężyć w sobie smutnej skłonności do tych posępnych dumań, które cię w tak pięknym wieku tak grubą otoczyły żałobą? Tak więc ci miłe jest twoje cierpienie . .

EDMUND.

I czemużby miało być mniej miłe niż to, co przezwaliście uciechą, roskoszą, szaleństwem? Czyż tylko w jasnym dniu wesołej wiosny pięknością błyszczy przed wami natura? Czyliż pogrzebny dzień jesieni, na burzliwych chmurach ponuro płynący, jest już dla duszy nocą? Czyż nie obudza lubej w nas słodyczy? Nie możesz że nazwać go także pięknym i miłym? Czemużby uczucie jedno miało być lepsze, szczęśliwsze od drugiego? Wszystkie z jednego źródła, są darem jednego Ojca: wszystkie zarówno muszą być potrzebne do użytku i szczęścia Jego dzieci. Często co mamy za prawdę tak pewną, tak oczywistą, iż ją bierzemy za podstawę moralności, za początek prawd innych, jest tylko urojeniem, fałszem, na którym lenistwo i płytkość umysłu obszerne systemy budują. Mamże potępiać w sobie dumania i pomysły dla tego, iż czynią mię ptakiem zuchwałym, co nie lecąc ślepo za trzodą, własnym lotem kieruje się do krajów innych za pokarmem i słońcem szczęśliwszem? W nędzarza nie obdarzonego wzrokiem możebyś wmówił że nie ma światła; lecz kto raz przewidział, ten dobrowolnie oczu nie zasłoni. W duma-

niach i boleściach myśl moja cudownie zakwitła, i jak ów ptak rzadki zmartwychwstała w płomieniach. A gdy raz ze świata umarłego w kraj życia mię wzniosła, któż we mnie wmówi abym jej skrzydła miał kruszyć? Ty sam, panie, dawnoześ cierpienia i smutki zwał nadziei szczepami, skarbem przyszłości? Przystoiż by usta czyje na to objawiały poważną naukę, iżby za chwilę miały czemu przeczyć?

WILHELM.

Nauka moja nie jest chwilową; wspiera ją wieczność: gdyż słowo Boga stało się jej źródłem. Błogosławiąc wolę przedwieczną, zesłane przeciwności przyjmować jak dobrodziejstwa, i w nabożnej pokorze łzy boleści zamienić w łzy dziękczynienia: jest tryumfem naszej religji, jest cnotą świętych. Lecz w dzikich urojeniach dobrowolnie szukać udręczeń, marnować lata i zdolności na opłakiwaniu cierpień wymyślanych: jest występkiem przeciwko ludziom i sobie. (Pilniej w niego patrząc.) Tak widzieć spokojnie ostatnią swą godzinę z wyroków nieba na sąd wielki nas wołającą, i nie żałować uciech ziemskich: jest kończyć śmiercią chrześcjanina; lecz stawać zuchwałym sędzią pomiędzy sobą a niebem, i samobójcy ręką targać ogniwo stworzenia: nie jestże to ginąć zgubą najdzikszego zbrodniarza? Edmundzie, czy możesz tę naukę nazywać wątpliwą?

EDMUND.

Bynajmniej. Jest to owoc długiego doświadczenia i najzdrowszego rozsądku.

WILHELM.

Przyjacielu, ty się odemnie odwracasz?

EDMUND (unosząc się.)

Szukać udręczeń! Kto wam powiedział żem ich szukał? Kto wam powiedział że same jak ptaki drapieżne krwawemi szpony piersi mych nie rozdarły? Kto was zapewnił, że u bram stworzenia nie czekały od wieków na mnie; żem ich w uśmiechu matki już nie widział, w pierwszem uderzeniu serca niemi nie gorzał? Widziałżeś szaleńca coby dobrowolnie otwierał przed sobą otchłań; coby nikł, konał w płomieniach

dla pozyskania od jednych zdziwienia, litości od drugich? Otóż wasze prawa, nauki, sądy! Występek przeciwko ludziom? O złości! o szyderstwo! Pełne, bijące serce otwierało się do nich jak kwiat do promieni słonecznych; uczucia, czyste jak aniołów oddechy, biegły ku nim z ufnością, ze szczęściem, po przywitanie, po miłość; dusza ognista naprzód już płonęła roskoszą spółczucia, braterstwa! Ileż pomysłów szlachetnych, uczuć wielkich niosłem do ich ogniska, myśląc że będą przyjęte jak czysta ofiara na ołtarzu bóstwa dobroczynnego .. O! jakże głucho odbiły się wzgardzone od piersi lodowatej! Z jakiemże przerażeniem pod łzami krwawemi kruszył się odczarowany talizman młodości! O! wy nadzieje moje! tęsknoty! marzenia! zapały! Wy, raju posłańcy, wy duszy skarby! na cóż nieszczęsny do nich was zwróciłem! Ach, do was raczej, do was skały martwe! .. Nie mów mi o ludziach. Wrogi mojego świata, zabójcy mego życia, zdradą, nikczemnością odpłacili wszystko co wielkie, co boskie było. Nie mam dla was żadnych obowiąsków; chcę być dzikim, wolnym ... i śmierć, chociażby ...

WILHELM.

Miarkuj się, niebaczny! Podobny jesteś do śpiącego, któryby płakał, że snów, o jakich marzy, schwytać nie może. Z bogatą wyobraźnią, głębokim umysłem, sercem tkliwem, odebrałeś najpierwsze dary ludzkości. Mogłyż ci one na to być dane, by nie przynosząc nikomu użytku, twoje własne sprawiały nieszczęście? Rospasana wyobraźnia rzuciła cię w labirynt czczych i obłędnych marzeń; a zasilona czucia żywością zdołała widziadła swoje przybrać w życia kolory, otoczyć je nawet prawdą niejaką. Skarżysz się na ludzi. Gorzko jest słyszeć te skargi od takiego już wieku, i z ust tak szlachetnych: lecz przyjacielu, rozumie cię to stare serce. Wszelako że krok twój pierwszy zraził się cierniem; że pierwsze spojrzenie nie na laur świetny, lecz na dziką i nikczemną padło gałąź; wnieść że stąd należy, iż całe wielkie pole życia puszczą jest tylko, podły chwast rodzącą? Bądźmy sprawiedliwi. Nigdyż twa młoda dusza nie uniosła się świętym, rzewnym zapałem na opis czynu wielkiego, cnoty nadzwyczajnej?

Nigdyż szlachetną wielkich dusz zawiścią nie zazdrościła ich sprawcom, łzami roskoszy i uwielbienia pamięć ich oblewając? Któż oni byli? Oto ci sami ludzie; nie z większemi może od ciebie darami, ale inaczej ich używający. I oni także spotykali nieczułość, nikczemność, zdradę; i oni także najczystsze swe uczucia zawiedzione, najlepsze chęci wyszydzone, nieraz w ukryciu łzą cichą zlewali. Lecz wyżsi nad ciebie, wtedy nawet kiedy za miłość, za poświęcenie się braterskie płacono im wzgardą, prześladowaniem, tu dobro pełnili, a cel sobie i nagrodę nie tu obierali; wtedy nawet . .

EDMUND.

Przypominam sobie, iż w tej samej rzeczy dla jednego z moich znajomych, który w pewnej szkole objął katedrę filozofji, napisałem obszerny i wyborny traktat. Ludzie rostropni powszechnie uwielbiali biegłość i doświadczenie profesora.

WILHELM.

Z jakiem staraniem występnik przeświadczony o swojej winie unika głosu sumienia, z takiem ty, młodzieńcze, odpychasz od siebie słowa rozsądku i prawdy. Pokazują ci one oczywiście, że oddawanie się tej zbytecznej czułości . .

EDMUND.

Ja jej nienawidzę, nie znam. Gardzę tem cackiem dzieci i kobiet, tym fałszem niewieścich zmysłów który przedają ślepym za serca zaletę. Czułość, jest to pierwszy gwałt jawny jaki złe tego świata duszy naszej wyrządza. Z kwiecistej, majowej łąki przywiodę cię nad przepaść, co się ze szczytu góry w otchłaniach ścian jej rozdziera: spojrzysz; i twojaż wina że płyn jakowyś w zimnych kroplach spłynie z twego czoła? Z miłego, uroczego bytu pierwszych snów dziecka przebudzę cię jednym tylko obrazem tych niezliczonych cierpień, jakie ci los zaklęty w około twej drogi na straży każdej chwili jak smoki pilnujące osadził: spojrzysz; i twojaż cnota, że znowu płyn jakowyś w zimnych kroplach spłynie z ócz twoich? Hart wieku dojrzalszego wybija nas z niewoli ciała. We mnie dziś taka łąka, nudy, taka przepaść, radość obudza; a widok co innym łzy wyciska, wesoły uśmiech na

me usta przywodzi . . (Po chwili, słysząc westchnienie Wilhelma:) Jednakże . . przypominam sobie . . Czułość, jest to pierwsze przebudzenie się, pierwsza zaraza życia. Być może iż znałem ją kiedy. Lecz w pierwszym jęku otworzonej piersi, stłumił się i skonał jej głos dziecinny. Zapomniałem jej dawno, bardzo dawno. Mów raczej złość, udręczenie, nienawiść powszechna wszystkiego . .

WILHELM.

Nieszczęśliwy!

EDMUND.

Jam się tak nigdy nie nazwał. I może domysł twój, panie, tak jest fałszywy, jak litość niepożyteczna. Może tylko szczęście inaczej objawia się u mnie niż u drugich; może wysłowić się nie umiałem. Liczba wyrazów tak jest niezmiernie mała, że w ogólności mowa nie może być tłumaczem myśli.

WILHELM (ściskając jego rękę).

Niech przynajmniej to uściśnienie będzie tłumaczem mojej szczerości i mego serca dla ciebie, kochany przyjacielu. Byłbym najszczęśliwszy, gdybym jak najprędzej ujrzał już pożądaną myśli twych odmianę. Pozwól niech towarzystwo moje i mej córki podzieli twoje godziny. Biedna Julja po stracie matki potrzebuje także pociechy. W spólnych rozrywkach i na łonie przyjaźni będziemy wszyscy szukali zapomnienia doznanych cierpień.

Ale czas mi wracać do córki. Stanęliśmy w twojej oberży. Jeśli zechcesz, idziemy razem.

EDMUND.

Daruj, panie, że . .

WILHELM.

Nie chcę być natrętnym. Żegnam na chwilę; lecz niecierpliwie będziemy cię czekali. Pamiętaj Edmundzie, że dla umysłu co tak chętnie zatapia się w ponurych dumaniach, trucizną jest samotność.

(Odchodzi.)

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr ..... Inwentarz Główny

EDMUND sam.

Dla mnie przecież najsłodszym ona balsamem, najdroższym przyjacielem. O ty! wybrana serc tkliwych kochanko, na której łonie z ufnością dziecka składałem zapały i łzy pełnej, otworzonej duszy, nieznane, niedzielone od nikogo! Ty, matko myśli, piastunko moich lat najmilszych, samotności! odpowiedz na miłość moją, ciebie jednej błagam o nią! Jak matka, syna pobożnego, jak tkliwa siostra, brata, obraniaj mię przed ludzi napaścią. Tobie oddaję wszystkie moje chwile, czucia wszystkie, myśl każdą tobie. Doprowadź mię wiernie do kresu mojego — i potem sami, i wiecznie..

(Po chwili, z oburzeniem.)

Szczególniejsze spotkanie. Po co ta przyjaźń nieproszona, litość rażąca, ten upór w udzielaniu rad, które dzieckiem jeszcze umiałem na pamięć? Toż najpodlejsza gadzina może się ukryć z zabójczem swem żądłem; dzikiemu wilkowi wolno rzucić się na dziecię niewinne, coby sen jego zakłócić chciało: ja tylko jeden nie mam prawa do mojej spokojności, nie mogę jej bronić?. Litościwe serca! Czuli doradcy! Jeszczeby umarłych pytali jakie sny pod ziemią mają; jeszczeby im radzili aby się inaczej w trumnach swych układli. Szczęściem co z oczu to i z myśli.

Chcecie podzielić moje cierpienie? Możnaż rozdzielić jeden płomień, jeden głos wielki, tchnienie jedno?. Nie; moje to dziedzictwo: i całe oddam je naturze tak czyste i święte jak mi go udzielić raczyła.. w okrutnej swej szczodrocie.

(W zadumaniu opiera się o skałę.)

Smutku! boleści! dziwna męko serca! wy pany i osnowy życia mego! gdzież porywacie me chwile? To com już czuł, com już cierpiał, gdzież jest?. Czucia, udręczenia, pożary duszy, których męczennika łzami ugasić nie mogłem, wy, okropne skarby mego przeznaczenia! gdzieżeście to w takich boleściach z tych piersi się wydzierały?.. Mamże was utracić, wszystko utracić bez śladu, bez nagrody! Ach przez litość! objawcie mi się, wystąpcie z tajemnic natury, wystąpcie! Niech się przekonam że jest święta władza, co was

zatrzymała na świadectwo dni moich. Potem anioły niech złożą was w wieczności; niech złożą w miłosierdziu Ojca, na prawo łaski i odkupienia... Burzo, wulkanie żądz niepojętych, uczuć niewydanych! gdzież ci wejść było do prochu nędznego! Jakiejże to siły chcesz odemnie?. Cóż ci za chwała niszczyć co zniszczone? Gdzie cel twój, gdzie koniec... jaki?

Stoję śród uciech świata, jak trup na godach braci. Próżno ich uśmiech zwraca się do mnie: myśl moja z grobu, oddech w płomieniu. Skrzydła moje w upadek mię wtrąciły, Zgorzała młodość moja, jako krzew rzucony na piaski spiekłe.. Kiedyż spadnie ta ziemi powłoka?. Długoż jeszcze.. Płyńcie, o płyńcie łzy boleści, perły niestracone! Stworzenie was nie widzi: niebo przyjęło...

(Po chwili:)

Jakież głosy?.. (Spojrzawszy w stronę:) Szczęśliwi wieśniacy spokojnie mówić tu będą o dnia wypadkach. I ten głaz łzami mojemi zroszony, będzie za małą chwilę odbijał echo ich śmiechów.

(Oddala się.)

(Sala w oberży, spólna dwom pomieszkaniom Wilhelma i Edmunda.)

WILHELM, JULJA.

WILHELM.

Kto inny, moja córko, aniby na to uważał, pamiętając że podróżny mniej niż ktokolwiek może swym czasem rozrządzać; ten dziwak gdy mię nie zastanie, gotów to wziąść za umyślne dla siebie uchybienie. Mówię ci, że go nie poznasz, tak w nim się wzmogła czarna jego choroba. Z tego com się od sługi dowiedział i co mi sam mówił, prawdziwie obawiam się o koniec tego osobliwszego człowieka.

Ale czas upływa; muszę już koniecznie z tem się ułatwić. Może też długo jeszcze będzie się po górach błąkał; to i ukończę nim nadejdzie.

(Odchodzi.)

JULJA sama.

O Boże! cóż się we mnie dzieje! Zbawienia duszy nie można goręcej oczekiwać; i śmielejbym zdaje mi się przed Sędzią wiecznym stawała.. Więc on sam, on, za chwilę tu będzie!.. Gdzież ta chwila? ta chwila mego wskrzeszenia, ta chwila objawy wszystkich snów moich! Więc po tylu dniach pustych, po tylu nocach czuwanych, więc mi ją przyniosły moje cierpienia, moje modlitwy, więc mi ją uprosiły łzy moje!. On jednak... o Edmundzie! Wiesz że tu jestem, że czeka cię serce, które pod twem spojrzeniem z grobu ma powstać! i nie stałeś się ptakiem, i w jednem odetchnieniu nie stanąłeś przedemną!..

Ciężko mi; straszno. Sama nie wiem jakie uczucie mną włada. Czy miłość, skrzydłem niosąca naprzeciw swojego bóstwa; czy żal tylu cierpień, za które może mi nawet jednem wspomnieniem nie nagrodzono; czy litość nad nieszczęściem tej wielkiej, szlachetnej duszy, dla której uwielbienie jest jeszcze skromnym hołdem?. O! trzykroć szczęśliwa, wybrana istota, której spojrzenie ma smutki jego rosproszyć; która dzieląc życia z nim kielich, gorycze jego będzie mogła sobie zostawić.. Lecz mnie?. szukałyż kiedy jego tęsknoty? Po tylu godzinach, które w oczach jego przepatrzyłam, czyliż choć raz jeden przeszłam mu przez nie do serca? I gdy w oddaleniu myśli moje nim tylko żyły, gdy świat który bez niego pustynią mi stanął, jego tylko obrazem dla mnie się zaludniał... Gdy nawet po stracie, o Boże! gdy nawet na grobie matki drogiej, łzy, które jej popiołom należały, mięszały się, płynęły z jego wspomnieniem: on? wymówiłże kiedy imię moje? Myśl jego, wznosząc się w nadziemskie kraje, żywiąc się tysiącem obrazów gorejącej wyobraźni, czyliż widziała w którym moją postać? czyż w ulubiony swój utwór wcieliła kiedy moje uczucia?

Lecz na co innych dowodów? Gdy mimowolnie w towarzystwo nasze wciągany, całe dni z nami podzielał, gdy w swych rozmowach unosząc mię promieniem swego genjuszu, umysł czarował, serce porywał: wtenczas, przy całym szacunku skromności nie mógłże mi uczuć swoich dać poznać?

Niechby je słowo jedno, niechby je pół spojrzenia zdradziło... Nigdy! Gdy mówił do mnie: słowa jego ogniem, czarodziejstwem były; gdy o mnie: zimne i nieżywe, jakby nie z jego ust wychodziły..

Także więc o wszystkiem zapomniałam? Toż pamięć tylu udręczeń nie ma żadną być mi przestrogą? nie ma zostać tarczą przeciw okrutnej namiętności? Jakież z nagła światło błędną mą ścieżkę oświeca?.. Usypiałam nad przepaścią! Chrońmy się przed wrogiem; chrońmy, odkryjmy ojcu... (Chce iść i spotykając Edmunda, wydaje krzyk.)

JULJA, EDMUND.

EDMUND,

(zatrzymując się zdziwiony.)

Takie przywitanie.. Czyliż po tak długiem niewidzeniu, zawsze piękna Julja takim głosem, z tak odwróconą twarzą witasz swoich znajomych? Lub czyliż nawet do tego imienia już w twej pamięci utraciłem prawo?

JULJA.

W tej chwili... nie myślałam...

EDMUND.

Przebacz pani, tędy przejść musiałem do mego pokoju; i sam twój ojciec...

JULJA.

Czekał go niecierpliwie. (Podnosząc wzrok na Edmunda, znowu odwraca się z przestrachem:) Boże!

EDMUND (przerażony).

Co to ma znaczyć?

JULJA.

O Edmundzie! jakże ty wyglądasz!

EDMUND (spokojnie).

Dla tego tylko?. Tak więc cię uderzyła bladość mej twarzy, przez którą wcześniej mi nieco niż innym śmierć

oznajmuje swe przyjście?.. Szanuję twoją czułość, zacna i szlachetna przyjaciołko. Ależ smutniej jeszcze, gdy kto nie obcy, nie krótko od nas znany, lecz ciągły i wierny towarzysz i pomocnik życia, żegna nas stygnącą ręką; smutniej widzieć, kiedy w ostatniem przyjaźni spojrzeniu, które jeszcze ku nam obracał, te same oczy, co razem z naszemi na drogę życia patrzały, z których tyle razy do duszy naszej pociecha jak z bramy niebios wchodziła, już się w noc wieczną zasuwają.. a przecież i ten widok jest widokiem tej ziemi.. Co do mnie; codzień staję się wyrozumialszy. Obce nawet osoby co po raz pierwszy mnie spotykają, dzieci niewinne, do których koła nieuważny wstępuję czasem, długo się patrzą za śladem moim, jakby się dziwiły, widząc mnie jeszcze na swojej drodze, lub jakby mię naprzód ze świata swego żegnały.. Ty płaczesz?. (biorąc jej rękę) Płaczesz Juljo?

JULJA.

Muszę płakać; pozwól mi płakać. Ta dusza uciśniona, tyle, tyle miałaby mówić.. To są jej słowa.

EDMUND.

To są jej słowa? O! jakże je rozumiem..

JULIA (z trwogą:)

Rozumiesz!

EDMUND.

O! ileż sam niemi mówiłem. W nich to dusza moja wystąpiona odgadła, witała życia tajemnicę. Śród cieniów nocy, śród lasów samotnych, niemi każde czucie, każdą piękność głosiłem naturze; i na gwiazd promieniach w wieczność przed sobą posyłałem. I tylko noc mię słyszała; tylko w tajemniczej przyszłości Bóstwo mi na nie odpowiadało... I wszystko już minęło; oczy moje dziś suche...

Ale czyż trzeba, by każdy krok mój, każdy związek smutkiem tylko i łzami był oznaczony? Nigdyż moje zbliżenie się nie obudzi uśmiechu; na niczyjeż czoło z oka mego nie wystąpi radość? Samaż tylko litość należy mi się od obcych, sam tylko przestrach i smutek od przyjaciół?

JULJA.

Mylisz się, Edmundzie; nie wiesz z jaką radością odebrał mój ojciec wiadomość że się tu znajdujesz. (Nieśmiało:) Smutek mój przypisz raczej zmartwieniom, jakie nas po twojem oddaleniu się spotkały. Straciłam matkę kochaną; i mało łez jeszcze pamięci jej poświęciłam.. dla niej zbyt mało.

EDMUND.

Przebacz mi Juljo! bez winy obudziłem w tobie wspomnienie tej straty. Lecz jakichże szukać przedmiotów, jakich słów, by z serca mówić do serca i nie dotknąć go żałością?. Zwyczajne zwiąski i sprawy światowe, potrzebą lub nudami zrodzone, nie przechodząc prawie granic zmysłów, mogą się odbywać w rostargnieniu, w uśmiechu nawet; rozmowy o nich łatwe nie potrzebują wyrazów duszy: ale wszystkie uczucia prawdziwe, tak, wszystkie, albo są w nas nie rozwinięte, albo smutkiem się stają. Wszak nawet radość najżywsza łzami się tylko tłómaczy.. (Po chwili.) Jest wszakże jeden stan okropny uczucia, lecz już nie ziemskiego, przy którem smutek najdotkliwszy wydałby się weselem jeszcze; uczucia, co wszystkie pożarło i w sobie jednem zamknęło. Potwór ten pada na serce jak potępienie; krępuje je silniej, straszliwiej niżby w uścisku śmierci, i powolnie wypija wszystko co w niem żyło. Na wszystkie dzieła Stwórcy, na cały świat twych myśli, kir czarny, jak jeden wielki całun grobowy, przed okiem twojem zapada. Jeszcze echo dawnego życia odzywa się w stłumionej piersi; z głębi duszy wołasz jeszcze do dawnych pamiątek: lecz wszystko już przekwitło, zagasło! Jakby z przedwiecznych pustyń chaosu, występuje w około czczość głucha, martwa; i nikt, i nic już nie odpowie!.. A przecież ofiara co losowi temu uległa, chodzi jeszcze śród ludzi. Śród ludzi! jakby do nich należeć chciała; oddycha pośród ich świata, jakby łza wyproszonej litości miała jej być nagrodą i tryumfem, lub jakby dowcip ludzki nie znalazł dotąd użytku żelaza ani trucizny? O! to okropnie, to haniebnie, nad siły moje!

JULJA.

Jakże okrutną posiadasz sztukę rozdzierania serc swoich przyjaciół! Nie wiesz jak boleśnie, jak przeraźliwie każde twe słowo w duszy się mojej powtarza. Gdybyśmy mogli przynieść ci pociechę, gdybyśmy własnym smutkiem mogli go umniejszyć tobie: z jakiemże szczęściem wyrzekłabym się na zawsze radości.. I tak już ona dawno nie była na czole mojem!

EDMUND.

Szlachetna, droga przyjaciołko!

JULJA.

Dla czegoż, o! dla czegoż Edmundzie, pogrążasz się w tak czarnej żałobie? Czemu zawziętą myślą odpychając od siebie wesołość, w samym wschodzie życia, jak w ulubiony obraz kochanki, ciągle i zawsze z takim zapałem w śmierć tylko patrzysz? Mój ojciec mocno ci to nagania; ja tyle prosiłam...

EDMUND.

Juljo, tyś mię wprzódy lepiej rozumiała. Możesz że wymagać, abym uczucia i myśli tak skoro, tak łatwo odmieniał, jak ludzie zmieniają krój sukni, albo przyjaciół?. Najpodlejszy robak, ziele najlichsze ma właściwe sobie przymioty i cechy, ma swój charakter, z którego się nigdy nie wyradza. Sam to tylko człowiek, król przyrodzenia, posiada tyle dowcipu i nikczemności, że umysł i serce zdoła co chwila gdzieindziej nakłonić: a chełpiąc się ze skromności, która mu dozwala nie upierać się przy raz obranem zdaniu, co wczoraj nazywał świętem, dziś ma za przedmiot szyderstwa, niepewny, czy znów mu jutro czołem nie uderzy. Ja jestem sobą, zawsze sobą, i nie mogę być czem innem. Z pierwszym oddechem przyjąłem do swych piersi pożerczą, niepojętą zarazę. Kiedy swobodne dziecię wznosiłem przed sobą piękny, pogodny obraz młodości, który myśl lotna umiała stroić tysiącem czarnoksięskich promieni: ona już krew żył moich paliła, i w snach męczących serce rozdzierała. Każda chwila, jak siostra kochająca, nowe zabawy rówiennikom mym przynosiła: ja samotny, śród boru głuchego, karmiłem się puszczy muzyką; w chmurach, skrzydłami wiatru pędzonych, widziałem pokolenia mijające; lub wpatrzony w strumień upłynny, łzami memi czysty nurt jego kłóciłem. Lube, rzewne, niewyczerpane marzenia, myśli mi zaczarowały; dziwna, niepowiedziana tęsknota, rzekłbyś zbrodnia śmiertelna, kamieniem na duszę mą spadła. W płomieniach spółczucia i miłości świat ten jako liść suchy zgorzał w mem objęciu. O Boże! jakże piękną natedy tęczą objawiało się przedemną niebo szukane.. Ach! jakże straszny czekał mię upadek!.. Któżby przewidział że tak roskoszny zawiązek, tylu farbami śmiejący się, rajskiej woni pełen, nie wyda z siebie tylko zatruty, spalony kwiat życia!.. Czemuż przed nocą łez i jęków takie świtanie niebieskie? Lub gdy świat młodociany błogich nadziei i pomysłów ma zniknąć jak objawienie, dla czegoż w rospalonej głowie, w piersiach bolejących zostaje ukryta, potężna władza, na to ku tronom straconym silny lot wznosząca, by w mękach wspomnienia powtarzać bole upadku?.. Gwiazda mego życia pole swoje przebiegła. Jeden tu tylko promień jej pozostał: posępnem światłem grób mi wskazuje.

JULJA.

Nigdzież nie widzisz życia tylko w mieszkaniu śmierci?.. Edmundzie, nie sam cierpisz: są nieszczęśliwi, są, mówię to z przekonania; i może pod okiem twojem dają ci przykład lepszego męstwa. Przerwij tę samotność, której lata swoje darowałeś. Szukaj towarzystw, szukaj zabaw, wesołości...

EDMUND.

Źle mi Juljo radzisz; nie życzliwie radzisz. Byłem z ludźmi na obchodach śmierci; byłem z nimi i w kole godowem. Lecz jako cień czarnej chmury, rzucony na wody przestrzeń, nie nabiera jaśniejszej barwy, choć rozbijany ciągle nową falą: tak śród największego tłumu, próżno się do niego chcę włączyć, zawsze pozostaję sobą. Wchodzę. Brzmi w koło biesiadna wesołość; błyszczą uśmiechem wszystkie usta; radość lecąc od oka do oka, porywa myśl do myśli,

otwiera serce do serca. Wybija niebieska godzina. Za wiekiem młodzieńczym, za duszą czującą, już anioł szczęścia stanął pośród grona: pod jego skrzydłem łączą się biesiadnicy jak szlachetni młodzieńcy przy sercu spólnego przyjaciela, jak dzieci w uścisku matki witającej. Radość, przyjaźń, miłość, wesele w wezbraniu leją się z piersi do piersi jak drogie, pieniące nektary; krew jak wino się burzy; zbiegają się ręce; cisną braterskie twarze; łączą, zamieniają się dusze. Każdy żyje dla drugiego; wszyscy we wszystkich: rzekłbyś setne kwiaty, promieniem jednego słońca, cudowna chwila w jeden wieniec splata...

JULJA.

Edmundzie, tak mocne wzruszenie może ci szkodzić. Pocóż obrazem urojonego szczęścia, szczęścia, którego nie chcesz kosztować, tak się poruszasz...

EDMUND (przerywa z rosnącym zapałem).

Ale w tem kole, dla śmiechów i szczęścia wybranem, którego granic, radość, jak przemożny czarownik, przeciw najlżejszej obrania trosce, w tym przybytku wesela, życia: jest jeden oddech grobowy! Tak w cieniach ogrodu, otoczony motyli rojem, śród wieńca wiosny kryje się kamień mogiły. Żarty, dowcip, śmiech, swoboda, kwitną na wszystkich ustach: moje, gorączką spalone, zamknięte jakby śmierci pieczęcią. Wesoła muzyka dla wszystkich taniec prowadzi: we mnie gra pieśń jakaś straszna, jak dalekie echo smętarne. Napój wreszcie reką przyjaźni podany, rozrzuca w koło okrzyki, uciechy, szaleństwo: lecz on sam, z dzikszą boleścią wzburzone myśli me szarpie; krew, której przydano ognia żywszym je płomieniem pali: toczą się, pędzą w nieładzie, w złości, jak fale pod skrzydłem burzy; jak furje niszczące tratują, rozdzierają przedemną pole życia. Napróżno wtedy chciałabyś mię wmięszać do grona biesiadnych. Oko jakąś złością przymknięte, na czole piętno jakieś dzikie, szeroką drogę czynią mi śród tłumu. Próżno chcę ujrzeć uśmiech na czyich ustach, przyjaźń w czyjem oku; próżno chcę usłyszeć spółczucia westchnienie, tkliwe przynajmniej zapytanie: przechodzą jak obok ściany martwej; albo mię nawet ominą z wyższością, jak gdyby w tej, widzisz, w tej oto piersi kryło się z wstydem nikczemne, pospolite serce...

JULJA.

O Boże!

Ciż i WACŁAW.

WACŁAW (wpadając).

Panie, panie! jak mi Bóg miły, jegomość stryj pana z domu przyjechał, i panna Aniela przyjechała. Prędzej, prędzej!. (Biegnie do okna i otwiera.) Patrz pan, zajeżdżają! Moje państwo kochane, najdroższe!

(Wybiega.)

EDMUND.

Szalony.. (Zbliża się do okna, a spojrzawszy, woła z uniesieniem:) Siostra moja!

(Wybiega.)

KSIĘGA II.

Sala taż sama.

WILHELM, AUGUST,

(siedząc, prowadzą dalej rozmowę).

AUGUST.

Przeciwko temu nie mówię. Ależ można widzieć i podobać sobie piękności przyrodzenia, a jednak żyć z ludźmi i być do ludzi podobnym. Przecież i w naszym kraju są góry, skały i potoki; są doliny i piękne położenia; patrzę na nie już lat pięćdziesiąt przeszło: a dla tego świata nie unikam, ciała nie utracam, i Bogu dzięki zdrowie mię jeszcze nie odbiegło. (Z uśmiechem.) Już to widzę, mój Edmund mocnego w panu zamówił sobie obrońcę.

WILHELM.

W istocie; nie zapieram się żywej dla niego przyjaźni.

AUGUST (weselej).

A gdybyś go waćpan dobrodziej znał dzieckiem! Wtedy to walny był chłopak. Co za odwaga do koni, do niebezpieczeństw! Do lat dziesięciu, dwunastu, jak żywe srebo. Nic, tylko skoki, figle, psoty. A co za bystrość, dowcip! starych przechodził; nie można było rady dać temu. Serce zawsze najlepsze: bywało, spojrzeć tylko niechętnie a przemówić co czule, rzewnemi łzami płakał, aż żal brał patrzeć; ale też uporem, gwałtem? Nic, uchowaj Boże! wtenczas już go nie

przełamać ani ustraszyć. A jaka łatwość do nauki! Raz, dwa przeczyta, i dosyć; nauczyciele wydziwić się nie mogli. Wiele mi, wiele to dziecię obiecywało. Później dopiero jakby co urzekło chłopca. Raptem zrobił się smutny, zaczął sam chodzić, nudzić, i nic jak wiersze. Zawsze czytał, pisał, uczył się na pamięć, zapalał się straszliwie byle nad czem: zgoła ni do spacerów z drugimi, ni do żadnej już pustoty. Wolał sam jeden do gór i lasów powtarzać lada jakie rymy; stracił zupełnie humor; słowem, do niepoznania. Potem już to się tak wlekło aż do tej podróży. Naparł się koniecznie; fortuna po ojcu na to mu starczyła: musiałem zezwolić. Nie przewidując, niestety! na jakie złe to wyjdzie i jemu samemu i nam wszystkim.

WILHELM.

Zdaje mi się że przybycie stryja i siostry trochę go rozerwało, i że przez tych dni parę myśl jego przybrała więcej spokojności; tak nawet twierdzi Wacław, który go zna najlepiej. Zdaniem mojem wypada, iżbyś waćpan dobrodziej, używszy całej swojej powagi, nakłonił go do niebawnego powrotu do kraju. Tam podawszy mu stałe zatrudnienie, tem samem uratujesz umysł jego od tej samotności przez którą nawięcej ucierpiał.

AUGUST.

Światła jego rada uprzedza myśl moją. Zawsze byłem nieprzyjacielem podróży: przez nie i myśl i pieniądze z kraju wychodzą; i nie przejechałbym nigdy granicy, gdyby raz potrzeby gospodarstwa nie zawiodły mię do Saksonji, a teraz gdyby powinność opiekuna, troskliwość o tego chłopca, którego napróżno listami przyzywałem, a bardziej jeszcze gdyby mię tu nie sprowadziły prośby kochanej Anieli, i chęć przywrócenia pod cieplejszem niebem zupełnego jej zdrowia. Edmund wie bardzo dobrze iż musi ze mną powracać: jednak pierwsze chwile po tak długiem oddaleniu zostawiając rozmowom przywitania, jeszcze z nim jak należy o tem nie mówiłem, odłożywszy razem i stryjoskie przestrogi, które nad jego postępowaniem winienem mu uczynić.

(Powstając.) Ale czas dowiedzieć się o naszej młodzieży. Ten zapaleniec musiał już im ukończyć swoje opisy włoskich ruin.

WILHELM.

Lubi on i umie o tem mówić. W rzeczy samej, jest to przedmiot godny jego zapału. Zabytki świetnej starożytności, ogromem swoim, i zagrzebaną pod sobą sławą wielkich ludów, muszą porywać i zachwycać, nawet najzimniejsze dusze.

AUGUST.

Przyznam się waćpanu dobrodziejowi, iż zaraz od młodości ciągle interesami zajęty, nie miałem czasu tych różnych poezji i piękności rozważać. Wierzę im jednak zupełnie, gdy mi o nich mówi człowiek tak słuszny i rostropny.

WILHELM (z uśmiechem).

Bardzo dziękuję za tę grzeczność.

AUGUST.

Nie jest to grzeczność, szanowny panie Wilhelmie: jego zdanie i osoba są mi zarówno miłe. W tej krótkiej znajomości pozyskałeś już zupełnie mój szacunek i życzliwość. A po przyjaźni jaką moja Anielka zawiązała z panną Julją, poznaję że nie mniej doświadcza przyjemności z córką ile jej stryj z ojcem.

(Wchodzą do pokojów Wilhelma.)

(Pasmo gór, z innego punktu widzianych niż wprzódy.)

EDMUND sam.

(siedzi na skale, z książką w ręku.)

Nudne karty, straciłyście na zawsze dawną władzę. Był czas... I moje myśli miały swój poranek; i do mnie młodość igrała w tęczy kolorach. Był czas gdy każdą waszą piękność sercem bijącem i łzami zapaleńca witałem. Dziś przerzucam was nieczule, jak zimny duch ponurej jesieni przerzuca z wiatrem liście wyschłe, co przedtem wieniec

wiosny tworzyły... Czy obejmując duszę lubem rozrzewnieniem, zwracacie ją w ubiegłe chwile po cichą roskosz pamiątek; czyli podnosząc przed jej wzrokiem uroczą zasłonę, wskazujecie pogodne słońca, pod któremi mają dojrzeć i boskim wywiązać się owocem wszystkie najdroższe pomysły i uczucia: obłudne karty, nie dla mnie wasze słowa. Prowadźcie po drodze marzeń szczęśliwszych wędrowców; dla mnie już żadna gwiazda na niej nie przyświeca. Przeszłość moja nie ma wspomnienia, ani przyszłość oczekiwania. Obie te strony życia są dla mnie w jednej myśli: w czczości, w zapomnieniu wszystkiego, w jednem uczuciu... na które nie ma nazwania.

A więc żegnaj, żegnaj na zawsze najdroższa niegdyś siostro mej młodości, zagasłe światło dni moich smutnych! Ty roskoszy czucia, natury duszo, ogniu gienjuszów, Poezjo! żegnaj na zawsze!. Niewdzięczna! tak więc mię na drodze mojej odbiegasz? tak uiszczasz obietnice, któreś tęsknotom mym przysięgała?. Tyś to mię niewinne dziecię podeszła ułudą swych pieszczot, ty pożerczy płomień do głębi duszy rzuciłaś; a uwodząc boskiemi obrazy, kiedyś mię od wszystkiego co ziemskie wydarła, gdy porywając do swoich piękności, wszystkie siły mej istoty w namiętnych ogniach spaliłaś: wtedy ofiarę swą odstępujesz, sercu zużytemu w urojeniach nie zostawiasz żadnej pociechy!.. O, czemu, czemużeś mię w połowie lotu mego nie wstrzymała! Jeszczeby w żywych słońcach pałało przedemną twe niebo; jeszczeby serce moje tęskniło do jego roskoszy; jeszczeby sny szczęśliwe czekały swego spełnienia. Dziś cały urok już zdjęty. Sytość i nudów męki myśl moją ścisnęły; straciłem duszy mowę. Dziś z rajów twoich wygnaniec, mógłbym nawet szydzić z twych zapałów, jak półumarły starzec z miłości wspomnienia.

(Powstawszy.) Po jakiejże drodze powiodło mię przeznaczenie! Z jakich goryczy i trucizn sączy się strumień dni moich!. Rzucając ziomków i miejsca rodzinne, chciałem sam siebie zapomnieć; chciałem się przez gwałt wydrzeć ze wszystkich stosunków, z wrażeń wszystkich, i nowe lata rospocząć. Zmysły wchodziły w coraz inne kraje: dusza pozostała ciągle

w swoim świecie. A każda tęsknota zawiedziona, każde uczucie nieuiszczone, niesmak każdy rozszerzał jego granice. Niepojęte, urocze marzenia, jak zdradzieckie syreny, w koło mnie obudzały czarowniczy hymn życia; otaczały mię wszędzie, i wszędzie ich napróżno około siebie szukałem.

O ziemio Italji! Poezji i laurów ziemio! Dumnej przeszłości matko! do ciebie przed wszystkiemi wzlatywał zapał młodzieńczy. Na zwaliskach twej chwały szukałem natchnienia; w milczeniu grobów twoich, życia pragnionego.. Przy kroku moim szły cienie wielkich ludzi; mój oddech poruszał prochy zwycięsców. Duch mój, jak lampa grobowa, wstąpił w mogiłę wieków: podniósł przed swym wzrokiem tysiące lat zapadłych. Zmartwychwstały pokolenia; ożyły dawne rody; tryumfy stu bohatyrów; stu ludów święta... I jedno westchnienie znowu ten obraz garścią ziemi nakryło. Ną grobie tylu wielkości wstydziłem się życia. Zdałem się robakiem nędznym, pełzającym po trumnie olbrzyma.

O! wy wszyscy co macie usta do uśmiechu, serce do szczęścia; których myśli goreją roskoszą i pięknością! chcecież na boskich kwiatach ożyć śród ogniów żądzy? chcecież się przybrać w szatę wiecznej młodości? Biegnijcie, o biegnijcie pod płonące Włoch niebo! Tam roskosz jak trucizna w żyły się posączy: płomieniem z oczu uderzy, oddechem pierś zapali, wszystkie zmysły rosprzęże, uspi was w swem objęciu, jak młoda matka pierwsze dziecię swoje. Tam natura przedstawi się waszym płomieniom jak bogini naga: pożar roskoszy, w omdleniu, odrzucił z niej zazdrosne szaty. Tam dzieła gienjuszów oddychają jej wdziękami, jej życiem pałają. Tam sztuki, jak szczęśliwe kochanki, rostoczą przed wami swe tryumfy, w kraj uroku i pomysłów uniosą po życie duszy.. Lecz wy! dla których każde wrażenie wyradza się w tęsknotę i żałość...

EDMUND, WACŁAW.

EDMUND (z gniewem).

Po co?

WACŁAW (zatrzymując się uradowany).

A widzisz pan jak to ja już wiem gdzie jego szukać. Poszedłem nad ten wielki parów: nie ma; spojrzałem w bok pod te drzewa: nie ma; więc pewnie tu będzie, pomyślałem, i zgadłem. Że też to pan i godziny nie może z ludźmi posiedzieć: dopiero po obiedzie, już zniknął. Tam jegomość za panem się pyta.

EDMUND (patrząc w książkę).

Przeszkadzasz mi.

WACŁAW.

Ale tam stryj pański markotny, że pan tak od niego odchodzisz. Musi mieć jakiś interes, gdyż oba z panem Wilhelmem pytali się. Ja powiedziałem że tu jest niedaleko, i pobiegłem.

EDMUND (po chwili i głośniej).

Przeszkadzasz mi.

WACŁAW.

Bo pan Edmund zawsze i zawsze nad książką. Przecież już dosyć tej nauce. Czy to pan będzie dzieci czyje uczył, czy na pisarza gdzie pójdzie, żeby tak dla tych książek o wszystkiem zapominać? Wszakże co napisane to nie przepadnie i poczekać może, a tu i siostra przyjechała i stryj...

EDMUND.

Prawda że od dwóch dni nic do ciebie nie gadam?.. Nie naprzykrzaj się, gdyż mówię po raz ostatni że mi przeszkadzasz.

WACŁAW.

Gadaj pan sobie lub nie, jak się podoba; przecież to mu nie pierwszy raz gniewać się, czy jest za co czy nie ma. Jak pan Edmund chce; a potem jegomość będzie niekontent. Już i tak się mnie wypytywał, i dosyć tam mówił do panny Anieli.

EDMUND (wybuchając).

Wypytywał? Kto się wypytywał, kto ci kazał te plotki, te kłamstwa na mnie posyłać? Nikczemny! Pod postacią przyjaciela byłeś szpiegiem przy mojej osobie?

WACŁAW.

Szpiegiem?

EDMUND.

Zadziwił się poczciwy staruszek. Nie posyłałeś o mnie listów? Myślałeś, że nie będę o tem wiedział? Precz! Nie masz u mnie służby. Idź do tego przed kim mnie oskarżałeś. Idź! Weź mi z oczów ten włos swój siwy, którego nie umiałeś szanować.

(Chodząc w poruszeniu.) Jam go nie jak sługę, jak przyjaciela, jak brata uważał; dla niego ostatni kawałek chleba od ust bym sobie był odjął; życie, dwa życia oddałbym za jego poczciwość. Komuż zaufać? Toż w żadnym stanie, w żadnej klasie ludzi jednego serca wiernego nie znaleść?.. Nie słyszałeś? Czemu nie odchodzisz?

WACŁAW.

Więc wszystkie te słowa były ku mnie zwrócone.. Panie Edmundzie, Edmundzie, którego na tych rękach wynosiłem, o! wmów we mnie, żeś to nie do mnie powiedział; że uszy starca fałszywie słyszą; przez miłość siebie, przez szacunek własnego serca, daj mi to przekonanie. Nie w podłości i szpiegostwie, ale na wiernych dla ciebie i twoich przez lat czterdzieści usługach, głowa moja pobielała. Wychowałem cię jak syna, kocham więcej jeszcze; dla tego słów tych nie przyjmuję. Nie przyjmuję! Więc niech ich pan Edmund nigdy sobie nie wyrzuca... Toż miałem patrzeć, jak młodość twoja w dzikiej chorobie coraz upadała? Jak zawsześ w złych myślach i smutkach zatopiony, unikał ludzi, na smętarzach obierał sobie mieszkanie, nie mówił jak tylko o śmierci, już nawet pistolety do ust sobie przykładał? Miałemże patrzeć bez czucia na taką dolę dziecka mego dobroczyńcy? Dziecka, co dalekie od swoich i od kraju, jednemu tylko przywiązaniu memu było powierzone? Czyż uwodząc się dłużej jeszcze obietnicami rychłego powrotu, miałem spokojnie czekać może najokropniejszego końca twej podróży, przez obawę gniewu z twojej lub z czyjejkolwiek strony? Nie, panie Edmundzie, nie w podłości lata swoje uchowałem; i chyba nie miałbym bojaźni Boga, gdybym od najświętszej powinności odstąpił przez bojaźń ludzką. Dziś, gdy cię oddałem w ręce stryja, już nic sobie nie mam do wyrzucenia; i gniew twój i pogardę nawet znieść mogę. Może mój wiek i zasługi warte były innej, przyjaźniejszej odprawy: ale ostatni dzień mojej służby nie będzie dniem w którymbym wziął do ciebie urazę... (Po chwili, słabszym głosem.) Zapewne na starość nie mogłem już panu Edmundowi zręcznie we wszystkiem usłużyć; zapewne inny, młodszy, będzie mu dogodniejszy... Przecież mię tu nie zostawicie; odwieziecie do żony, do dziatek małych, żebym im opowiadał dobrodziejstwa jakie w domu waszym od lat najmłodszych odbierałem... Otóż patrz, panie Edmundzie, jak słaba starość nie wszystko może wytrzymać: pókim mówił o gniewie twoim, mówiłem z suchemi oczyma, a teraz.. (Ociera łzy.)

EDMUND (w uniesieniu, rzuca mu się na szyję).

Wacławie! Nie, to fałsz; tego nigdy nie było! Gdyby ci wszyscy ludzie przysięgali, gdybym ja sam chciał ciebie przekonać, że serce Edmunda za taką przyjaźń mogło być niewdzięczne: tybyś nie uwierzył! Nieprawdaż? Gdy mię kamieniem nakryją, gdy wszyscy będą myśleli że już nie żyję: ty przyjdź Wacławie; wymów do mnie z tem czuciem słowo tylko, jedno słowo! a przez kamień usłyszysz jak serce moje będzie jeszcze biło! (Oddając mu swój zegarek i worek z pieniędzmi.) Przyjm to, przyjm proszę, (nie znajdując przy sobie nic więcej, daje mu książkę, chustkę i kapelusz) weź, weź wszystko. Los twój i twoich dzieci w mym testamencie już jest obmyślony.

WACŁAW.

Edmundzie! najmilsze dziecię mej miłości, pycho mych włosów siwych, synu mój! nie rozdzieraj duszy mojej tem sercem swojem anielskiem, i tą okrutną mową o śmierci!

W twoim wieku czynić testament dla mojej starości? Jabym miał stanąć kiedy nad twoim kamieniem? Raczej bij mnie, odpędź od siebie, obróć gniew twój na mnie i na dzieci moje: ale przez miłość wszystkiego co ci najdroższe! przez pamięć boleści, starań i łez jakieś kosztował matce twojej: przez pamięć ojca, który chciał odżyć w tobie; przez pamięć lubego dzieciństwa twego; pierwszych snów twej niewinności, nad któremi czuwałem; pierwszych śmiechów i zabaw, których na ręku mem używałeś: oddal od siebie te myśli smutne; odmień to życie żałobne; powróć się światu i sobie!.. (Klęka i bierze go za rękę.) Oto rodzice twoi występują z wieczności, słowom mym moc niezwykłą nadają: otwórz przed niemi serce! wołają do dziecka swego przezemnie; wołają pod zaklęciem swej miłości, pod zaklęciem życia wiecznego! patrzą na nas; patrzą jak przyjmiesz prośby, jak wysłuchasz łzy starca klęczącego u kolan twoich!*)

EDMUND (podnosząc go).

Co słyszę? Kto cię tych wyrazów nauczył? Kto ci dał to wysłowienie? Jakaż tajemnica, jakiż mieszkaniec innych światów przez usta prostego sługi tak duszą moją zatrząsł?. Duchy pomarłych! Więc za granicą grobu mielibyście jeszcze jakie związki z nami? Nasz los, nasze walki, nasz upadek jeszczeżby z głębi wieczności przywoływał was do ziemskich pamiątek? Więcbyście tu byli, tu przy mnie, ojcze mój! moja

*) Autor, odczytując miejsce oznaczone, uważał iż dobry Wacław przemawia w niem odmiennym i nieco wyższym językiem od tego jakim n. p. napisał list do Augusta, i jakiego w innych chwilach używa. Jest to osobliwość, z której nie wiem jak nasz poczciwy sługa mógłby się wytłómaczyć. Prawda że każdy człowiek, w namiętnem i gwałtownem duszy poruszeniu, znajduje wyrazy silniejsze, żywsze obrazy, i mówi inaczej jak zwyczajnie; że ten który w r. 1740 wymową swoją zapalił wojnę między Anglją i Hiszpanją, był tylko prostym majtkiem z katuszy wracającym; że wódz dzikich, który pewno nie słyszał, iż są na świecie mówcy i figury retoryczne, gdy od niego żądano ustąpienia z ziemi ojczystej, tak odpowiedział: urodziliśmy się na tej ziemi, i nasi przodkowie w niej są pogrzebani; powiemyż ich kościom powstańcie! i chodźcie z nami do krajów cudzoziemskich?.. Wszelako sąd w tej mierze należy zupełnie do czytelników.

matko! O! nie patrzcie na dziecię wasze! Nie czytajcie myśli moich! Zaklinam was, nie zatrzymujcie mię na ziemi!..

(Po chwili:) Znikacie mary rospalonej głowy.. Z kogo śmierć raz zdjęła więzy życia, chciałżeby dobrowolnie znowu stawać śród jęków ziemi? To nędzne nasze istnienie, które najkrótsza chwila niszczy, lada robak przecina, które w każdej myśli, w każdem uczuciu znajduje sobie wroga i zabójcę, miałożby w dziele stworzenia tyle przywileju, iżby kłóciło nawet pokój wieczności? W każdym punkcie życia, śmierć; w każdej jego sprawie, koniec i zniszczenie. Czyliżby ci dumni zwycięscy, którzy tak łatwo, tak powszechnie trzymają nad niem potężne swe berło, ścierpieli by nikczemny poddany, licha ofiara wchodziła z tryumfem panowania w odwieczne ich państwa?.

(Spostrzegłszy się iż nie jest sam.) Dobrze, kochany Wacławie; zaraz przyjdę i będę mówił ze stryjem. Przepraszam cię za moją prędkość; lecz należało więcej być ze mną otwartym, i potajemnie listów nie posyłać: tem bardziej, że jak poznaję ze słów pana Augusta, popisałeś szczegóły, których sobie nawet nie przypominam.

WACŁAW.

Wszystko com posłał było panie prawdą; niczem jak czystą prawdą, o której musiałem uwiadomić: a jeżelim obraził, niech mi pan Edmund raczy to zapomnieć. Lecz na cóż mnie te wszystkie rzeczy? Już i tak z łaski waszej mam więcej niż potrzebuję. Niech pan Edmund będzie łaskaw wziąść napowrót.

EDMUND.

To wszystko już jest twoje, wierny i cnotliwy sługo. Masz dzieci, powinieneś dla nich co zebrać: więc o tem ani słowa.

WACŁAW.

Ależ kapelusz. Jakże pan pójdzie?

EDMUND (biorąc kapelusz).

Dobrze; w nim jeszcze wrócę do mieszkania.

WACŁAW.

Na cóż mi ta książka?

EDMUND.

Sprzedasz ją.

WACŁAW.

Niech mnie Bóg broni żebym pańskie rzeczy miał kiedy sprzedawać. A dla dziecka może się nigdy nie przyda.

EDMUND.

Dla twego dziecka? Więc ją oddaj; tego daru nigdy wam nie uczynię. (Bierze go pod rękę.) Twój syn najstarszy Karol...

WACŁAW.

Co pan Edmund robi? Mnie nie przystoi taka poufałość.

EDMUND (nie puszczając jego ręki).

Ile ma lat twój syn najstarszy?

WACŁAW.

Karol, to najmniejszy. Najstarszy gdyby żył, miałby już na Gromnicę dwudziesty i dziewiąty rok. Lepiej mu tam u Boga: dobrze że i za rodzicami jest się komu przyczynić. Dwóch córek, które wydałem między ludzi, już to nie rachuję; to teraz najstarszy, Grzegorz, ma dopiero czternaście. Niczego chłopak; już tam w czem może matce dopomaga. Jeszcze ze dwa lata będzie przy domu, potem niech idzie na swój kawałek chleba, żeby i młodszemu mógł się przydać i dać przecie jaką pomoc gdy nas już nie stanie. Majątku mieć nie będą, więc niech wcześnie u ludzi zarabiają na miłość i dobre słowo. A znow Karol, to ten jeszcze mały. Matka każe go tam uczyć, ale nie wiem jak się będzie przykładał, i czy to wyjdzie kiedy na ludzi. (Chcąc odebrać swą rękę.) Lecz niechże pan Edmund pozwoli. Kto słyszał tak za pan brat?

EDMUND (chodząc z nim).

Czy ci źle bliżej mych piersi? i czyli się obawiasz aby co nikczemnego nie przeszło z nich łatwiej do twoich? Bądź

spokojnym, przyjacielu, nic tam się takiego nie ukrywa; a od mej zarazy twój wiek najlepiej cię zabespiecza. Ale niedawno dawałeś mi przestrogi: muszę ci się wypłacić. Źle robisz, Wacławie; i do złego żona twoja dzieci swe prowadzi. Z męża powstała niewiasta, i on za grzechy jej odpowie: gdyż ma jej wolą kierować, stać się dla żony głową i przewodnikiem. Odebrałem ci książkę; i ten czyn jest mi już położony na szalę zasługi. Wiesz że, nieuważny ojcze, co było zakazanym owocem?.. Zgubna nauka; lot myśli nad przeznaczenie nędznej gliny; zuchwałe przebudzenie się serca. Przykroż ci widzieć młode drzewo, swobodnie pod promieniem wiosny liść swój rostaczające? Czyliż nie przestając na opiece w jakiej je trzyma natura, rozedrzesz jego ciało, i sztuczne wpuścisz weń soki, myśląc że słodsze wyda ci owoce? Raczej okaż się dobroczynnym, i własną ręką podetnij drzewo, nim je obejmą trucizny bole. Nie na jego to wspaniałym szczycie orzeł swe dzieci będzie wykarmiał; nie pod jego rzeźwiącym cieniem odpocznie pielgrzym pobożny. Słuchaj więc, dobry starcze: spal wszystkie księgi; a popioł z nich będzie najlepszym dla synów twoich majątkiem.

WACŁAW.

Pan Edmund żartuje. Przecież co człowiek wart bez nauki? Kiedy nie ma rozgarnienia na rzeczy i na ludzi, nie wie jak co osądzić, w jakim sposobie uważać: to właśnie zwierzę i nic więcej.

EDMUND.

Ty chcesz więcej?.. Wacławie, mówiłem do ciebie jak mędrzec: mówiłem o grzechach i owocach; o drzewach i o pielgrzymach. Pójdź za moją przestrogą: bo z każdej mądrej rady, którą odrzucamy, zdawać będziemy rachunek. Jeśli mi nie wierzysz lub nie rozumiesz, możesz o to samo zapytać się mojego stryja. Powiedz mu, że zaraz będzie mię widział. Nie zatrzymuj się.

(Wacław odchodzi.)

EDMUND sam.

Niech tym czasem przygotuje kazanie: gdyż pewnie zaprasza mię na tę potrawę... Będzie się gniewał; będzie mi złą wolę i nieczułość wyrzucał. Ludzie, ludzie! Czemuż nie roskażecie burzy by milczała, falom oceanu by jak słowiki miłośnym śpiewem ucho wasze pieściły?. (Patrząc w górę:) Czemu swą złotą wymową tej chmury czarnej nie rozświecicie? Mówcie do niej: dla czegoś tak posępna? przed tobą w około niebo pogodne; przed tobą jasne słońca promienie: czemu chcesz zabawom naszym przeszkodzić? na spokojnych dolinach dzieci nasze przestraszyć?.. Nie słyszy żałobna: coraz czarniejszą nocą pierś swoją nakrywa; stoi ponuro: choć przed niemi niebo pogodne; choć dla nich jasne słońca promienie.

Czarniejsza chmura na sercu mojem. Jakże tam ponuro i straszno!.. Młodości! kiedyżeś dla mnie kwitnęła?.. Więc już na zawsze myśli me pożegnałaś! Gdy inni wesoło przy piersiach rodziców, z pod dachu rodzinnego, z uśmiechem na ustach, z sercem rozwijającem się, patrzą z portu jeszcze na morze świata; gdy nadzieja, w całym blasku swych uroków, w mirt i laury strojna, otwiera przed nimi szranki życia, za rękę prowadzi, i pierwsze kroki każe im stawiać z całą młodzieńczą ufnością... Ja, w tymże wieku, pielgrzym zniszczony, wracam już z drogi: wracam z pooranem czołem, z sercem spalonem, bez użycia, bez wspomnienia nawet!. Jakież dobroczynne światło ścieżkę moją oświeciło? Jakiż wierny towarzysz przy boku mym stanął? Byłże kto, coby się trudów mych użalił, do męstwa zachęcił? coby walkę zrozumiał, wytrwanie pochwalił? Czyliż choć jedno bijące serce odpowiedziało na ogień mej duszy? Czyliż nawet litość czysta choć w jednem oku łzą mię powitała?.. W dzikiej pustyni zeszedł krzew nieznany: burza woń wypiła, piorun liście rozerwał; wędrowiec depcze łodygę; i ani się domyśla jaki kwiat na niej wyrastał.

(Słychać w oddaleniu tkliwy odgłos pasterskiego fletu.)

Szczęśliwy pasterz żegna dzień zapadający, i tkliwą pieśnią na góry swoje przywołuje cichość wieczora... (Przez chwilę słucha fletu, którego tony coraz się oddalają.) O jakże ta

nuta smutna lubo powtarza się w mem sercu!.. Miła harmonja smutku i tęsknoty, jak woń unosi się z natury łona; i jak westchnienie czułej kochanki, z taką rzewnością do duszy mej wchodzi... Dziwne wstrząśnienie... Coś razem wszystkie nerwy moje chwyta, rosprzęga... Jak ognie w głębi wulkanu, tak w głębi mych piersi ognie, łzy jakieś, nie boleści, nie roskoszy, łzy które nigdy w oczach nie wystąpią, wrą, burzą się, rozerwą... Lata ubiegłe, lata opłakane, wszystkie na nowo w oczach mych stawają. Com kiedy czuł, com myślał, i to co chciałem myśleć i co czuć mogłem, wszystko to przy mnie tak piękne, tak tkliwe; i cała przeszłość przedemną, i wszystko czegom w niej nie użył, nie miał, czego nie było nawet, występuje przed duszą moją, wypełnia ją, porywa... O Boże! Mowo ludzka, czyż to wyrazisz!.. I oni to czują? Wszyscy czują?.. (Zasłania twarz, i opiera się o skałę.)

(Sala jak pierwej.)

JULJA, ANIELA.

JULJA.

O! nic przykrzejszego jak spotkawszy osobę, do której wszystko nas pociąga i przywiązuje, zgodność wieku, skłonności, sposobu myślenia, słowem, osobę dla której przyjaźni i pożycia zdaje się, że umyślnie byliśmy stworzeni: nie módz od razu rzucić się jej na szyję, nie otworzyć przed nią swej duszy, dla tego tylko że nudne, światowe zwyczaje nawet dla uczuć przepisały prawidła i formy, i nawet najczulsze serca zwiąski każą rospoczynać przez zimne i nic nieznaczące grzeczności. Często przeciąg czasu, przez który z sobą być możemy, jest aż nadto krótki; a tak nieraz ścieżki naszego życia na chwilę połączone już się rozejdą, i wędrowcy, którzy szli po nich, wprzód miną siebie, nim we wzajemnem poznaniu zdołali użyć spotkania roskoszy. — Jakże ci wdzięczna jestem, droga Anielo, żeś pozwoliła prędzej mi trafić do serca swego; żeś równie niecierpliwie biegła naprzeciw mojej przyjaźni. Nie wiesz, jakie wyświadczyłaś dobrodziejstwo;

nie wiesz jak go potrzebowało serce twej Julji. Tyle rzeczy z tobą mnie łączy. (Ściskając jej rękę.) Kochałam cię wprzód jeszcze, nim zobaczyłam.

ANIELA.

Luba Juljo! ja przynajmniej, jeszcze nie miałam szczęścia poznać cię bliżej, kiedy już z listów mego brata...

JULJA.

Z listów Edmunda? On pisał o mnie? Cóż pisał?

ANIELA.

Na powtarzane moje prośby musiał mi zawsze donosić o nowych swych znajomościach. Czujesz zapewne ile mię obchodziła najmniejsza o nim wiadomość; co robi, śród jakich żyje osób, kto go zajmuje, jak mu dzień schodzi, na co którą godzinę ma przeznaczoną, słowem, wszystkie szczegóły; tym sposobem, i oddalona chciałam jeszcze być przy nim. Stawiając się myślą śród jego towarzystw, wyobrażałam sobie jego pożycie, rozmowy, słowa nawet. Nieraz w miłem zwiedzeniu, oparta nad listem odebranym, przenosiłam się do boku Edmunda; i szczęśliwe dziecko, zapominając o własnym świecie, żyłam w jego gronie, śród jego nowych przyjaciół i znajomych. Rzadkie były listy; rzadsza jeszcze wiadomość że się do kogo zbliżył. Wszelako z Rzymu pisywał częściej; a prawie w każdym liście było o twym ojcu i o tobie. Twoje przymioty, przyjemne towarzystwo, a nadewszystko tkliwa czułość w staraniach około matki, jak jej każdą chwilę osładzałaś, jak w jej cierpieniach...

JULJA (przerywa).

Cóż więcej o mnie? Czegoś się z jego słów domyśleć mogła? Powiedz. Czy wiele o mnie pisał? Masz te listy? Pokaż mi je, pokaż natychmiast. Moja najdroższa! jak ty byłaś potrzebna do mego szczęścia, do mego życia! Jakże ci się odpłacę? Pokaż te listy. Za każde słowo do nóg ci się rzucę; dusza moja w roskoszy każdą literę nową łzą szczęścia przywita... Dziwisz się? Czyliżem ci nie mówiła? Czyż wszystko trzeba słowami? Ach mówiłam! Droga Anielo!

(Rzuca się jej na szyję.) Kocham! Kocham! Ukryj mię w swem objęciu, nie patrz na mnie; jestem nieszczęśliwa, ubóstwiam!

ANIELA.

Edmunda!

JULJA (jeszcze w objęciu Anieli).

Nie odpychaj mię od siebie, nie odpychaj! Niech cię te łzy poruszą, błagają; niech spłyną do twego serca: niech mi twą przyjaźń, niech twoją litość uproszą... Jakże mi lżej na biednem sercu, żem ciężar tej tajemnicy podniosła przecie. Jakżem ja potrzebowała ciebie!.. Będziesz mi o nim mówiła, będziesz mi powtarzała wszystkie jego słowa, wszystkie; może choć w jednem będzie jego czułość, jego miłość dla mnie, choćby najsłabsza, choćby tylko domyśleć się dająca. Ty mi powiesz to słowo, nieprawdaż najmilsza? Wszak ty mi je powiesz.

ANIELA.

Kochana Juljo!

JULJA.

I nic więcej? I nie przyciśniesz mię, nie pocieszysz? Ach! może tem wyznaniem, może za szczerość moją, pogardę tylko zyskałam!

ANIELA.

Co mówisz, droga Juljo? Wdzięczność to wiąże me usta; wdzięczność za dowód tej ufności, czułość nad twym losem, i razem chęć gorąca, jedyna, widzieć twoje, jego, i nas wszystkich uszczęśliwienie! Nie zawiodłaś się na mojem sercu: poznasz je lepiej i będzie godne twej przyjaźni. Dla czegoż ta podejrzliwość? Byłoż kiedy występkiem niewinne uczucie serca, miłość czysta...

JULJA.

Czysta jak nieszczęśliwa, nieszczęśliwa na zawsze! On mię nie kocha! On pewno mię nie kocha! Inną kocha! On musi kochać! Z tem sercem, z tem czuciem, z tą duszą, on, mój

Edmund! on musi kochać. Kogo? Powiedz, zaklinam; ja cię nie wydam, niczem nie dam poznać: ale powiedz, ty musisz wiedzieć. Kto ona? Gdzie jest? On ci o niej pisał. Pokaż mi, pokaż te listy, jeszcze raz błagam! Gdzie są te listy?

ANIELA.

Uspokój się, na Boga! Widzisz jaki udział biorę w twej czułości; widzisz łzy w mem oku, widzisz wzruszenie moje: uspokój je własną spokojnością. Skądże ta pewność? Kto ci mówił? Kto dał poznać? Któżby inny był godniejszy jego uczucia? Któżby inny mógł odpowiedzieć lepiej jego duszy?.. Jeszcze nie znalazł chwili zwierzyć się swej siostrze, ale to uczyni; wyzna mi wszystko, bądź pewna, i zaraz wszystko ci opowiem. Będzie mi o tobie mówił; jego serce już pewnie jest twojem. Ja znam Edmunda: ty tylko jedna dla niego, kochana Juljo! ty tylko będziesz siostrą moją!

JULJA.

O! nie udręczaj mię, nie przywalaj duszy mojej tem szczęściem. Niczem nieszczęśliwego nie zgubisz tak łatwo, jak obrazami nieba którego nigdy nie można dostąpić, jak powiększaniem nadziei, która za chwilę ma go już na zawsze odstąpić. Nie ośmielaj mego serca, Anielo! na wszystko cię proszę, nie mów mu że to być może. Raczej ostrożnie oswajaj mię z moim losem; ucz jak jest niepodobieństwo tyle zasłużyć się Bogu; jak za jedno żądanie, za jedną myśl o tem każdy by na wiek cierpień sam chętnie się skazał... Czyś ty kochała kiedy? Źle się pytam; jeśliś tak kochała, więc zawsze, wiecznie kochasz. Czy kochasz? Powiedz; jam ci tak wszystko wyznała.

ANIELA.

W mojej ustroni mało widziałam osób; i tak mocnego uczucia nie znam.

JULJA.

Nie znasz? Biedna Anielo! ty jeszcze nie żyjesz. Nie wiesz co niebo duszy, co serca ogień, co czucia niezmierność;

jaka cudowność Stwórcy w tem przeniesieniu się w drugą istotę, tak że ciebie już nie ma, że w niej tylko jesteś, w niej tylko czujesz, myślisz, oddychasz; w tem ubóstwieniu każdego jej słowa, ruchu, skinienia; w tem nieopisanem, niepojętem... Biedna Anielo, tyś jeszcze żyć nie zaczęła. Twoja myśl nie ma celu jeszcze, sny twoje nie mają przedmiotu. Dla ciebie dnia promień oświeca świat jeszcze martwy; przed tobą noc przykre tylko cienie rozwodzi, jasności tylko jest grobem, i nic pod jej zasłoną do serca twego nie mówi. Dla ciebie wszystko jeszcze nie obudzone, nieme, czeka dopiero tej chwili stworzenia: tej chwili, w której dusza do duszy się przeleje, w niej się dopiero cudowną iskrą, prawdziwem życiem zapali, wszystkie swe chęci, czucia, roskosze i bole w niej tylko znajdzie i czerpać będzie. Ty mię nie rozumiesz, nie pojmujesz; ja ci się dziwną wydaję. Kochana Anielo! tem więcej podziękowania, wdzięczności za twoją litość, za twoją czułość nademną. Ale mów, droga przyjaciołko, dla czego on ciągle jest smutny? Czem zawsze tak zajęty? tak w czarnych myślach trzymany? Tylko mów szczerze, mów wszystko. To musi być miłość; jakieś miłości nieszczęście. Może kogo stracił... Czy już jej nie ma? Powiedz. Gdzież masz te listy? Ja sama z nich się dowiem. Wszak takim od was nie wyjechał.

ANIELA.

Listów nie mam, gdyż do niego samego jechałam. Ale kochana Juljo, nie weselszym od nas się oddalał. Owszem wzgląd że może się rozerwie, rozweseli, był najważniejszym powodem dla którego mój stryj skłonił się do jego podróży. Uważ więc z jakim smutkiem zawiedliśmy się w tak słodkiej nadziei. Dziś znajdujemy go bardziej jeszcze posępnym i dzikim, bardziej jeszcze od ludzi, od naszego nawet towarzystwa stroniącym, i w nierównie więcej osłabionem zdrowiu. Nie uwierzysz jak mnie to boli, jak mnie to nieszczęśliwą czyni. Ja tyle go kocham...

JULJA (przerywa, chwytając za rękę).

Najdroższa Anielo!

ANIELA.

Smutki więc jego nie wspierają bynajmniej twego podejrzenia. Przed swoim odjazdem nikogo nie znał prawie. Chyba w samotnych nocach, które bezsennie po lasach i górach często przepędzał, jaka nadziemska istność objawiała się jego zapałom, i serce jego ujęła. Istotnie, luba Juljo, bez nadnaturalnej przyczyny nie podobna prawie wytłómaczyć takiego postępowania. Od najpierwszej młodości żył inaczej jak wszyscy. Z dnia na dzień jakowaś zaraza zdawała się w sercu jego rozszerzać. Ciągle w uniesieniach, w smutkach; umysł jego był w osobliwszym stanie: jak gdyby coś chwytał, co zawsze przed nim uciekało i nigdy nie dosięgnione coraz nową, silniejszą wabiło go przyłudą. Gdyby mógł czemkolwiek przywiązać się do ziemi, drożej by cenił swoje zdrowie, swoje życie, i wszyscy bylibyśmy szczęśliwsi. O! spraw to, kochano Juljo! Niech zacznie żyć dla naszej miłości, dla szczęścia swego.

JULJA.

Jakże ty umiesz, sama wyświadczając dobrodziejstwo, wmówić w drugich, że otrzymując własne swoje szczęście, jeszcze ci łaskę przez to uczynią. Już za to samo że siostrę ma w tobie, kochać go muszę. Ale w tych nawet smutkach, w tej nawet swojej dzikości, jakże on pociąga, jakże porywa do siebie! To oderwanie się od świata, w wieku gdy wszystko na nim jeszcze mu się śmieje; to ograniczenie się w samym sobie z taką potęgą myśli, z taką czucia pełnością: ma coś tak wzniosłego, tak głębokiego... Cóż dopiero, gdy jesteś przy nim, gdy go słyszysz, czujesz: zda ci się że nie słowami do uszu ale ogniami do serca trafia. Gdyby się wtedy do skały, do lodu obrócił, i mówił tak, i spojrzał tym wzrokiem: lód by wybuchnął płomieniem, skała w pulsach by uderzyła. Droga Anielo! twój stryj zdaje się przejmować życzliwością, przyjaźnią dla mego ojca: uważałaś z jaką czułością dziękował mu za troskliwość o twego brata, za udzielane mu rady; mój ojciec dla waszego kraju, dla waszych ziomków tak jest

dobrze uprzedzony, tak szanuje wasz narodowy charakter... ty będziesz mówiła z Edmundem. Cóż ty mu powiesz? proszę cię. Jakże mu o mnie...

JULJA, ANIELA, WILHELM.

WILHELM (wchodząc z listem w ręku).

Kochana córko, odjeżdżam od ciebie.

JULJA.

Mój ojcze...

WILHELM (przystąpiwszy bliżej, postrzega na jej twarzy łez ślady).

Tyś widzę znowu płakała. Zaprawdę Juljo, źle się polecasz nowej swej znajomości; i prędko zrazisz od siebie przyjemne tej pani towarzystwo, jeśli ją płaczem tylko i żalami swemi zechcesz zabawiać. Moja kochana, bardzo często przed poufałym nawet przyjacielem zbyt rozszerzając się z naszemi smutki, nadużywamy troskliwości, jaką ma o naszą dolę, i z czasem obcowanie z nami przykrem mu czynimy; ale łza wylana przed obcym jest zawsze słabością, nie dobrze o nas uprzedzającą. W Bogu, moja córko, najpewniejsze źródło pociechy. Umiejmy tylko w niem czerpać przez poddanie się i pokorę... Wyjeżdżam na parę dni do chorego kuzyna twej matki.

JULJA.

Przed kilku dniami odjechaliśmy zdrowego.

WILHELM.

Właśnie w tym liście odbieram wiadomość o nagłej jego słabości. Człowiek już w wieku, a i najmłodszy, witając wschodzące słońce, nie wie czy zachodu promień nie oświeci jego mogiły. Żąda mnie widzieć: nie mogę mu tego odmówić. Będę jechał nagle, biorę tylko jednego człowieka, i nie chcę cię niewygodą utrudzać; tem bardziej że wkrótce w dalszą do domu udamy się drogę. Zostaniesz tu pod opieką szanownego pana Augusta, z którym się już pożegna-

łem, gdy właśnie teraz wychodził naprzeciw Edmunda. (Do Anieli.) Pozwoli pani abym miał zaszczyt polecić moją córkę przyjaźni i miłemu jej towarzystwu. Jestem pewny, kochana Juljo, iż przy boku osób tak przyjemnych, krótkie moje oddalenie się nie będzie wcale ci przykre. Jeśli ci pani pozwoli, pójdź mię pożegnać. (Kłania się Anieli, i wraz z Julją odchodzi do siebie.)

ANIELA sama.

Osobliwsze, wszystko osobliwsze w losie tego człowieka. Wież on o tak mocnem do siebie przywiązaniu tego miłego, tak czującego stworzenia? Czyliż potrafi jej przymioty, jej cierpienia ocenić? i czyliż... O dałby Bóg! aby dręczące mię obawy zakończyły się tą pomyślnością; aby szczęście drogiego stryja i moje zostało spełnione w szczęściu Edmunda i Julji!

AUGUST, EDMUND, ANIELA.

AUGUST.

Nie, kochany Edmundzie, jest to rażąca z twej strony nieczułość. Gdybym dla obcego, dla cudzoziemca tyle mil przejechał, tyle podjął trudu dla tego tylko abym go widział, uściskał, dał mu dowód mego przywiązania: lepiejby mię przyjął. Nie kryłby się przedemną, nie stronił jak przed nieprzyjacielem, i choć na przywitanie miałby mi przecie kilka słów czułych, przyjemnych do powiedzenia. A ty, dziecię które wychowałem, krew rodzonego brata mojego, brata lubego... Anielko, tybyś mi tego nie uczyniła. Tybyś starego stryja tak nie zasmucała, i po kilku latach niewidzenia miałabyś pewnie weselsze spojrzenie.

ANIELA.

Drogi stryju! oboje do ciebie równieśmy przywiązani. Czuje on, może nawet głębiej odemnie twe dobrodziejstwa i twoje dla nas serce ojcoskie: i pewno nie chciał ciebie obrazić

AUGUST.

Edmundzie, tyś mi uchybił: ona przeprasza. Nawet się z miłości mojej wydziera, dla tego tylko, abym uwierzył iż ty ją czujesz. (Całując Anielę.) Najmilsze dziecię! Błogosławieństwo nieba nad tobą!

EDMUND.

Kochany stryju, ona jest tłómaczem serca mego; i nie chciej we mnie widzieć niewdzięcznika. Nie myślałem iżby to wyjście na przechadzkę mogło cię obrazić; a właśniem już powracał kiedy miałem przyjemność ciebie spotkać. Nie uwierzysz, drogi stryju, ile mię to boli że nie umiem tak łatwo okazać mego przywiązania. Przykre ci jest moje smutne spojrzenie: przez ten sam wzgląd starać się powinienem, abym już niem długo nie ranił twojej czułości.

AUGUST.

Słuchaj, kochany chłopcze. W panu Wilhelmie masz prawdziwego przyjaciela; a jednak i on wiele ci nagania. Jest to szanowny, rostropny człowiek, chociaż twe wybujałe myśli lepiej odemnie rozumie. Tobie te podróże nie posłużyły. Humor jeszcze się pogorszył; zdrowie znacznie się nadwerężyło; rumieniec zgasł; słowem, szkoda czasu, kosztów, i nic więcej. Twoja siostra już to nieraz odemnie słyszała. Gdybyś te lata poświęcił wiosce, gospodarstwu, jużby przecie do tego czasu był jaki owoc pracy, jaki ślad twojego życia. Poznałbyś potrzeby ziemi, użytek pory, porządek zabudowania, dozór ludzi; oswoiłbyś się z biegiem interesów, i jużbyś dla siebie i dla drugich mógł być pożytecznym. Teraz wszystko to jeszcze przed tobą. To darmo. Wam młodym podróże by tylko po głowach chodziły; a to napróżno: trzeba raz zacząć i przejść przez to co inni. Tymczasem lata uchodzą. U mnie już nie ta siła, nie ta łatwość do pracy co dawniej: a i po ojcu jest tam jeszcze co kończyć, czem się zatrudnić. Chciałbym wam interesa już oddać. Czas też pomyśleć o losie siostry; kawaler może się trafić; już i tak, jakem ci donosił, zajeżdżano do nas w gościnę. Są summy

do odebrania; sprawy do przejrzenia. Wszystko to dziś już na głowie twojej. Jesteś mężczyzną, i masz obowiąski starszego brata. Wszak prawda panie młody?..

EDMUND (w zamyśleniu).

Tak, mój stryju.

AUGUST.

A widzisz. Te podróże, te włoskie ruiny, te tam jakieś zagorzałe myślenia chleba ci nie dadzą, interesów nie poprowadzą. Wioska, wioska mój panie. Zobaczysz jak się tam znajdzie i zdrowie, i humor, i wesołość. Te wasze stolice, te cudze kraje, te wielkich miast zabawy, o których swojej siostrze donosiłeś, nie zawróciły jej głowy. Nieprawdaż Anielko? Wioska, jeszcze raz wioska. Cóż ci te wszystkie zbytki, to mnóstwo ludzi, widowisk, huku...

EDMUND (unosząc się).

O! z daleka niech od was będą zgiełki, występki, i nudy stolic! Z daleka te składy murów, te więzienia, gdzie oddech czystego powietrza, serce czystego uczucia znaleść nie może; gdzie próżność i płochość szałem rażą umysł, czucie odrętwieniem; gdzie czas bez myśli i życia, ciągniony nudą i niesmakiem, wlecze się jak ciężar straszliwy. Tam dusza usycha bez pokarmu, prostota zostaje bez szacunku; bez czci pobożność, cnota bez świątyni. Tam wstyd śmiesznością, bluźnierstwa zabawą, nauka trucizną, fałszywość obowiąskiem, ludzkość rachubą; tam sama litość objawia się szyderstwem.

AUGUST.

Tak; bywają czasem różne niegodziwości.

EDMUND (zajęty swem uniesieniem).

O! jakże nędzny jest człowiek, kiedy oderwany od natury, zamknięty w obrębach i ruchu własnych czynności, z szlachetnego obrazu bóstwa, staje się niejako sztucznem stworzeniem lichych zabiegów i znikomości ziemskich! Sprzymierzony z towarzystwem przez interes i potrzeby, w spólnej zamianie

sił i zdolności, zostawia pomniki dowcipu i obywatelstwa: lecz ileż z tych samych dzieł, na których posuwa się cywilizacja, którym dziwią się potomni, nie przejęłoby odrazą i oburzeniem, gdyby wyszły na jaw niegodne sprężyny co ich twórcami władały? Nieraz one okupione najwyższą ofiarą: ofiarą godności ludzkiej.

Bóg dla uchrony i żywienia cudownej iskry, przez którą nas wywyższył nad wszystkie twory, osadził człowieka śród przedmiotów godnych rozwinąć i utrzymać świętość jego przeznaczenia: otoczył majestatem wspaniałej i wielkiej natury. Dał zdolności do zapatrywania się na nią: a w jej układzie umieścił wszystkie prawa moralne. Ale ciasny miast obręb, przedzielając nas od obrazów, na których mądrość przedwieczna oparła kształcenie się i siłę naszej duszy, odłączając od przewodnictwa natury: tłumi w nas i zagubia życie wewnętrzne. Cóż dziwnego, że człowiek zawarty we własnych wymysłach i urojeniach, ograniczony w samym sobie, wyradza się i upada? Serce, odarte z wrażeń co miały niem kierować, dziczeje w nieswornych żądzach; umysł, nie zajęty widokiem dzieł przyrodzenia, zapomina swej szlachetności, przekręca się i głuchnie.

AUGUST.

Anielko, ku czemu on to mówi?

EDMUND (nie słysząc, mówi dalej).

Po ileżkroć szczęśliwi, którzy z sercem czystem i oświeconym umysłem pędzą dni ustronne na łonie prostoty i natury! Jakże łatwa dla nich cnota, jak gotowa mądrość! Dla nich dar żaden nie jest stracony; każda piękność zachwyceniem, każdy obraz nauką. Obfita rosa, co czeka cieniów wieczora by w ukryciu ożywić ziemię: czyliż ich nie uczy dobroczynności? Za jeden promień jutrzenki, za jedną kroplę rosy, wznosząca się woń kwiatów: czyliż ich nie porusza widokiem wdzięczności? Masz serce; i czemużbyś zwał martwem co pod twojem czuciem może stanąć w życiu? Ziarno zgubione ich ręką, zmartwystające krzewem; strój lasów i dolin wiecznie powracający: nic że im nie mówią o przy-

szłości? Dla nich słońce oświeca wszystkie cuda stworzenia; nad niemi nocy milczenie przesuwa miljony globów: mogąż zapomnieć o modlitwie? Życie gajów, rzek toczenie się; zgroza przepaści, łąk uśmiech, gniew burzy; cała natura otwarta: trzyma przed niemi obecność Pana, na którego miłości i bojaźni wyrasta mądrość jako szczep obfity.

AUGUST.

Dobrze mówisz, moje dziecię; bojaźń boska jest najpewniejszą mądrością; i pochwalam ci te pobożne myśli. Ale gdzieżeś wykształcił się na takiego kaznodzieję? Przecież teraz nie o tem była mowa. Przywodziłem jak jest konieczna abyś już wrócił do domu, i zajął się gospodarstwem i interesami. W tym względzie kazałeś mi długo być cierpliwym. Na moje listy odpowiadałeś dość powierzchownie; chciałem jednak być wyrozumiałym najbardziej dla tego, żem myślał iż ta podróż w pięknych krainach przywróci twoje zdrowie, o które przedewszystkiem dbać należy, a które cię odbiegło Bóg wie kiedy i jakim sposobem. Nareszcie czas już te pielgrzymki ukończyć. Spodziewam się żeś nie inaczej przekonany, i że nie sami z twoją siostrą będziemy do domu wracali.

EDMUND.

Każdy moment, mój stryju, który nie upłynął lub nie upływa, jest jeszcze przyszłością; a ta przed napaścią naszych zamiarów ma przeważnego, niezwalczonego obrońcę. W dniu wiosny płoche dziecię przebiegając swoją dolinę spotyka kwiat rozwinięty: cieszy się jego pięknością, i liczy pączki które się otworzyć mają; niepomne iż może pod najmilszym listkiem już się porusza robak, co włókna rośliny ma przeciąć, soki zatruć, i z prochów jej potomstwo swoje rosplemić. Patrzymy na młodość pełną sił i nadziei jako na pole nasze, a przecież wrogowi życia ani przez chwilę nie dostoimy. Zaślepienie rokuje nam wygranę, chociaż nawet do walki stanąć nie możemy. Budząc się, wiemy iż dzień nasz złożyć się ma z cząstek czasu; ale nie pamiętamy że natura jest czynniejsza niż najdziałalniejsze stworzenie. Najuczeńszy

erudyt, najpracowitsza mrówka, wiecznie rachujący lichwiarz, są przy niej próżniakami. Najmniejsza podziałka czasu jest dla niej nadto długim przestworem do pochowania miljona jestestw jednych i wyprowadzenia miljona innych. Świat ten jest jej pracownią, czas robotnikiem, życie środkiem, dziełem zniszczenie i wieczność.

AUGUST.

Rozsądku! dla Boga, rozsądku! Nikt nie wątpi o boskiej władzy, i o jej wszechmocnych rozrządzeniach; ale co tu robią kwiaty i mrówki, i lichwiarze? Nad wszystkiem jest opieka Pana, i On zna najlepiej na co jaką rzecz utworzył; lecz mój uczony pielgrzymie nie mówże nam od rzeczy. Rozsądku! dla Boga, rozsądku!

EDMUND.

Szanowny stryju, wszakże się nie gniewasz że nie możesz rozmówić się z drzewem, ze skałą, lub ze słońcem. Życie jest wszędzie; i nikt nie wie gdzie są materji granice. Całość jest harmonijna i zgodna; lecz chociaż cała budowa natury jeden tylko wielki stanowi łańcuch: przecież każde jego koło odnosi się jedynie do swych przyległych; z innemi związku nie uczyni. Wyrzucasz mi, dobry stryju, milczenie, jakie dość często względem ciebie i drugich zachowuję; ale czyliż tenże rozsądek, do którego w każdej sprawie odwołujesz się po wyrok, nie przekonywa cię, iż na to tylko mówimy aby nas rozumiano; i czyliż każe odrzucać doświadczenie?

AUGUST.

Ja waćpana nie rozumiem, to jest pewna. Wiem przecie że już lat kilkadziesiąt na świecie żyję, i już lat kilkadziesiąt rozmawiam z ludźmi: a Bogu dzięki, i sam ich dotąd rozumiałem, i siebie dawałem im zrozumieć. Ale wy, przemądrzałe filozofy, co to nas starych za nic sobie ważąc, we wszystkiem nowych sposobów, udoskonaleń, i jakichś tam głęboko-czułych i czuło-głębokich myśli i sentymentów szu-

kacie, póty-ście w swych naukach bredzili, póty się w kabałach swoich odkryć i dociekań zagłuszali: póki z rozumu, tego pięknego i oczywistego daru nieba, nie uczyniliście sowy dzikiej, która aby mogła co zobaczyć, musi wprzódy usiąść w ciemnościach. Pytam się: po co w najmniejszej rzeczy te zawikłane figury, te porównania nadęte, te słowa niesłyszanem brzmieniem uszy tylko poczciwych ludzi drapiące? Mądrość tyle tylko jest mądrością, ile jest jasna, zrozumiała i przystępna; i nie na zagmatwanej plątaninie wyrazów, ale na prostych myślach i pożytecznych czynnościach polega. Lecz wy, z waszemi głębokiemi rozumami, wszystko dziś macie, prócz rozsądku.

EDMUND.

Kochany stryju, są ludzie dla których cała mądrość jest w latach; są inni którzy jej szukają w myśleniu. Pierwsza zamyka się w kole naszego tylko jestestwa; ogranicza się załatwianiem potrzeb i stosunków z ludźmi, jako istotami prowadzącemi swój byt w tem samem co my miejscu i przez też same środki: druga jest właściwiej z panowania duszy, i rozszerza się na całą niezmierność stworzenia. Tamta, z małemi wyjątkami jest raczej doskonalącym się instynktem; ta, odmiennej zupełnie natury i innego początku, musi mieć odrębne swoje drogi i cechy wyłączne. Jedna obrała sobie za przewodnika oczywistość, za sędziego rozsądek; druga, w śledzeniu dzieł Stwórcy wznosząc się z krainy zmysłów do sfery wyższej, nie wstydzi się, iż nie wszystko tak dokładnie może rozumieć, ani wszystko tak jasno wyłuszczać: owszem w samej swej pokorze znajduje sobie potęgę i świetność. Nie można jednak wszystkiego mianować czczem urojeniem co pewne granice już przechodzi. Oko bardzo prawdziwie może dojrzeć orła szybującego w obłokach, choć jego lotu ucho nie dosłyszy. Chodząc po łące nie dotkniesz się ręką krążącej woni, nie zobaczysz jej formy ani koloru: niemniej atoli szczerze i prawdziwie o jej bycie jesteś przeświadczony. W tym względzie zmysły nasze mogą użyteczną naukę przekładać umysłowi.

AUGUST (z niechęcią odwracając się).

No, Anielko. Mu ty prawimy o użytecznych naukach, a ty zapewne myślisz o jakim użytecznym uczynku.

(Do Edmunda.) Czemuż waćpan nie zostajesz autorem? Czemu nie drukujesz książek o swoich wysokich myślach?

EDMUND.

Nie piszę, bo żadnego rzemiosła prowadzićbym nie potrafił; a jestem przekonany, że ci w małej liczbie pisarze, którzy jedynie byli godni szlachetną sławę swoją potomności przekazać, o czem najwyżej myśleli, co najgłębiej czuli, i dla czego wzięli do ręki pióro, tego właśnie nigdy wypisać nie zdołali. A potem, płody umysłowe tylko świat ocenia, ile te najmniej są umysłowemi; ile wyrobić dają się ręką, i w oczywistym, dotykalnym okażą się stosunku z codzienną potrzebą i użytkiem ludzi. Wszystkie inne są już marzeniami.

AUGUST.

W tych mógłbyś pewnie celować.

EDMUND.

Z marzących, jedni istotnie i we śnie prawdziwym zapominają ziemskich nikczemności; wielu zaledwo drzymie, albo chce tylko udawać spiących. Obłuda tych ostatnich zawstydza, poniża pierwszych. Iskry rozumu, płomienie serca, przedrzeźnia szarlatanizm pismiennych fałszerzów; przygasza je krytyki szyderstwo. Bezwstydność jednych wywołuje na harc złośliwość drugich nikczemników; a mieszkaniec sfer wyższych, gienjusz szlachetny, jest dla nich gościem nieznośnym, w którego wszystkie groty swe zwracają. Społeczność, za nędzną i często upadlającą swoją opiekę, którą nam ustawicznie przed oczy wyrzuca, chce w każdym swoim członku znaleść sobie trefnisia, który, jednym lub drugim sposobem, powinien ją rozrywać i zajmować, podług tych albo owych form i przepisów. Dla kogoż mam pisać? Dla siebie i sobie podobnych nie potrzebuję, ani potrafię. Będęż się na to wywnętrzał, abym zadziwiał głupców, którzy przeto tylko są ludźmi że mają kształt człowieka? Czyliż na to

uczucia i ognie moje mam wyprowadzać z tajemnic serca iżby jakiś nędzarz, nikczemnik piszący, na warsztat krytyki w zgłoskach je podkładał, i śmiechem świętokradzkim bezwstydnie urągał duszy mej pięknościom? aby mię parodjował jakiś dowcipny półgłówek, który sam jest tylko parodją człowieka? Lub mamże szukać pochwały lepszych, chociaż niemniej pospolitych ludzi, którzy moje uniesienia tyle tylko pojmą, ile znane im jest znaczenie wyrazów jakich do ich wydania użyć mogę?

AUGUST.

Bogu dzięki! Cieszę się, iż sam wyznajesz że nie tylko ja jeden nie jestem godzien waćpana zrozumieć...

(Do Anieli.) Nie zapomnisz, Anielko, że pan Wilhelm odjeżdża, i że jego córka nam tu będzie zostawiona.

ANIELA.

Pamiętam, mój stryju. Ale teraz jest jeszcze ze swym szanownym ojcem.

AUGUST.

Dobrze, moje dziecię... Pójdź, niech cię ucałuję. Nie umiesz przywodzić głębokich teorji: lecz umiesz uprzyjemnić towarzystwo osób z tobą żyjących; umiesz ich przykrości osładzać...

Więc tedy, Edmundzie, jedziesz razem z nami... O czemże się tak zamyśliłeś? Wszak wracamy wszyscy do domu?

EDMUND.

Co pan Wilhelm mówi?

AUGUST.

Pan Wilhelm?... Nie słyszysz o czem mowa; nie widzisz nawet z kim jesteś. Spodziewam się że już masz dosyć tych podróży; i że pragniesz powrócić do kraju razem z siostrą i ze mną?

EDMUND.

Przykro mi jest, kochany stryju, iż w tej mierze nic stanowczego odpowiedzieć nie mogę. Samo zdrowie moje już

stawia temu przeszkodę. Kto wie czy nie na tej cudzej ziemi przyjdzie mi znaleść ostatnie schronienie. Dosyć mam pociechy gdy was jeszcze widziałem. Przywiązanie do swego kraju zapewne już ustaje pod grobowym kamieniem. Pod ziemią wszystkie narody łączą się w jedną, wielką rodzinę; i w grobowem swem potomstwie wszelkie granice krajów bespiecznie już przechodzą. Zresztą, obojętna jest jakie miejsce ma nasze popioły narzucić murawą; lub w jakim języku zaśpiewa piosnkę oracz pracowity, gdy kiedyś pługiem uderzywszy o kości nasze, będzie je wyrzucał z pogardą na grunt sąsiada niemiłego.

ANIELA.

O mój Edmundzie! Nie widzisz że, iż ja tu jestem? że to słyszę? i przedemnąż mówisz tak okropnie!

AUGUST.

Jeżeli czujesz się słabym, czemuż nie szukasz rady, nie odmienisz rodzaju życia, nie udasz się do jakiego lekarza?

EDMUND.

Być może; bardzo być może iż wkrótce rodzaj życia odmienię... Kto może zaufać, kto może być pewnym dłuższej cierpliwości?

AUGUST (do Anieli).

Nie płacz, kochane dziecię. Ofiaruj Bogu ten smutek, który zesłał na twoją niewinność, dając ci takiego brata. (Do Edmunda.) Ciesz się, młodzieńcze, swem dziełem. Ciesz się łzami siostry, ciesz się zgryzotą stryja, który ci był ojcem drugim. Takie to marzenia, takie wyszukane czułości zawróciły ci głowę, odebrały zdrowie, uczyniły z waćpana mędrca ni do Boga, ni do ludzi. Albo nic nie gadasz, stoisz jak ściana, i zatopiony w dziwnych urojeniach, ani widzisz, ani słyszysz co się około ciebie dzieje; albo też, gdyby koń dziki, latasz w swej rozmowie po górnych krajach, że cię zrozumieć ni pojąć nie można. Nauczyłeś się myśleć jak ludzie nie myślą, czuć jak ludzie nie czują: a to wszystko, jakem twój stryj i jak pragnę twojego szczęścia, jest głupstwo i nic

więcej. Przestrzegałem cię o to w domu; przestrzegam i teraz; i choćbyś miał żonę i dzieci, gdy będziesz takim dziwakiem, będę cię jeszcze przestrzegał. Cieszyłem się z twojego gustu do nauk. Dobrze jest być przecie mędrszym od innych; dobrze jest i sobie i sąsiadom wytrawnem zdaniem i wiadomością rzeczy usłużyć i pomódz: ale we wszystkiem środek tylko jest dobry. Tego zbytecznego zagłębiania się, tego stronienia od ludzi, tej samotności, nie chwaliłem i nie pochwalam. Fałszywy to jest rozum, który nam i drugim szkodę przynosi; który odejmuje zdrowie, obrzydza życie, odrywa od towarzyskich zatrudnień, i swych wyzwoleńców w gnuśnych tylko rozmyślaniach trzyma i zamyka. Gdy przyjdziesz do lepszych lat, sam będziesz tak sądził. Chociaż czas już i dzisiaj, aż nadto czas otrząść się z tych dziwactw, i zacząć żyć zupełnie inaczej.

(Odchodzi.)

EDMUND, ANIELA.

ANIELA (po chwili).

Edmundzie! on cię kocha; on by wszystko dla szczęścia twego poświęcił.

EDMUND (chodząc niespokojny).

Szczęśliwszy liść nędzny, co wiatrem porwany, toczy się zwiędły po dzikiej zarośli. Nie wstrzyma go myśliwiec nogą zuchwałą; nie będzie się pytał czemu dziś wyschły i drżący. Po wiosny utracie, po życia upadku, tę ma przynajmniej pociechę że do swojego kresu dąży swobodnie. Czegoż chcecie odemnie? Czyliż temi wyrzutami, tem dręczeniem mię choć jedną kroplę uciechy do życia mego wmięszacie? Czyliż tym natłokiem czczych i nudnych wyrazów, choćby jedną myśl która przyjść miała, choć jedno uczucie, które musi we mnie uderzyć, oddalicie od mego serca? Skąd ta pycha zarozumiała, która was koniecznie mędrszemi czyni od innych?..

ANIELA.

My nie chcieliśmy cię urazić. Kochany bracie, przebacz mi.

EDMUND (zatrzymuje się, patrząc na nią z tkliwością).

Anielo! Siostro luba! Nie tym tonem, nie takiemi słowy. Tyś mię rozrzewniać nie powinna. Ja to proszę twego przebaczenia! Serce niewinne! Edmund sprawia twoje nieszczęście. Nie patrz na mnie tym wzrokiem. Te łzy twe ciche są najsroższym dla mnie wyrzutem. Siostro! Siostro kochana! (Rzuca się w jej objęcia.)

ANIELA.

Bracie mój!

EDMUND.

Anielo! znalazłaś mię więcej jeszcze smutnym, więcej zmienionym. Dziki mój rodzaj życia oddalił mię od twoich zabaw; ale myśl o tobie zawsze jest przy duszy mojej... Siostro! pamiętasz ty chwile naszego dzieciństwa? Nie zapominaj o nich; one ci najlepiej przypomną twego Edmunda. Los, który całą swą srogość dalszym moim latom gotował, wcześnie nas uczynił sierotami. Siostro! pamiętasz ty naszą matkę, ojca naszego?

ANIELA.

Pamięć ich szanowna zawsze jest sercu memu obecna. Lecz dla czegoż nie chcesz weselej do mnie przemówić?

EDMUND.

Któż inny może nas tak kochać?.. Czemuż już nie żyją! Wszystkie zgryzoty jakiebym ja sprawił, tybyś im nagrodziła. W tobie mieliby starań swoich pociechę, domu nadzieję... Ja także byłem celem ich miłości... Siostro, czy ty rozumiesz że dusze ich w wieczności żadnego już z nami nie mają ogniwa? że nie widzą mojego życia, że nie czują twojej zasługi?

ANIELA.

Jakiej zasługi!

EDMUND.

Czy zawsze pamiętasz tę pieśń tkliwą, którą matka nasza tak często lubiła powtarzać? Nutę jej smutną, w każdym

śpiewie ucho moje znajduje. Pamiętasz, siostro, jakeśmy chodząc koło ich grobowców, złączonym głosem pieśń tę zaczynali? Płacz boleśny nigdy jej skończyć nie dozwalał. Płacz ten musiał do serc ich dochodzić, musiał u nieba stanowić naszą zasługę, bo zawsze nam po nim tak miło, tak spokojnie było. Jam wtedy więcej jeszcze od ciebie płakał... Anielo, nie tylko wtedy!.. Jakeśmy najmniejsze ich słowa sobie przypominali! Jak w podwojonem ku sobie przywiązaniu chcieliśmy się z miłości dla nich wypłacać...

ANIELA (we łzach).

O Edmundzie!

EDMUND.

Ty jeszcze płaczesz. Ja już i o tem z suchemi mówię oczami. Gdyż jedno tylko mamy serce: to raz rozlane we łzach i w boleści, już się nie wskrzesi do życia nowego. Anielo, mów ze mną o pierwszym naszym wieku, o rodzicach lubych. Rady i przestrogi dobremu stryjowi zostaw.

ANIELA.

Przestróg, mój bracie, anibym umiała tobie udzielić; sama je raczej przyjęłabym z wdzięcznością. Ale serce braterskie radami, prośbami siostry gardzić nie powinno. Chcesz, bym ci o rodzicach mówiła: lecz najświętszym dla nich naszym obowiąskiem, najlepszem uczczeniem drogiej ich pamięci, nie jestże wzajemne czuwanie nad spólnem naszem szczęściem? Edmundzie! nie zostawiaj mię bez pociechy! Jednego tylko mam brata, jedno tylko serce, od którego miłości, opieki spodziewać się mogłam. Opatrzność do twojej tylko czułości nadała mi prawo. Ty masz być moim przewodnikiem, moim nauczycielem w życiu. Na twojej przyjaźni, na twoich staraniach polega los biednej sieroty, która w tobie tylko ma znaleść swe szczęście; w tobie tylko może odzyskać tkliwą miłość matki straconej, czułe rady ojca kochanego. Bracie mój! tak piękne powołanie, dzieło uszczęśliwienia miłej ci istoty, której wdzięczność, której przywiązanie wyrównałoby twoim dobrodziejstwom: nie jest że godne duszy twej szlachetnej? O! ty nie możesz tak myśleć. Za miłość, za ufność bez granic, nie twoje to serce może się wypłacić niewdzięcznością.

EDMUND.

Anielo, strzeż się tych wyrazów; ani się kiedykolwiek poddawaj żywszej czułości. Nie otwieraj duszy swojej przed wrogiem, który pozorem najmilszej tkliwości póty ją podchodzi, póki jak wąż zdradliwy nie przejmie trucizną, co wszystkie siły jej ma zniszczyć. Nie patrz na ten świat oczami serca: bo gdzie teraz kwiat piękny widzisz, stanie przed tobą cierń dziki; i ścieżka, którą jeszcze do szczęścia dojść możesz, łzami się przed tobą zaleje. Nie wiesz jak bolesnym owocem wywiązuje się każde wyższe uczucie. Pierwsze jego budzenie się jest roskoszą dla serca czystego... lecz nie patrz na słońce wschodzące: przyjdzie południe, wzrok twój nie wytrzyma jego płomieni; olśniony, w ciemność się pogrąży; gdyż wysoko nad nami światło to panować powinno, a my na ziemskim zostawieni świecie. Siostro, to co ci mówię jest nauką z dziejów mego życia. Gdybym miał był brata, któryby stanął przedemną tak jak ja przed tobą stoję, i gdyby z całem mojem doświadczeniem, wtedy właśnie, kiedy witając świat serca rzucałem mimo wiedzy tę ziemię, zawołał na mnie: gubisz się! byłbym ocalony... Tak jest... lecz prędkobym płakał na jego pogrzebie.

ANIELA.

Edmundzie, ty się ukrywasz przedemną. Ciebie miłość w stan ten wprowadziła. Mogęż myśleć iż miłość nieszczęsna? niewzajemna? Otwórz przedemną swe serce. Może nad twoje spodziewanie przynoszę ci pociechę, nadzieję. Ty kochasz, Edmundzie.

EDMUND.

Przez te słowa przypominasz mi, siostro, że mówię z kobietą. Wasz świat, całe wasze życie moralne spoczywa w jednem tylko uczuciu. Czekacie go w waszej młodości jak cacka obiecanego: przyjmujecie je z uśmiechem; cieszycie się różnością jego kolorów. Jest to najtrwalsza dni waszych

zabawka; i nie wprzódy ją z niesmakiem rzucacie, aż wiek surowszy podda wam inne, które w tem tylko przewagę mieć mogą, iż łatwiej jeszcze oddalać się dają. Wysoko nademną minął wzrok niebianki; a chociaż jego władzy mogłem się domyśleć, nie żałuj jednak iż jej nie uległem.

ANIELA.

Nie kochasz, Edmundzie?.. (Na stronie.) O biedna Juljo!

EDMUND.

Miłość, która was zabawia tylko, mnieby pożarła. Jakakolwiekby namiętność w sercu mojem zawrzała, każdaby w niem musiała być tak gwałtowną i wybujałą, iż to życie znieśćby jej nie mogło. Wcześnie rzuciłem się w świat uczuć; i już do życia tego powrócić cały nie mogłem. Zgorzałem pod słońcami dla was nieznanemi; jestem pośród was jak duch z tajemniczej krainy. Nie ma już dla mnie ułudzeń: świat wasz nie wystarcza moim myślom. Wszystko tu niewolnicze, ponure, i małe; a moja pielgrzymka zbyt się już przedłużyła.

ANIELA.

Bracie mój, gdyby jednak istota pełna przymiotów i czucia oddała tobie swe serce; gdyby do ciebie wszystkie jej myśli, wszystkie...

EDMUND.

Nie chcę rozumowania; gdyż czuję że prawie zawsze do fałszu prowadzi. Nie zagłuszycie mię waszym rozsądkiem; bo wewnątrz siebie słyszę głos tajemny, który mnie przeświadcza iż nauka jego jest równie błędna jak zarozumiała. Istota o której mówisz, byłaby jedną ofiarą więcej: ofiarą niewinną, jak ja nią jestem; a cierpienie innych losu nam osłodzić nie zdoła, ni śmierci w życie nie zmieni. Cóżby mię do tej ziemi przywiązać mogło? Czego ja pragnę, wy mi tego udzielić nie możecie. Czego pragnę, nie opowiem, nie dam poznać; sam nie wiem. A jednak dusza moja pragnie tak prawdziwie, tak głęboko; żąda tak nieustannie, tak koniecznie. Jest to coś potrzebniejsze mi niż powietrze, niż życie samo;

wieczność jakiegoś uczucia powszechnego, nieskończonego; wielkie, tajemnicze objawienie, co w jakichś snach nieziemskich duszę moją ogarnęło, w głębi się jej zawarło, stało mi się prawem, potrzebą, bóstwem, tyranem. Wszędzie je uczuwam, szukam, potrzebuję: a nic go nigdy spełnić, nic mi go sprawdzić, zaspokoić nie może. Tak; stan takowy jest zorzą niemylną, jest oczywistym dowodem życia innego, wyższego; gwałtem on mię wydziera z tej ziemi, i ducha mego porywa, unosi w światy doskonalsze. Wszystko mnie tu jątrzy, oburza, trzyma w ścieśnieniu i ciągłej boleści: gdyż cele ludzkie nie są mojemi; prawo moje nie jest prawem ziemi... Lecz pole, które przebiedz miałem, jest już zmierzone. Godzina, która na granicy jego ma dla mnie uderzyć, już występuje z wieczności. Anioł śmierci, i anioł życia stanęli przy niej; ten ze łzą litości, ten z palmą zwycięstwa. O! nieście ją prędzej, duchy opiekuńcze! Przyśpieszcie koło stworzenia. Spełnijcie wasze dzieło: dusza moja wyschła z oczekiwania.

ANIELA.

Ach! przez litość, Edmundzie!

EDMUND.

Raczej do męstwa się gotuj. Ale po śnie znikomym, rzeczywistość wielka, nieskończona, rospocznie byt nasz nowy, prawdziwy. Tam wszystkie dusze będą się rozumiały; tam Edmund usprawiedliwi się przed wami.

ANIELA (rzucając mu się z rospaczą na szyję).

O mój bracie! cóż przez to chcesz mówić?

EDMUND (trzymając ją w uściśnieniu).

Dobrze; jeszcze jedno... jedno, i może ostatnie... W tem uściśnieniu żegnam się z tobą; z ziemią... ze snami które już odleciały; z cierpieniem które przebyć musiałem. Tem tkliwem, serdecznem uściśnieniem żegnam was wszystkich!

ANIELA.

Edmundzie! ty chcesz mojej śmierci.

EDMUND.

Swego zmartwystania. Żal twój będzie żalem ludzkim, chwilowem ziemi uczuciem. Chyli się kwiat drżący śród burzy wieczornej, a pierwszy wschodu promień zastaje go pogodnym i wesołym. Czas przynosi smutek, czas przynosi pociechę; człowiek dzieła jego bierze za swe własne, nie wiedząc iż jest zawsze czasu tylko igrzyskiem... Lecz moje rozstanie będzie boleśniejsze. Trzebaż wam było widzieć dzień mój ostatni! Moja to wina, moje spóźnienie. (Zasłania ręką swe oczy. Po chwili, ściskając rękę siostry, woła głosem uroczystym.) Anielo! będę czekał na ciebie!

(Odchodzi spiesznie.)

ANIELA (wyciąga za nim ręce).

Bracie! Bracie okrutny!

EDMUND (z uniesieniem).

Siostro moja! Czemuż ci niebo nie dało innego brata!

ANIELA sama.

Gdzież odszedł? Co zamierza? Jakże go ochronię?.. Nie ja, nie ja, (Klękając.) Ty wielki Ojcze nas wszystkich! litości Boże! u którego tronu zawsze jest przyjęte wołanie sieroty: Wszechmocny! w prochu zanurzona, błagam Twej opieki, miłosierdzia Twego! Wstrzymaj krok jego nad brzegiem przepaści; oświeć go światłem Syna świętego! O Boże! Ocal mi brata; ocal sobie dziecię zbłąkane!

KSIĘGA III.

Noc miesięczna. Obszerny smętarz u stóp góry.

EDMUND sam.

(W płaszczu, bez kapelusza, wchodzi prędko.)

Jakiż mię ogień pożera! Czy duch jaki zawzięty, niewidziany goni za mną, i jakby żelazo rospalone karzącą swą rękę trzyma mi na czole, na piersiach? Tyle walk, tyle męczarni! O! skończyć już, skończyć!.. (Postrzegając się.) Gdzież jestem?.. Kroki me nawykłe do tego miejsca same tu mię przywiodły. Ślepe kroki, nie trafiłyście do swego celu; nie tu wam spocząć. Tu jest pobożnych schronienie; ostatni dom wytrwałych. Nie, nie masz tu żadnego Edmunda. Cnotliwi ludzie i na popiołach mścić się nauczyli... Gdzie parów ukryty, dzikiem porasta zielem, daleko od drogi i głosów ludzkich; gdzie sęp gór na stromej i nagiej skale z rozdartym łupem usiada bespieczny, i w krwawej uczcie przysłuchuje się z radością, jak u stóp jego wezbrany potok łamie się w gwałtach przez głębię otchłani, a wiatr na głośnych skrzydłach spadając w doliny, tysiącznem echem budzi pieśń okropną; gdzie w samotnych dumaniach zbłąkany czasem pustelnik, spokojną myśl swoją zakłóca, i skąd ze wstrętem krok przyśpieszony w milszą obraca stronę... tam grób mój będzie!.. Kilka dni minie, i już łza żadna, żadne westchnienie przyjdzie snu mego mięszać. Żaden przyjaciel, żaden nawet znajomy nie stanie nad moim kamieniem... Nie stanie; i patrząc na dom mój ostatni, nie będzie smutną myślą

przypominał sobie słów mego dzieciństwa, przygód mej młodości... nie powtórzy mego imienia, nie przemówi nademną głosem kraju mojego: tu spoczywa Edmund, niegdyś pycha rodziców, przyjaciół nadzieja!.. ani powolnym krokiem odchodząc z boleścią, zwróci się jeszcze i długo w stronę moją wpatrzony nie powie sobie: kochałem go! nie powie nawet: znałem!.. Chyba pasterz, szukając rospierzchłej trzody, zbliży się kiedy w tę ustroń nieznający rodu mego ni losu; a nieczułem okiem grób mój wskazując, zawoła do młodszych: to samobójcy mogiła!

Już też siły się wyczerpują. (W osłabieniu usiada i opiera się na grobowcu.) Nic nie widzę chłodniejszego nad oddech grobów. Przed chwilą płomień mię trawił, teraz krew jak lód wszystkie żyły oziębia... pulsy ledwie się poruszą; dreszcz członki przeszywa... Kraj szczery, mieszkańcy otwarci, wcześnie ci mówią jaki tu nocleg mieć będziesz... (Patrzy w niebo.) Wspaniała noc. Wspaniała natura... O! czemuż świat istot, świat moralny, nie ma tej piękności, tej zgody!.. Szlachetność i wielkość serca jest wprawdzie jakby słońcem dla niego; ciche i spokojne wspomnienie po niedojrzałem szczęściu, po zawiedzionych nadziejach, przyświeca na nim jakby to koło miesięczne: lecz pierwszę pośród chmur zawsze, choć je niekiedy blaskiem swym przebije, dnia pogodnego nie sprawi; a pod promieniem drugiego widać tylko ciernie i groby... Rzekłbyś, iż dzieło stworzenia tam właśnie upadło, gdzie się najpyszniej wynieść miało...

(Wznosząc oczy na księżyc.) Światło łagodne i lube! cóż w sobie masz tak tkliwego? Zdaje się że nie dla oczu ale dla duszy świeci twe wejrzenie... Jakże roskosznie i chętnie myśl nasza do ciebie przybita, o ziemi, o sobie zapomina... Gdzież ją tak rzewnie, tak miło unosisz?.. Czy ty jesteś bramą innych światów przez którą myśl zachwycona ogląda nadzmysłowość cudowną?.. Serce się rospływa że nie omylone w swoich przeczuciach; rozum pojąć nie umie... Czy jesteś grobów strażnikiem, że nad niemi najjaśniej trzymasz swe promienie?.. Czyli jak słońce dla żyjących, tak ty umarłym przyświecasz?... Być może. Słońce ich zgasło; a pamięć po nich bardziej jeszcze słaba, bardziej niewyraźna

niśli twe światło chmurą przesłonione... Z ostatnim dnia promieniem tłumią się wrażenia od przedmiotów, ustaje w nas życie zewnętrzne. Śród ciszy zmysłów, pod milczącą nocy gwiazdą, dusza jako kwiat otwiera się naturze: i w myślach jakie sama z siebie czerpa, w uczuciach które sama w sobie znajduje, zbliża się do źródła swego, w cudowny z bóstwem wprowadza się związek... Jakże tu całkiem jej świat się zmienia! i stan, i widoki, i czucie!... Już wolna i nad ziemię wzniesiona: nie ma jeszcze swej mowy; unosi się do swojej krainy, i w jednem odetchnieniu, w jednej radości chce cała wylać się przed swym Ojcem, powrócić, włączyć się do świętej całości: i jeszcze w połączeniu z ciałem, łzy tylko są jej tłómaczem. Ach! te łzy już nie należą do tego życia, i muszą być oświecone nieba wejrzeniem. Ty lube światło jesteś na ich straży; dla tej godziny stoisz tam nad światem: drżącym promieniem łzy te z ócz wynosisz... możeś dla tego tak smutne, tak miłe...

Miejsca tak dobrze mi znane, po kilku dniach z trudnością rospoznaję: w około nowe spotykam mogiły. Przybyłym gościom ustąpili dawni; ustąpili bez sporów, bez zazdrości. Nie długo te małe wzniesienia znowu zrównają się z ziemią, by znowu śród nich nowe się groby otwarły... Błąkamy się na dolinie życia jak nędzne robaki pod grobowem sklepieniem; ci wyżej, tamci deptani od innych; mijamy się nieczule, przebiegamy sobie drogi; w odurzeniu, w podłości gonimy za uspokojeniem nędznych potrzeb których jesteśmy niewolnikami: nie pomnąc nawet iż na tośmy tylko byt przyjęli, abyśmy istnieć przestali... Toż na całej tej wielkiej ziemi której czynimy się królami, nic po sobie zapewnić nie możemy!.. śladu, znaku, domysłu nawet, żeśmy kiedyś byli, zostawić na niej nie wolno... Gdyby przynajmniej choć jeden kwiat, choć jedna trawa wyłącznie dla nas, dla naszej pamięci trwale wyrastać mogła!...

Skrywa się w cieniach wóz jasny. Pogasły gwiazdy. Zdaje się iż noc znużona czuwaniem, okryła się do snu chmur płaszczem, i tysiączne oczy swe zamknąwszy, układła się w świata przestrzeni... Głębokie, czarne uśpienie... W otchłani ciemności tak sama jedna błyszczy jakaś gwiazda, jak

w wielkiej świątyni lampa opiekuńcza, jak w cieniach śmierci, wiary nadzieja... Żaden głos, żaden ruch, żadne życie... Rzekłbyś iż natura oddech zatrzymała... że sprężyny bieg światom dające, ruchy swoje ukończyły i czekają nowego dotknięcia ręki Przedwiecznego... Z przybytku wieczności stanęła niema cichość, i na granicach życia wstrzymanego rosciągnęła śmierci milczenie... Tak dla mnie było, kiedy w łonie czasu jak ziarno w oceanie ukryty, nie dotknięty iskrą bytu, tylko nicością moją należałem do natury... Tak dla mnie będzie, kiedy znów w ziarno ziemi zamieniony, po za granicą czasu zasnę w wieczności... kiedy jeleń z czarnego boru gryźć będzie trawę na mojej mogile... lub na moim kamieniu siedzący wędrownik będzie dumał o latach mijających... kiedy mię nie obudzi ni wesoła pieśń gajów, ni łoskot burzy, ni czułego serca westchnienie.

Głucha, straszliwa cisza. Sam jeden czuwam. Podemną groby, nademną i w około, jak gdyby w ich głębi, noc i okropność... Więc w całej tej liczbie umarłych, żaden ze spiących tu braci nie zostawił po sobie ani jednego serca coby pamięć jego zachować, przyjaciela mogiłę łzą żalu skropić, tkliwem wspomnieniem powitać chciało? Nikt że z tych co w prochu tu spoczywają, nie uwieńczył życia swego żadnym dobrym uczynkiem co miłość dla jego imienia miał i za grobem przechować? Nikt że z nich nie podał ręki sierocie, nie cieszył nieszczęśliwego, nie niósł ofiary cierpiącym, nie dochował nikomu czułości, wiary, przyjaźni? Nikczemna, podła wdzięczności! maro głów obłąkanych, sługo podstępów i zdrady; ostatni śnie duszy tkliwej, która w swych dobrodziejstwach i ofiarach przeżyć się tu myślała! śmiesz że przybierać cnoty nazwisko?.. Szanowni ludzie! Wszystkie długi serca sowicie spłacają, gdy zamiast sukni innego koloru, jedną czarną zużyją, w wyrachowanej liczbie miesięcy i tygodni.

EDMUND, BRAT I SIOSTRA.

(Dzieci mające po lat około ośmiu, wchodzą trzymając się za ręce.)

SIOSTRA.

Mój bracie! ach ja drżę cała. Trzymaj mię mocniej...

tak. Księżyc może się już nie pokaże; a gdyśmy wychodzili świecił tak jasny... Teraz tak strasznie ciemno... nic nie widać... Ot znowu depczemy jakąś mogiłę, a to grzech mój bracie.

BRAT.

Nie bój się, nie lękaj, nic nam się złego nie stanie. Pan Bóg wie że idziemy grób matki odwiedzić, i pewnie jest tu z nami. Tak ciemno, a dla niej pod ziemią jeszcze ciemniej. Jużeśmy jej dwa dni nie widzieli. Śmiało tylko; chodź trochę prędzej. Księżyc pewnie z tych chmur wypłynie; patrz, już kilka gwiazd wybiegło... Otóż jesteśmy! Od tego białego pomnika tylko siedem kroków na lewo. (Dochodzą kilka kroków od Edmunda.)

SIOSTRA (padając na świeżą mogiłę).

Tak, serce moje czuje, jest pewne. To jej mogiła!

BRAT (także na grób upadając).

Matko droga! najdroższa! o matko nasza! przyszły dzieci twoje do ciebie!

SIOSTRA.

Twoje dzieci do ciebie przyszły, i przez ziemię, przez trumnę twe ręce, twe nogi całują!.. Jużeśmy dwa dni nie byli. Tybyś do nas częściej przychodziła. Deszcze i burze były, opiekun wyjść nie pozwalał; i teraz nie wie że tu jesteśmy.

BRAT.

Siostro, pacierze mówmy. Prośmy za duszę matki.

SIOSTRA.

Ach dobrze bracie. Matko kochana! teraz pacierze za ciebie mówimy. (Klękają na mogile i ze złożonemi rękami mówią cichą modlitwę.)

EDMUND.

Czy to złudzenie, czy z chórów niebieskich dwa anioły uklękły modlić się za grzeszny rodzaj ludzki; czy też istotnie

dzieci to tylko nad matki grobem?.. Jak uroczysta niewinności modlitwa! Może to dla jej przyjęcia, ażeby wolniej do bóstwa płynęła, świat stanął w tej ciszy... Gwiazdy się zapalają, jakby na okazanie radości nieba z hołdu tak czystego... O Najświętszy! o Nieogarniony niebios i ziemi Ojcze! dozwól niech ta sama chwila przyniesie ci i moje westchnienie!

SIOSTRA.

Bracie, czy ty co słyszysz?

BRAT.

Nie lękaj się; duch matki naszej nad nami.

SIOSTRA.

Ja już nie mogę się modlić; ja płakać będę. (We łzach.) Ach matko! nie gniewaj się na mnie. Tyś nie kazała płakać, mówiłaś że połączymy się z tobą: a my tu sami bez ciebie, i może długo, długo jeszcze będziemy żyli.

BRAT.

Siostro, ja jeszcze pacierzy nie skończyłem, a ty do płaczu mię pobudzasz. Cicho sobie płacz. Teraz za naszego dobroczyńcę będę się modlił.

SIOSTRA.

Za tego smutnego pana z cudzych krajów, co matkę naszą chciał nam zachować, co ją z lekarzem odwiedził?

BRAT.

Co przez swego starego sługę dał nam dużo pieniędzy, że teraz opiekun ma nas z czego wyżywić i ubrać. Za którego matka już umierając, jeszcze się modliła i nam za niego prosić Boga kazała.

SIOSTRA.

Ach dobrze, dobrze! Za tego kochanego, biednego pana módlmy się bracie. Matko najmilsza! teraz się modlimy za dobroczyńcę naszego, co ciebie odwiedził i nam pieniędzy dał dużo, za którego i ty się modliłaś.

EDMUND.

Co słyszę? Miałyżby to być sieroty tej nieszczęśliwej wdowy?..

(Chwila milczenia.)

SIOSTRA.

Biedny pan, kochany! Jaki on dobry i łaskawy, a jak strasznie był smutny i blady. To był wielki pan, bo nie tylko nam jednym dał pieniędzy; a jednak musiał być bardzo nieszczęśliwy. Może i jemu matkę pochowali. Pewnie mój bracie i on stracił matkę, bo nawet raz widziałam łzy w jego oczach.

BRAT.

I ja widziałem; ale im na twarz spłynąć nie dozwolił, i nawet zaraz przykro się uśmiechnął. Bóg mu nagrodzi za dobry uczynek, i my go w pacierzach nie zapomnimy. Lecz mnie się lepiej sługa jego podobał, więcej z nami gadał i więcej nas pocieszał.

SIOSTRA.

Ach prawda, ja go bardzo kocham. Włosy miał takie piękne, białe. Mnie długo całował, i mówił że ma także małe dzieci i że ich dawno już nie widział. Szkoda że pojechał.

BRAT.

Kiedyż przecie mówił opiekun że go widział potem. A pasterz, który dziś był u nas, co rospowiadał o tym człowieku że po miesiącu chodził nad przepaścią i tylko wzdychał bardzo, a potem w gwiazdach coś czytał i rękami sam do siebie pokazywał, to pewnie mówił o tym młodym panu. Oni jeszcze nie musieli wyjechać. Ja będę prosił opiekuna żeby z nami poszedł, może go znajdziemy. Ach, ja będę bardzo, bardzo mu dziękował że nam sierotom dał opatrzenie i że mu bardzo wdzięczni jesteśmy.

SIOSTRA.

A ja za to że matkę chciał nam zachować i że z lekarzem był u niej. O dobrze, dobrze! pójdziemy do niego.

EDMUND (na stronie).

Kochane, kochane istoty! Nie ludzie dzieci, ale dzieci ludzi wychowywać powinni.

SIOSTRA.

Lecz mój bracie, może on już nie żyje. Czy nie pamiętasz jak był blady i oczy miał zapadłe, ponure. Gdyby go tu pochowali, jabym w nocy bała się przyjść do jego grobu.

BRAT.

A jabym przyszedł, i mówiłbym pacierz i długobym płakał że on już umarł. Bo zostaną się insze sieroty, a on by i dla inszych był dobroczyńcą.

SIOSTRA.

To i jabym płakała. Ale on tak wyglądał jak gdyby za życia był już umarłym.

(Księżyc z chmur występujący odkrywa stojącego Edmunda. Dzieci wydając krzyk chwytają się za ręce.)

SIOSTRA.

Bracie czy widzisz? To duch, to umarły! Ach ty drżysz cały!

BRAT.

Nie lękaj się... już się nie boję. (Do Edmunda.) Człowieku czy umarły co chodzisz po miesiącu, ty nam nic złego zrobić nie możesz bo my sieroty jesteśmy, i Pan Bóg tu jest z nami bo przyszliśmy do matki grobu.

EDMUND.

Uspokójcie się, dzieci lube. Widzicie przyjaciela waszego.

SIOSTRA (po chwili).

Przyjacielu, czy ty nie jesteś umarły? Czy nie z ziemi do nas wyszedłeś?

BRAT.

Co ty mówisz? Umarłym nie dają takich sukni. Patrzaj, to pan jakiś pięknie ubrany.

SIOSTRA (do Edmunda).

Czy pan nie odprowadzi nas do domu, żeby drugi pan skąd nie wyszedł i znów nas nie przestraszył?

EDMUND (zbliżając się).

Wszystko dla was uczynię, dzieci kochane.

BRAT (poznając).

Ach siostro! to nasz dobroczyńca, to ten pan! Dobry, kochany panie! a my ciebie szukać mieliśmy żeby ci bardzo, bardzo dziękować. (Ze łzami.) Ach ja płaczę, bo ty do matki naszej z lekarzem przyszedłeś, a ona modliła się za ciebie! Ona już umarła; widzisz tutaj ją pochowali. Ona już tobie nie może dziękować, ale my dzieci jej ciebie kochamy (rzucając się do nóg Edmunda) i dziękować ci będziemy i nogi twoje całować jakby matki nogi; bo ty nam dobroczyńcą się stałeś, a matka nasza szczęśliwa jest teraz, że widzi z nieba iż przy tobie jesteśmy.

SIOSTRA (także u nóg Edmunda).

Ty nam ją zachować chciałeś, ona teraz za ciebie modli się w niebie że my cię bardzo kochamy.

EDMUND (podnosząc ich).

O powstańcie! powstańcie dzieci najmilsze! dzieci serca mego! Tak, matka wasza szczęśliwa jest teraz, gdyż widzi że ziarno cnoty w duszach się waszych przyjęło. Spełniły się jej modlitwy; łaska Najświętszego na dzieciach jej spoczywa.

SIOSTRA (z czułością).

Pan znowu tak blady jesteś. Czy pan także bardzo chory? Może i pan niedługo umrzesz, to my i do twego grobu przyjdziemy. Mój brat nie będzie się bał, i ja także z nim przyjdę.

BRAT.

Cicho siostro; to nie pięknie takie rzeczy mówić. (Do Edmunda.) Czy panu także matkę pochowali że pan na smętarz przychodzisz?

EDMUND.

Także; kochany chłopcze.

SIOSTRA.

Ale pan może jeszcze masz ojca; a my i ojca dawno nie mamy, i nawet nie wiemy gdzie jest grób jego.

BRAT.

A czemuż pan wtedy płakać nie chciałeś, jeśli także jesteś sierotą?

SIOSTRA.

Czy jeszcze więcej co straciłeś, żeś tak blady bardzo, i zawsze po nocach chodzisz?

EDMUND (z wetchnieniem).

O więcej jeszcze! dziecię niewinne.

BRAT.

Ale księżyc znów za chmury zachodzi. Siostro, już zmówiliśmy pacierz, wracajmy do domu. Widzisz jak się w nim świeci, pewnie nas szukają i gniewać się będą żeśmy sami wyszli. (Do Edmunda.) Żegnamy cię, kochany panie. Nie zapomnimy nigdy żeś był naszym dobroczyńcą; będziemy modlili się za ciebie.

SIOSTRA.

Bywaj zdrów, kochany, biedny nasz dobroczyńco. A twemu słudze co nas pocieszał, pięknie się kłaniamy.

EDMUND.

Wszak mam was odprowadzić, miłe sieroty!

SIOSTRA.

My się już nie boimy.

BRAT.

Panu nie tędy droga. Oto nasz domek zaraz pod górą, widzisz gdzie się świeci. Za małą chwilkę tam będziemy.

EDMUND.

Bądźcie zdrowe, najmilsze dzieci. Dziękuję wam za moment prawdziwej roskoszy. Dzieci kochane! już mię nigdy nie zobaczycie. Oby szczęście dni waszych przyszłych było tak pełne i czyste jak wdzięczność wasza. Oby wszyscy ludzie mojem was widzieli sercem, i moje nieśli wam życzenia! A jeśli kiedykolwiek wspomnienie przyjaciela łzę z oczu waszych wyciśnie, oby ta łza choć w części mogła zmazać grzechy moje i moją śmierć występną!

SIOSTRA.

Tobie znów panie łzy widać. O nie wstrzymuj ich, niech na twarz ci spłyną. Zobaczysz jak lżej, jak weselej ci będzie. Mnie już za ciebie chce się płakać.

EDMUND.

Dziecię najdroższe! nie zasmucaj się moim losem. Idźcie, idźcie lube istoty. Żegnam was! (Całuje ich.) Żegnam was z głębi duszy! Błogosławieństwo nieba nad wami! (Odwraca się prędko.)

DZIECI (z płaczem).

Bywaj zdrów, bądź zdrów, kochany przyjacielu! Bądź zdrów, biedny nasz dobroczyńco!

(Odchodzą.)

EDMUND sam.

Osobliwsze, nieopisane wrażenie. Mówili o mnie jak nie o człowieku. Do grobu mojego zbliżyćby się bali. Czemu nie płakałem, pytają się. Nie są pewni czy już nie umarłem?.. Toż w rzeczy samej nie tylko dla siebie, ale i dla innych zostałem istotą nieokreśloną, tajemniczą... Przecież nie wzgardzoną...

Któż to?.. Julja! O tej porze? W tem miejscu?

EDMUND, JULJA.

JULJA (w przestrachu, wchodząc prędko, chwyta go za rękę).

Edmundzie? Jesteś? (Patrzy w niego wzrokiem obłąkania.)

EDMUND.

Ty, Juljo?

JULJA (jeszcze w tym samym stanie).

Edmundzie! Jesteś przedemną? Jesteś! (Opuszcza ręce i odwraca się w osłabieniu.) Boże!

EDMUND (gwałtownie).

Zaklinam, wytłómacz mi to zjawisko! Co znaczy twoje przybycie?.. Milczysz? Jestże to sen?.. W tych miejscach? O tej godzinie? W takim stanie?

JULJA.

Sen okropny, z którego próżnoby mię obudzić chciano. Wrażenie jego na głębię mej duszy ciężarem łez krwawych spadło, i dla wszystkich uczuć i myśli moich na zawsze tłem już zostało. Edmundzie, zabójco nasz! Jakieżeś słowa do własnej siostry wymówił? Cóż to pożegnanie znaczyło? Powiedz, śmiałżebyś własną ręką... Przeczucie jak śmierć serce me ścisnęło. Nie powracałeś. Jeden tylko twój sługa zgadywał gdzie znaleść cię można. Jestem. Będziesz że się pytał co znaczy to zjawisko, co znaczy przybycie moje?

EDMUND.

Co mówisz!

JULJA.

Będziesz się pytał? i tym wzrokiem od lodu zimniejszym będziesz duszę moją rozdzierał, byś w niej nieszczęście i wstyd mój śledził, i większą jeszcze wzgardą mię poniżył? O matko moja! czemużeś mnie odstąpiła! I ty mój ojcze, porzuciłeś swe dziecię! To już nad siły. (Płacze.)

EDMUND.

Przez Boga! Juljo!

JULJA.

O nieszczęsna młodości! tenże to sercu memu gotowałaś owoc? Żadnej pociechy! Żadnego celu!.. Wy myśli moje wesołe, urocze, coście przed duszą marzącej dziewczyny wszystkie życia jej chwile najprzód splatały w jeden szczęścia wieniec, jużeście uleciały za łzami memi, a śladem waszym przyszły zgryzoty, wstyd i udręczenie!.. Czuję, i dziwią się; błagam, i nie rozumieją; płaczę, i jestem wzgardzona!.. Dzień przed dniem milczy, godzina przed godziną; w bojaźni nadzieja niknie i boleść wzrasta. A gdy w wezbraniu uczucia i żalu przyszło już postanowienie, gdy ubłagana łzami i cierpieniem zbliża się chwila najdroższych życzeń, szczęścia najwyższego: na jedno spojrzenie, serce przed wzgardą truchleje, usta niemieją, jakby grobowym kamieniem nakryte. I wszystko znika! Cel myśli wszystkich, snów wszystkich! Dusza nieszczęściem zwalczona radaby wreszcie przed sobą nawet utaić uczucie co ją tak szlachetnie, tak pięknie zapala. Edmundzie! kto ty jesteś, co pod postacią i z władzą anioła w przepaść mnie zguby jako zły duch wtrącasz? Czy ty litości nie znasz? Czy życie twoje tylko rospaczą innych utrzymywać się może? Kiedyś mię po raz pierwszy we łzach zobaczył śród starań około matki, której gasnące życie własnem życiem chciałam zachować, chciałam okupić zrzeczeniem się wszystkich skarbów szczęścia, co wtedy dla mej przyszłości w tak jasnych jeszcze świeciło nadziejach; kiedym przy nogach jej witała cię z boleści westchnieniem, z rospaczą w oku: powiedz, nic że cię nie poruszył los nędznej sieroty, przed której jutrem widziałeś otwarty grób matki najlepszej? Powiedz, nic że cię nie wzruszyła młodość moja niewinna? nic że włos biały ojca nieszczęsnego, który po stracie drogiej towarzyszki wszystkie swe pociechy we mnie jednej złożył?.. Nie, nigdy! nigdy czułości serce twoje nie znało. Ta przyjaźń starca, który cię do piersi w pierwszem poznaniu jak syna przyciskał, co z zapomnieniem ran własnego serca, tak się szlachetnie, tak czule zajął smutkami twemi; ta przyjaźń,

okrutny! nie dość że cię błagała za dziecka losem? Znałeś mą słabość i władzę swoją. Na to dla mojej duszy świat nowy odkryłeś, na toś na zawsze niezwyciężonym urokiem złączył mię z sobą, aby mnie wydrzeć szczęściu i ojcu, by mi zapłacić nieczułością, wzgardą... Milczysz? Nie milczy spojrzenie twoje. O! jakże wiele, jak okropnie mi odpowiada!

EDMUND.

Juljo! O Juljo! co czynisz? Jakim piorunem serce me rozdzierasz!.. Jakich chcesz ofiar? Mów jaką chcesz śmiercią bym u nóg twoich nędzne skończył życie!

JULJA.

Taka odpowiedź! Taką mi już naprzód oko twe dało. Śmierci pragniesz, aby cię dłużej widok mój nie raził. Nie ciesz się próżno. Na drodze duchów ofiara twoja stanie tuż przy tobie. Krok w krok za tobą postępować będzie: z okropnym wzrokiem w tobie utopionym na sąd straszliwy sama cię powoła. Chcesz że litości na tym sądzie wiecznym? Chcesz przebaczenia? Powróć me szczęście, które mi wydarłeś; powróć mi uczucia ciche, spokojne, co budzone pełnością życia niewinnego, jak wdzięczne kwiaty młodość mą witały; powróć mi myśli pogodne, szczęśliwe, które nad życia mojego porankiem jak czyste gwiazdy przyświecały, dzień najpiękniejszy wróżyły. Te zakłady pomyślności jakiej miałam używać, te skarby duszy jakie mi sam Bóg udzielił, te prawa do szczęścia na zawsze przez ciebie znikłego, ty coś mi je odebrał, co wszystko moje wydarłeś, zniszczyłeś! jakże mi oddasz, czem je na powrót w serce me wprowadzisz? Czem! Oto i w tej chwili, gdy mię tu widzisz drżącą, obłąkaną, okropnem zimnem swego spojrzenia jak gdyby nożem pierś moją przeszywasz, serce zmrażasz; oto i w tej chwili jak dumny zwycięsca jęki niewolnicy, z taką pogardą, z taką nieczułością słowa me przyjmujesz; oto i w tej chwili, nawet usłyszeć nie chcesz że cię...

EDMUND.

Stój! Stój, nieszczęsna! Przebóg! Do kogo mówisz? Ach ty nie wiesz, ty nie wiesz, Juljo, do jakiej istoty mówisz!

JULJA.

Do najdroższej, do najwznioślejszej! O! bodajbym zbawienia, bodajbym końca męk moich tak pewną być mogła! Edmundzie! to nie ja, świadczę się Bogiem, to nie ja, to dusza moja ciebie kocha!

EDMUND.

Juljo! Ty nie chciałaś, tyś nie myślała tego powiedzieć! Tyś tego nie mówiła com ja usłyszał! Przysięgnij! Na śmierć i życie zaklinam cię, przysięgnij, że tej okropności nie miało moje przeznaczenie!

JULJA.

Okropności!.. Witam cię, zbawcza trucizno. Witam cię, pierwsze jedyne słowo kochanka. Takich cierpień, takiej miłości nagrodo. Litośny śmierci aniele, witam cię w tem słowie!.. Czułości! Żalu! Boleści! Dzięki wam! skonałyście w mych piersiach. Przez was śmierć zaczynam; wy pierwsze wracacie na bóstwa łono... (Z przybraną nieczułością.) Panie, czy wierzysz ty w wieczność? Czy wierzysz w cierpienie? W czucie? Czy słyszałeś o Sędziu, który na szali potępienia wszystkie twe zbrodnie wstrzymuje?.. Drżysz? Oddycham! Czego szukasz tym wzrokiem do ziemi przybitym? Co ci jest, Edmundzie? Dziwisz się; pojąć nie możesz skąd mi ta moc, skąd śmiałość taka?.. (Ciemność w około powiększa się.) Spojrzyj, zwycięsco! kto tu przy tobie? Widzisz! Poznajesz! Duch to twej zguby! Odgłosem gromów tu powołany, na mękę twoją postać mą przybrał. Na skrzydle burzy, z wnętrzności nocy, na grobach stanął przy tobie. Palącą chwyta cię dłonią. (Porywa go za rękę.) Piekielnym wzrokiem przeszywa. Kocham cię! woła; kocham cię! woła: aż głos ten straszny ogniste otchłanie powtórzą echem okropnem.

EDMUND.

Boże! Cóż się ze mną dzieje? Czyż na tym jeszcze zostaję świecie? Juljo! Pod nami groby i śmierć! Nad nami gromy i Boga gniew! W koło nas burza i straszna noc! A ty miłości czynisz wyznanie?

(Burza się wzmaga. W oddali słychać uderzenie piorunu. Częste błyskawice).

JULJA.

Graj, dzika burzo! szalej, wrzej w twej sile: wściekłość to mej rospaczy tak cię wzruszyła z głębi nocy. I wy, pioruny! w ognistych strumieniach rozdzierajcie niebo: płomień to mej miłości zapalił was tym ogniem strasznym. Rozbijajcie się, chmury! Wy, skały we wnętrznościach przepaści zawarte! śród trzęsienia ziemi wyrzućcie się w obłoki. Niech się z odgłosem przeraźliwym gromów, gór walących się połączy łoskot! Cała natura niechaj stan mój dzieli!.. O! lżej mi, rzeźwiej. Duch mój porwany burzy lotem, zbawiony ze swej niewoli! Tak wolną, tak dumną się czuję. Ciesz się, Edmundzie. Obojeśmy szczęśliwi; i do szczęścia matki nas urodziły. Ciesz się, szlachetny, wspaniały człowieku; już twoje przeznaczenie nie ma okropności. Okropności! Tak; potęgą tego wyrazu słoneczna jasność nakryłaby się grobem, i cichość dnia pogodnego rykiem by gromów zagrzmiała.

EDMUND.

Nie tak, o na miłość Boga! nie tak wyrazy me tłómacz. Gdybyś anioła wzrokiem słowa moje przeniknąć, serce zobaczyć mogła... O najgodniejsza miłości istoto! za jakież grzechy śmiertelne, jakiż Bóg mściwy z losem cię moim połączył! Tak! Szala mych nieszczęść jeszcze ciężaru łzy twojej czekała. Jakże boleśnie, ach jak jest boleśnie spotkać się z wzrokiem ognistej, szlachetnej duszy, i odpowiedzieć umarłem spojrzeniem! Widzieć otwarte ku sobie, pełne, czujące serce, gdy własne grobem już tylko, gdy już w niem wszystko minęło, wygasło! Wyznaję; tego rodzaju cierpienia którem mię teraz rozdzierasz, poniżasz, nie znałem, nie pojmowałem nawet. O czemuż bóstwo okrutne nie zatrzymało tej strasznej godziny!.. W najwyższej życia sile, w czucia płomieniach, łzami, cierpieniem, ofiarą wszystkiego, jednego, jednego tylko szukałem skarbu: on czekał skonania chwili! Wtenczas dopiero przedemną staje, gdy życie skrzepło, gdy czucie zgorzało! Wołałem wszystkich uczuć głosem, duszy wezbraniem, o jedno, do całej natury, o jedno tylko serce wołałem... Juljo! gdyby z łona którego tu grobu cień jaki do ciebie wyszedł... Nie Edmund, cień jego przed tobą... (Nagle przerywa, ujrzawszy przy świetle błyskawicy twarz Julji obłąkaną i nieruchomą.)

JULJA.

O! jeszcze, jeszcze niechaj głos twój słyszę choć przez chwilę dłużej. Słowa dla ucha giną, ale dźwięk wchodzi do duszy, jak woń balsamu drogiego. Ty coś tak tkliwie, tak miło mówiłeś. O czem mówiłeś? O cieniu swoim; o nieszczęśliwej Julji: że ona za grzechy śmiertelne została cieniem twoim; że to jest boleśnie, okropnie... Umarłem spojrzeniem szukasz mnie; i cienia swego w całej naturze nie znalazłeś. Ja tu jestem, przy tobie jestem... (Gdy ku niemu przystępuje, w bliskości uderza grom.) Zdrajco! Wężu podstępny! na to mnie ku sobie wołałeś? Gromami się przedemną zakrywasz! Zawcześnie. Widzę tę otchłań, widzę ją otwartą. (W obłąkaniu, cofa się.) Precz; precz... Przebóg! Którędy się zwrócić? Ze wszystkich grobów występują cienie... Jaki tłum mieszkańców podziemnych!.. Jakie tysiączne, okropne postacie!.. Okrążają mię w około... Oddech się wstrzymuje... Puśćcie, puśćcie mnie! (Oddala się w jęczeniu i jakby śród tłumu czyniąc sobie miejsce.) O puśćcie! tędy droga moja... Boże! cień jego! Ustąp, ustąp!

EDMUND sam.

(Patrzy za nią moment w osłupieniu.) O nieba! Upada! (Biegnie ku niej i nagle się zatrzymuje.) Jakież to światła? ludzie?.. Słudzy jej... Powstaje... Jeszcze spojrzała w tę stronę!... (Wpatrując się w około.) Ach! te widziadła nie są marzeniem... Przy burzy muzyce odbywają taniec północny!.. Cień mój!.. O prędzej, prędzej od tych grobowych tajemnic! (Śpiesznie wychodzi w stronę przeciwną.)

Pokój Edmunda.

ANIELA, WACŁAW.

(Wacław trzymając parę krucic zachodzi do drugiego pokoju. Aniela przed lampą siedząc koło stolika, ma w ręku portrety rodziców. Milczy długo w nie wpatrzona; wreszcie wydając ciężkie westchnienie.)

ANIELA.

On synem waszym; i widzicie nas z wieczności... Może w tej chwili i wasze łzy płyną... Oby go zbawiły! Oby łaskę i światło nieba uprosiły dla obłąkanego! Nad nim, nad nim jednym opiekę swoją trzymajcie. Część jej dla mnie zachowaną na niego zwróćcie. (Nie widząc wracającego Wacława.) Wszystko, o błagam was! wszystko dla niego. Zapomnijcie o mnie, lecz przy nim bądźcie. Ratujcie, zachowajcie biedne dziecię wasze! O to was ze łzami drugie dziecię błaga.

WACŁAW (na stronie).

Płacze biedna.

ANIELA (postrzegłszy go).

Cóż, Wacławie?

WACŁAW.

Nie ma; jak pani widziała. Przecieżbym wiedział jakie mamy rzeczy. Jak tamte francuskie darował, co mówiłem, temu Anglikowi, to prócz tych krucic nie miał żadnej broni.

ANIELA.

Nie my, nie ludzka to przezorność ocalić go potrafi. Daj mi; chcę je mieć w swoim pokoju.

WACŁAW (z niechęcią oddaje krucice.)

Będęż ja za to miał co słuchać... Ale to już jest koło północy; kto znowu widział tak się zbytecznie turbować? Gdyby pani była na mojem miejscu to nie wiem coby już robiła; ja przecież jak mogę wszystko znoszę. Dużo już złego minęło: może to, co ma nadejść, pomyślniejsze będzie.

Ja się tu zostanę, i nie położę się przed nim; pani pamiętaj choć o własnem zdrowiu, i czas udać się na spoczynek.

ANIELA.

Dobry przyjacielu, próżnobym go dzisiaj szukała. Julja i jej słudzy także nie wracają. Mówisz że pytała się ciebie gdzie o tej porze znaleźć go można... Jakże żałuję żem o tem nie wiedziała. Nie wiem jakie przeczucie duszę moją zastrasza; jak gdyby po tej nocy żaden dzień jasny nie miał już nam świecić. Przez wzgląd na stryja musiałam spokojną udawać. Burza była tak straszna.

WACŁAW.

Bogu dzięki już przeszła. W tym kraju burza nie osobliwość. Już taka piąta czy szósta od czasu jak tu jesteśmy.

ANIELA.

Nieszczęśliwa Juljo!

WACŁAW.

Niech bo panna Aniela będzie łaskawa i tak nad każdym nie płacze. Przecież każdy ma swój rozum i wolę, i obiera co mu się spodoba. Gdyby się tam człowiek o wszystkich miał troszczyć, o swoich i o cudzych: Bóg sprawił tyle różności narodu, że o samym sobie nie byłoby kiedy pomyśleć. Niech pani z łaski swojej idzie już na spoczynek; gdyż i pan Edmund lada chwila nadejdzie; to znowu by dziwne rzeczy myślał że go po nocach tak pilnują.

ANIELA (po chwili zamyślenia, powstaje z westchnieniem, i bierze krucice).

Ach tak; dużo już złego minęło: lecz nikt jeszcze nie wie czy to co ma nadejść pomyślniejsze będzie! Dobranoc Wacławie. Bogu was polecam.

(Odchodzi.)

WACŁAW sam.

Biedna dziewczyna! Właśnie po takiej drodze potrzebuje wczasu i wypoczynku, a na same zmartwienia i zgryzoty tra-

fiła... Tem się zdrowia nie poratuje... Nieszczęście, nieszczęście jakieś weszło do tej rodziny. Wzdychają, płaczą, chorują, że nie widać, nie słychać tylko same smutki i smutki: mówiłby kto że to już właśnie najnieszczęśliwsi... Dobrze jegomość powiada, iż te wszystkie podróże, te zbyteczne myślenia do niczego dobrego nie prowadzą. Świat coraz mądrzeje, i tylko tyle że coraz robi się biedniejszy i nic więcej... Ta także nieboga... Biedny pan Wilhelm: i jemu nie wiele pociechy... Oczywiście sobie w nim upodobała... Nie ma co mówić, chłopak rosły i wcale był żwawy; ale teraz to już właśnie niepodobny do siebie.

(Nagle wchodzi Edmund.)

EDMUND, WACŁAW.

EDMUND.

(W najwyższem poruszeniu postępuje kilka kroków, i nieprzytomny sobie ogląda się w około.)

Nie ma... Nie ma... Czy tylko dobrze widzę?.. Nie ma... (Postrzegłszy Wacława.) Precz!.. (Zrzuca z siebie płaszcz na ziemię, i w osłabieniu upada w stojące naprzeciw krzesło, skrywając twarz rękami. Wacław pomięszany podnosi płaszcz i zwolna odchodzi. Edmund, prędko powstawszy, woła za nim.) Stój! Chodź tu blisko. (Patrząc w niego.) Kto ja jestem? Czy znasz mnie?

WACŁAW.

Jak to panie?

EDMUND.

Ty udajesz, zwodzisz mnie starcze; ty mię nie znasz. Kto jestem? Mów!

WACŁAW.

Panie Edmundzie! Jakaż to znów godzina nieszczęśliwa!

EDMUND.

Kto? Ja Edmund? Ten sam Edmund którego znałeś?.. Kłamiesz starcze. Ty oczów nie masz... Wiele masz lat?

WACŁAW.

Na Boga! Co to wszystko ma znaczyć?.. Może pan jesteś słaby? Czy mam lekarza poszukać?

EDMUND.

Już go znalazłem; i niebawnie użyję... Czemu nie śpisz, mądry człowieku? Czy nie słyszysz tej okropnej burzy? W piorunach północ wybiła. Czy nie słyszysz tych ptaków nocnych, jak straszliwą pieśnią uspić mię pragną? Czy nie widzisz jak nad mem łożem unoszą się skrzydły czarnemi?.. Odpowiadaj!

WACŁAW.

Burza już minęła; a skądby w pokoju miały być nocne ptaki?

EDMUND.

Burza już minęła? Ty dla zabawy liczyłeś gromy które w drugich biły?.. O! nie minęła jeszcze! Straszne jej echo i w twej starej piersi wkrótce się jękiem odbije! Odejdź.

(Wacław odchodzi.)

EDMUND sam.

I tego nie ma... Wybiła godzina... Boleści i ofiar ziemio! już więc ubiegłaś z pod mej stopy. Żegnaj! Obym cię był nigdy nie witał... Juljo! zemszczona jesteś. (Z postanowieniem idzie ku ścianie na której były krucice.) Gdzież są?.. Rozumiem was, biedni przyjaciele... Nie to było zguby mej narzędzie. Jeśli mię chcieliście ocalić, czemużeście serca, mego własnego serca ukryć przedemną nie mogli!.. Opasane śmierci wężem, bije jeszcze w skrwawionej piersi, by mię wywołać ostatecznie z walki, w której upaść musiałem... Z całej dziedziny życia boleść mi tylko pozostała, przez którą uczuwam śmierć moją okropną... Tą ducha cząstką niech raczej inne ożyją twory, które go użyć będą mogły... Dwa tu mamy życia: a w kim się wyższe ukończy, nędzny najemnik bytu, na cóż ma dźwigać próżny ciężar ciała? Los

mój już dojrzał... Mam inny środek: lekarstwo niezawodne... (Woła.) Wacławie!.. (Gdy ten przyszedł.) Czego się tak patrzysz?.. Szpiegoskim wzrokiem chcesz mi się wedrzeć tu w mózgu skrytości? Czy żadnej myśli nie mogę sobie zostawić? Czy spis ich wszystkich chcesz mieć przy sobie jak rzeczy moich, których masz pilnować?.. Daj natychmiast.

WACŁAW.

Cóż takiego?

EDMUND.

Mówię szklankę wody... (Gdy Wacław odszedł.) Niczego się nie domyśla.

WACŁAW (przynosząc wodę).

Jest panie.

EDMUND.

Usłużny starzec... Nędzny! Wiesz że coś przyniósł?

WACŁAW.

Cóż pan Edmund mówi? przecież woda czysta.

EDMUND.

Czysta? Jak myśl głupca żadnem uczuciem nie skłócona. Gadzina do swego gniazda nie przyniesie wesoło ziela trującego; nikczemny pająk przeczuwa burzę i zimno śmiertelne... Do jakich że zwierząt wy należycie?.. Gdzie podziałeś krucice?

WACŁAW.

To... Ja panie... Bo trzebaby przeczyścić...

EDMUND.

Czego się mięszasz, prawdomówny sługo? Postaw.

WACŁAW (postawiwszy wodę na stoliku).

Możeby pan Edmund już się rozbierał?

EDMUND.

Potem mnie rozbierzesz i ubierzesz jak sam zechcesz; jak dobrzy ludzie poradzą; jak mi będzie lepiej do twarzy. Teraz odejdź.

(Wacław odchodzi.)

EDMUND.

Dzięki Juljo! Tobie winienem chwilę oczekiwaną. Prędzej więc! nim przeminie godzina wolnego płynienia duchów. (Dostaje z szkatułki trucizny i wsypuje do wody.) Ta miara zawieść nie może. Kupiony ten przyjaciel dochowa mi wiary; nie omyli ufności...

(Postrzegłszy portrety rodziców.)

Boże! Oni mnie widzą!.. Ojcze! matko nieszczęśliwego! Wasze spojrzenie witało mię na świat, i wasze żegna mię z niego... O matko moja! Ty patrzysz we mnie; zdajesz się pytać o syna swojego. Nie ma go matko; nie ma twego Edmunda! Na dzikim stepie życia zbyt wcześnie usechł szczep nadziei waszych... Dla mnie twe życie było poświęcone; i konania łzami jeszcze błagałaś o szczęście moje. Anioł twój tych łez nie odniósł do nieba, nie wysłuchało ich bóstwo. O matko moja! Gdybyś z grobowych cieni ujrzała teraz swe dziecię! dziecię swych wnętrzności, do którego kolebki tak liczne i szczęśliwe wiązałaś nadzieje; nad którego głową łzy twoje i modlitwy chciały stanąć przeciw losowi jak puklerz nieba obrończy; gdybyś ujrzała jak twoja sierota staje okropnie u wiecznego kresu; za jaką gwiazdą wchodzi w śmierci bramę... Duchy dobroczynne! Ty, litości Boże! ach nie dopuść do niej tych mieczów boleści! (Upada w krzesło i głowę na rękach opiera. Po chwili podnosząc się.) Jeszcze łzy? Łzy w moich oczach? (Upuszcza je na chustkę i patrzy na nie ze wzruszeniem.) W jakimże przechowku duszy zachowałyście się aż dotąd?.. Tyle razy w pożarach rospadało się me serce; a wy nie przyszłyście go odwilżyć! Tyle razy w płomieniach wrzała krew moja, a wyście mym powiekom spalić się dały!.. Już nikniecie, już uschnąć macie. Nie; tu się dorzućcie. (Do zatrutego napoju.) Zaprawcie mi ostatni kielich

światowy... (Prędko powstając.) Będęż się rozczulał jak słaba niewiasta, która sto razy czyni postanowienie i sto razy nie znajduje dosyć siły na wykonanie swej woli? Edmundzie, męstwo i wola! Naturo, przyjmij swego syna. Wypija napój. Śmieje się; potem przez chwilę stoi w osłupieniu. Wydając krzyk śmiertelny upuszcza szklankę na ziemię. Drżący i nieprzytomny sobie postępuje prędko kilka kroków, wołając.) Wacławie! Wacławie! (Nagle się zatrzymuje i uderza w czoło.) Co? Lękliwość? Duszo Edmunda! ostatni oddech ziemski nie będzie twojem zawstydzeniem. Wejdź godna siebie do wieczności. (Do Wacława który wbiega przelękły.) Sługo mój wierny... (Opiera się na nim ze drżeniem, dochodzi do krzesła i w nie upada.)

WACŁAW.

Boże! Jakaż okropność oddech mi wstrzymuje? Synu mój!... (Postrzegłszy rozbitą szklankę.) Ta szklanka?..

EDMUND.

Podała mi truciznę.

WACŁAW.

Wielki Boże!.. Ratunku! (Odbiega do drzwi i w omdleniu upadając:) Wielki Boże!

EDMUND.

(Mając zwieszoną głowę w stronę przeciwną, wyciąga rękę do Wacława, nie widząc iż ten w omdleniu.)

Nieszczęśny starcze, uściśnij mi rękę... Przyłóż dłoń swoją do mej piersi... niech syna twojego serce, serce które cię kochało, w ostatniem uderzeniu pod nią się wstrzyma... Odmawiasz mi tej pociechy... Ach tak, jam godzien waszej nienawiści, ja wszystkich was staję się zabójcą... Bóg mi tego nie zechce przebaczyć... Wacławie, ty mi przebacz... jam był nieszczęśliwy... Nie mów nic siostrze o mojej śmierci... O na miłość boską! nie zabijajcie Julji... Błagaj Wilhelma, niech córki swojej szczęściem pocieszy popioły przyjaciela... on losy moje czuć umiał... Powiedz stryjowi że wdzięczność, że miłość dla niego do grobu niosę... Niech siostry niewinnej nie karze za brata... niech jej nie oddala od swego serca... ojcowskie jego starania ona mu lepiej na-

grodzi... Wacławie... ręki... jedno tylko ściśnienie... podziękowanie... ręki!.. Nie chcesz... O! przebaczam ci tę straszną zemstę, jak ty mi gniew mój przebaczałeś... Juljo! Juljo moja!.. Powiedz jej... że myśl o niej była moją myślą ostatnią... że usta Edmunda śmierć... jej imieniem zamknęła.

(Po chwili Wacław odzyskuje zmysły: powstaje, zbliża się prędko, i pada na ciało Edmunda.)

WACŁAW.

O Edmundzie! Panie mój! Synu mój najdroższy!.. Nocy okropna! Nieszczęsna starości moja!... O wielki Boże! jeśli śmierć jego wzywa twego sądu, ukarz ją raczej na mnie i na dzieciach moich!

POEZJE BIBLIJNE,

PIOSNKI SIELSKIE

I

WIERSZE RÓŻNE.

TOBIJASZ.

DIALOG.

OSOBY.

ANIOL RAPHAEL. W postaci młodzieńca Azarijasza, syna Ananijaszowego.
TOBIJASZ, ojciec.
ANNA, żona } Tobijasza.
TOBIJASZ, syn }
SARA, córka Ragela, żona Tobijasza młodego.
ACHIJOR } Cioteczni Tobijasza.
NABATH }
JOACH.
SŁUDZY Tobijasza i Sary.
LUD.

Miejsce ocienione palmowemi drzewami, przed ubogiem mieszkaniem Tobijasza.

TOBIJASZ OJCIEC.

Starzec pozbawiony wzroku, wspierający się na kiju. Zbliża się ku swemu mieszkaniu.

TOBIJASZ.

Już nie znają mię te strony,
Gdziem przepędził wiek swój cały —
Próżno wołam dawnej chwały,
Starzec drżący i wzgardzony.

Oczy Pańskich dzieł nie widzą,
W sercu radość się nie wznieci;
Pokolenia mego dzieci
Z lat i z modlitw moich szydzą.

Pókiś Ty był ze mną, Panie!
Ze mną były dni wesela,
Ze mną miłość Izraela,
Dla mnie Królów posłuchanie.

Dziś mię prochem wróg narzucił;
Myślę smutno, nieprzytomnie:
Bo zapomniał Pan dziś o mnie,
Od grzesznika twarz odwrócił,

Sprawiedliwyś Ty od wieków, Panie,
I wszystkie sądy Twe sprawiedliwe;
Jam to przestąpił Twe przykazanie,
Jam zeszedł na drogi krzywe.

Jam Cię obraził, zdradził: a oto
Tyś przewinieniom moim przebaczył;
Tyś mię pogardą, nędzą, ślepotą,
Ty, Bóg mój, ukarać raczył.

Błogosławione są Twoje kary,
Twe zagniewanie błogosławione;
Bo jakież drogie będą ofiary
Za Twych wybranych koronę!

TOBIJASZ, JOACH.

JOACH.

Witam cię, Tobijaszu. Czas się coraz skraca,
Wszakoż z Medskiego miasta syn twój nie powraca.
Lub nie trafił Gabela, albo pożyczone
Dziesięć talentów srebra nie będą wrócone.

TOBIJASZ.

Pozdrawiam cię, Joachu.

JOACH.

Więc krom najemnika
O którym nie powziąłeś nawet sam języka,
Gdzie w kraju Medów góra Ekbatan wyrasta,
Nikt z twym synem nie poszedł do Ragesu miasta?

TOBIJASZ.

Jest z nim stróż.

JOACH.

Ktoż z nim poszedł krom tego młodziana?

TOBIJASZ.

Poszła modlitwa ojca, poszła ufność w Pana.
Bądź spokojnym, Joachu.

JOACH.

Jeszczeż twoja pycha,
Jak odrzucona gałąź, smutkiem nie usycha?
Czyli jeszcze nie widzisz, starcze poniżony,
Jako twój Bóg od twojej odwrócił się strony?

TOBIJASZ.

W Panu moja nadzieja.

JOACH.

Onać gubi ciebie.
Tyś by przy każdym smutku, przy każdym pogrzebie;
A twój Pan, w twoim smutku kędyż się zachował?
Tyś na grzech nie przyzwalał, drogi swe prostował;
A twój Pan — jakże twoja wzrusza go niedola?
Twój Pan jak cię ratuje?

TOBIJASZ.

Święta jego wola!

JOACH.

Tyś w swój dom dzieci wdowy ubogie przyzywał,
Tyś własnemi szatami nagie przyodziewał,
Pogrzeb sprawiedliwego chlebem swym zastawiał,
W uczciwości rodzice chował, Pana wsławiał,
Od maluczkich oblicza swego nie odwrócił —
A twój Pan! jak nad tobą dzisiaj się zasmucił?
Jakże ci podał rękę w utrapieniu twojem?
Pogardził cię — zapomniał.

TOBIJASZ.

On jest Bogiem moim!

JOACH.

Mówili ci: jałmużna nieba nie poruszy.
Tyś mówił: do ciemności nie dopuści duszy.
A w zakonie twój żywot złożony był cały,
A wszystkie rady twoje w Panu przebywały.
Szczeryś był przed nim. On dziś, miasto swej opieki,
Już ci i syna odjął!

TOBIJASZ.

Chwała mu na wieki!
Albowiem się synami świętych nazywamy,
Albowiem stąd żywota onego czekamy,
Jaki Pan tym zgotował którzy jedni byli,
Którzy od Niego wiary swej nie odmienili.

JOACH.

Starcze! Nie dość ci jeszcze? Więc ujrzę niedługo,
Że wzgardzony, przeklęty, staniesz sług twych sługą.
Niemocą uciśniony, głodem pożerany,
Z śmieci własnego domu nogami spychany,
W obrzydzeniu, w tułactwie, hańba pokolenia,
Będziesz bez ręki ludzkiej, bez czci, bez plemienia!
Wtedy, nędzniku! wtedy wargi się twe zdradzą,
I w złorzeczeniach inszą mowę twą wydadzą.

(Odchodzi.)

TOBIJASZ SAM.

TOBIJASZ.

O! ciesz się, duszo, Pana swego czcij!
Ciesz się i raduj w pokutny czas.
Cheruba skrzydłem nad ziemię się wzbij!
Bóg nam przebacza: Bóg karze nas.

On chciał: i nogą przechodzień mię bił.
On chciał: i własna przeciw mnie krew.
Czcij sługo Pana z wszystkich twoich sił,
Błogosław Pana i jego gniew.

(Klękając.)

Boże Abrahamów! Izaaków Boże!
Boże Jakóbów! Ty wybrałeś mnie.
Co znieść serce może — i czego nie może,
Nasyłaj, Panie! Tobą dusza tchnie.

W Tobie moja miłość, ucieczka jedyna.
Jeśli swój piorun w mój wymierzasz próg,
Jeśli Twoja ręka chce mi odjąć syna...
Święć się Twa wola! boś Ty Pan i Bóg!

(Chwila milczenia.)

TOBIJASZ I SŁUGA.

SŁUGA (prędko przybywając).

Tobijaszu, radość wielka!

TOBIJASZ.

Radość dla mnie?

SŁUGA.

Koniec trwogi.
Już zniknęła bojaźń wszelka,
Syn Twój luby wraca z drogi!
I wraca nie sam lecz z żoną,
Od Ragela poślubioną!
Droga ludem napełniona.
Sam widziałem! Mąż i żona,
Z niemi młodzian je wiodący,
Służebnice w drugim rzędzie,
W trzecim rzędzie są służący!
Już dochodził, wnet tu będzie —
Także piękne wiodą krowy,
Także muły i wielbłądy,
Na ich grzbietach dar teściowy.
O! któż by zgadł Boskie sądy!

TOBIJASZ.

Syn mój!

SŁUGA.

On. Czyż go nie znamy!

TOBIJASZ.

Ojców moich Boże wielki!

SŁUGA.

Chodź — już pewnie są u bramy.

TOBIJASZ.

Co? Synowa!

SŁUGA.

I sprzęt wszelki.
Spieszmy — chodź — ja cię powiodę.
Co tam sług, jakie dostatki!
Chodź powitać państwo młode,
Już tam są w uściskach matki.

TOBIJASZ (wznosząc w uniesieniu ręce do nieba).

Panie! ja niegodny byłem!
Ach, Panie! jakież Ci dzięki!
Czemże, czemże zasłużyłem
Na te sprawy Twojej ręki!
Ledwieś słuszny gniew otworzył,
Zaledwieś mię upokorzył...

TOBIJASZ OJCIEC, ANNA Z SYNEM, SŁUDZY.

ANNA.

Mężu! Syn nasz, nasze życie!

SYN (rzucając się do nóg ojca).

Ojcze!

TOBIJASZ.

O najdroższe dziecię!

SYN.

Ojcze!

TOBIJASZ.

Wszystko odzyskuję

SYN.

U twych nóg ze szczęścia płaczę.

TOBIJASZ (podnosi go i przyciska do piersi).

Powstań, niech cię tu uczuję,
Niechaj sercem cię zobaczę!

ANNA.

O! jakże się los nasz zmienia!

TOBIJASZ.

Panu! Panu dziękczynienia!

SYN.

Pełne łask są Jego prawa,
Ojcze drogi! matko miła!
On to syna wam oddawa,
On synowę wam przysyła.

ANNA (do męża).

Sara, córka Ragelowa...

SŁUDZY (z radością).

Tobijasza dziś synowa!

SYN.

I nie tylko wiodę żonę,
Pan nas wszystkiem uwesela,
Także skarb twój od Gabela
Srebro twoje powrócone.
A to wszystko młodzian sprawił,
Który był mym przewodnikiem;
On od śmierci mnie wybawił.

TOBIJASZ (odwracając się).

Gdzież jest? Gdzieżeś go zostawił?

SYN.

Idzie tu z weselnym szykiem.

ANNA.

I synowa z nim kochana!

TOBIJASZ.

Pan to, On ku nam się skłania!

SYN.

Wejdźmy ojcze do mieszkania,
Mam poradę od młodziana:
Chodź, a może się odtoczy
Noc co więzi twoje oczy.

ANNA.

Mogłożby to?

TOBIJASZ.

Ojców Boże!
Któż Ciebie wychwalić może!

(Odchodzi do mieszkania, prowadzony od żony i syna. Za niemi słudzy.)

ACHIOR, NABATH.

(Przychodzą ze strony.)

NABATH.

Czyliż wprawdzie widziałeś?

ACHIOR.

Wprawdzie mój Nabacie;
Syn to jest Tobijaszów.

NABATH.

W tak bogatej szacie?
I te sługi, te skrzynie z sprzętami, z odzieżą,
I muły, i wielbłądy?

ACHIOR.

Do niego należą.
Wszystko to dary teścia. Bogactwa Ragela
Wszakże znane pomiędzy dziećmi Izraela.

Dom to błogosławiony, bez plamy, bez sromu,
I Tobijasz synowę z tego bierze domu.

NABATH.

Cieszmy się, Achijorze. Snać prawdziwe słowa,
Że Pan nad sprawiedliwym miłosierdzie chowa.
I nie pójdzie w upadek, kto w pokusy stanie
W Nim trzyma swoje drogi i swoje ufanie.

(Przybywa lud.)

ACHIOR.

Przybywajcie, sąsiedzi!

PIERWSZY Z LUDU (do innego).

Spiesz, mów wszystkim o tem.
Niech się wszyscy zbiegają. Dziś pociecha nasza;
Dzień szczęścia dla miłego brata Tobijasza.

(Kilku z ludu prędko odchodzi.)

POPRZEDZAJĄCY I SŁUDZY.

(Z mieszkania Tobijasza nagle wybiegają.)

SŁUGA PIERWSZY.

Co za radość! Co za cud!

SŁUGA DRUGI.

Przybywaj kto tylko żyw!

TRZECI.

Niech się wszystek zbiega lud!

CZWARTY.

Co za radość! Co za dziw!

ACHIOR.

Jak to!

NABATH.

Skądże ten wasz stan?

SŁUGA.

To Pan, to mógł tylko Pan!

ACHIOR.

Coż?

SŁUGA.

Zwołujcie prędzej lud.

NABATH.

Cóż się stało?

SŁUGA.

Wielki cud!

ACHIOR I NABATH.

Mówcie!

LUD (coraz się więcej zgromadzając).

Mówcież!

SŁUDZY.

Łaski rok!
Tobijasz odzyskał wzrok!

(Wszyscy w zadziwieniu.)

CIŻ I TOBIJASZ Z ŻONĄ, Z SYNEM I Z SYNOWĄ.

TOBIJASZ (prędko wchodząc).

Boże! Na mnież to spełnione?
Ludu! Czy się snem nie zwodzę?
Widzę! Widzę dzieci, żonę!
Na świat drugi raz przychodzę!
Wielki ojców moich Panie!

ANNA.

Mężu!

TOBIJASZ MŁODY I SARA.

Ojcze!

TOBIJASZ.

Śród was stoję!
Boże! jakże sił mych stanie,
Bym uwielbił Imię Twoje!

LUD (z radością).

Tobijaszu!

TOBIJASZ.

Bracia mili!
Patrzcie, jaki cud się spełnił.

LUD.

Obietnicę Bóg wypełnił,
Słowo Jego nie omyli:
Sprawiedliwy wzniesion będzie,
Podźwignie go ręka Pana.

TOBIJASZ.

Gdzież? Nie widzę tu młodziana.
On to Boskich łask narzędzie.

ANNA.

Mówcie, jakąż mu zapłatą
Łaskę jego nagrodzimy?

(Ściskając Sarę.)

Jemu winniśmy to dziecię.

SYN.

Jemu ojca uzdrowienie.

TOBIJASZ.

Jemu syna powrót, życie.

SARA.

Wszystkich nas uszczęśliwienie.

TOBIJASZ.

Jakże go nagrodzim za to?
Czemże wdzięczność mu złożymy?

SYN.

Mnie się zdaje, ojcze miły,
By wszystko co posiadamy,
I rzeczy co dawniej były,
I od teścia rzeczy nowe,
By wszystko co tylko mamy,
Co nam służy do użytku,
W sługach, szatach, i w dobytku,
Podzielić z nim przez połowę.

TOBIJASZ.

Powiedz, żono.

ANNA.

Ja się zgadzam.

TOBIJASZ.

Saro?

SARA.

I ja toż doradzam.

TOBIJASZ.

A więc tak. Co tylko mamy,
Co tylko dziś posiadamy...

ANNA, SYN I SARA (z wdzięcznością).

Przez połowę mu oddamy!

TOBIJASZ.

Ale gdzież on?

CIŻ SAMI I ANIOŁ RAPHAEL.

LUD.

Dniu wesela!

INNI Z LUDU.

Jaka jasność jego czoła!

(Wszyscy w podziwieniu zwracają wzrok na Młodzieńca. Chwila milczenia.)

ANIOŁ (zbliżywszy się).

Pana! światów Stworzyciela!
Błogosławcie w każdy czas.
On to! przez swego Anioła,
Przezemnie, nawiedził was.
Anioł Raphael — ja sam!

WSZYSCY (padają na ziemię).

Święty! Święty!

ANIOŁ.

Pokój wam!
Jednego z siedmiu widzicie,
Którzy stoimy przed Panem.
Tobijaszu! gdyś swe dziecię
Widział sobie odebranem,
I żal ofiarował Bogu;
Gdy sieroty z ubogiemi
Witałeś u swego progu;
Kiedyś porzucał biesiady,
By umarłych oddać ziemi;
Gdy cię ani chytrych rady,
Ani bezbożnych roskosze,
Z drogi która nakazana,
Od zakonu nie odwiodły:
Wtedy ja sam twoje modły
Niosłem w miłosierdzie Pana,
Jak teraz wdzięczność zanoszę.

(Anioł unosi się w światłości. Lud cudem uderzony, zostaje obliczem na ziemi. Po chwili, Tobijasz głosem uroczystym.)

O! wzbij się duszo do dzieł niepojętych.
Na ciebie jasność Serafów wylana.
Zapal się ogniem Wybranych i Świętych,
Głoś chwałę Pana.

Błogosławionyś na Nieba stwierdzeniu,
Błogosławiony na okręgu ziemi.
Podałeś sławę swojemu Imieniu,
Przed dziećmi swemi.

Błogosławionyś Boże Ojcze ludów.
Czas, przestrzeń, miejsce, powietrze, otchłanie,
Jasność i ciemność, Twoich pełne cudów,
Syonu Panie.

Błogosławionyś Ojców Boże dawny,
Najwyższy w chwale, w łaskach niezmierzony,
Najświętszy, wieczny, jedyny, przesławny,
Błogosławiony!

Więc wprzód niech obcy tę ziemię posiędzie,
Wprzód pogrzebania i czci pozbawiony
Proch kości moich, niech w przekleństwach będzie
Wiatrom rzucony;

I wprzód w upadku niech świat się zagrzebie,
Z słońca noc wyjdzie! niśli w jakiej porze
Zapomnę Ciebie, i nie uczczę Ciebie,
Ojców mych Boże!

(Objawia się Niebieska światłość. Wszystek lud korząc się ku ziemi, woła w uniesieniu:)

Błogosławionyś ojców Boże dawny,
Najwyższy w chwale, w łaskach niezmierzony,
Najświętszy, wieczny, jedyny, przesławny,
Błogosławiony!

RUTH.

I.

W ubogiej szacie, i ze łzą w oku,
Na drogę z Moab wyszła Noemi.

Lecz dwie niewiastki*) przy świekry boku,
Wraz z nią chcą odejść do judskiej ziemi.
«Byłaś nam matką — obie mówiły —
Z tobą nam każdy kraj będzie miły.»

«Niewiastki lube! — matka odpowie —
Ten wasz postępek w Niebie ma świadki.
Bóg na was zeszle szczęście i zdrowie
Za waszą miłość dla biednej matki.
Uczyńcież, dzieci, zadość jej woli,
Niech sama znoszę ciężar niedoli.

«Jesteście obie w młodości kwiecie,
Na cóż wam zda się drżąca Noemi;
Czemuż tak bardzo łączyć się chcecie
Z moją starością, ze smutki memi?
W kraju zostańcie, kochane dzieci,
Ojczyzny słońce najmilej świeci.

«W ubóstwie, z mężem i z dwoma syny,
Z Bethlehem ziemi szłam tu przed laty,
Prosić litosnej u was gościny:
I wszystkich moich płaczę dziś straty!
Męża i synów w grobach odchodzę...
Tylko ubóstwo znów ze mną w drodze.

«Nie roście, dzieci, ścieżki mej łzami,
Żegnam was, Panu w opiekę stawię.
Zawsze ja myślą będę tu z wami,
Żegnam was z serca i błogosławię!
Choć nie na jednej żyć będziem ziemi,
Wspomnijcie czasem biedną Noemi.»

I w uściśnieniach żegnała obie.
I namówiła starszą synowę.
Lecz młodszą widząc jeszcze przy sobie,
Jak w płaczu schyla ku ziemi głowę:

*) Synowe.

«Rutho! — zawoła tkliwym wyrazem —
Dlaczegoż z siostrą nie idziesz razem?

Czemuż wylewasz łez rzewnych zdroje,
I smutkiem młode zasępiasz życie?
Czemu nie pomnisz na szczęście swoje,
Ty serca mego wybrane dziecię?
Orpha odeszła; wzywa cię z sobą;
Nie przejmuj duszy mojej żałobą!»

Lecz Rutha brzeg jej chwytając szaty,
W pocałowaniach do ust przykładła:
«Zlituj się — woła — nad memi laty,
Bym u nóg twoich martwa nie padła!
Lub mię nieżywą zamknij tu w grobie,
Lub żywą kochaj, i miej przy sobie!

«O matko! jeśli łaskawem okiem
Widziałaś serca mego dowody,
Pozwól niech idę za twoim krokiem,
Niech wszystkie z tobą dzielę przygody.
W Panu ufając, czegóż się boim?
Kraj twój, mym krajem; twój lud, jest moim.»

Więc się zgodziły, i szły przy sobie.
I do Bethlehem przybyły obie.

II.

Pada piękny łan jęczmienia
Pod sierpami stu żniwiarzy,
Brzmią w około śmiechy, pienia,
Sam tu dziedzic gospodarzy.
Tych zachęci, tych pochwali,
A przymawia by szli dalej.

Więc się skorsze wzniosły pieśni,
Na wyścigi żeńcy spieszą.

Im ukończą łan swój wcześniej,
Tym się dłużej w noc ucieszą.
Jeszcze w górze twarz jest słońca,
A już pole bliskie końca.

Za wesołem żeńców kołem,
Od Bethlehem strony miasta,
Ze spuszczonem w ziemię czołem
Trwożnym krokiem szła niewiasta.
Cudzoziemska na niej szata,
W oczach młode błyszczą lata.

Uronionych kłosów szuka,
Cała potem już oblana,
Jeszcze każdy ją ofuka
Że bez wiedzy czyni pana.
Więc się boi, nieszczęśliwa,
Czy nie straci tego żniwa.

Pan ją widząc, wraz się pyta
Czy nie wiedzą co za jedna?
«Jakaś obca znać kobieta —
Odpowiedzą — pewnie biedna.»
Smutna siadła koło drogi,
Przy niej snopek dnia ubogi.

Pan ją woła. «Lube dziecię,
Powiedz jakie twoje losy?
Czy zarabiasz tak na życie,
Czy przez chciwość zbierasz kłosy?
Wyznaj — moje to jest pole,
Mogę zmniejszyć twą niedolę.»

«Niech nagrodzi Bóg twe słowa,
Dobry panie! — we łzach powie —
Jam Noemi jest synowa,
Rodem z Moab, Ruth się zowię.
Kłos zebrany z twojej ziemi
Ma mnie żywić i Noemi.

«Opuściłam dom rodzinny,
By piastować matki lata;
Dla niej przyszłam w kraj ten inny,
I na koniec szłabym świata;
Dla niej znoszę prace, znoje,
Bo jej szczęście, szczęście moje.

«Wejrzyj na nas litościwie,
Racz darować, dobry panie,
Tych zgubionych na twej niwie
Kilku kłosów uzbieranie.
Uczyń łaskę tę sierotom,
Bóg odpłaci twoim cnotom.»

Gdy o głodzie tak od rana
Szuka kłosów, zlana potem,
Czyliż biedna, odpędzana,
Choć pomyśleć mogła o tem
Że zostanie pól tych panią,
Że ci żeńcy robią na nią?..

A tak było! Pan wzruszony
Jej młodością, wiarą stałą,
W Ruth cnotliwej szukał żony.
Przez nią dom swój okrył chwałą:
Że z Obeda, jego syna,
Dawidowa szła rodzina.

SAMSON.

Ów mąż, wsławiony zaraz od poczęcia;
Którego naród zbawcą swym nazywał;
Co jeszcze w rannych latach pacholęcia
Lwy, jakby owce, ręką pokonywał;
Przed którym wojska Filistynów drżały:
Samson, doczekał końca swojej chwały.

Zdradą fałszywej niewiasty ujęty,
W nieprzyjaciołach mściwe znalazł pany.
Pozbawion wzroku, obciążony pęty,
Jęczał w ciemnicy, wstydem pożerany.
Sam sobą gardził; klął pamięć Dalili;
A pomnąc przeszłość, czekał zemsty chwili.

Pyszni tryumfem pogańscy książęta:
Niewolę męża głosili ludowi.
W dzień klęski jego, jakoby w dzień święta,
Nieśli ofiary bogu Dagonowi.
I lud radością wielce się przenika,
Że ma sławnego w więzach wojownika.

W książęcym gmachu stawili biesiadę.
A gdy w weselu była ukończona,
Śród pianej myśli podniesiono radę
Iżby ślepego przywołać Samsona.
By grał książętom, i by w tej postawie
Mogli złorzeczyć jego zaszłej sławie.

Przybył mąż wielki. Gdy wkroczył w ich koło,
I wstrząsnął strasznych rąk swoich kajdany;
Gdy podniósł dumnie krzywdą ciężkie czoło:
Zuchwałe szczęściem, struchlały tyrany.
I w całym gmachu wraz się przestrach wzbudzi:
Chociaż w nim było trzy tysiące ludzi.

«Książęta! — powie — na roskaz wasz stoję,
Lecz nie czekajcie biesiadnej powieści.
Jak zemsta wasza, i jak dzieła moje,
Tak strasznej musi pieśń moja być treści.
Przeto słuchajcie! «Każdy słuch natęża,
Ciekawy jaka pieśń takiego męża.

On wprzódy rzecze do sługi strażnego
Co go prowadził: «Niechaj miejsce zmienię,
Daj bym się dotknął słupów gmachu tego,
Bowiem mię wielkie ujęło znużenie.»

Zaczem nie pierwej mowę swą rospoczął,
Aż był przy słupach, a w milczeniu spoczął.

«Był mąż przemożny, nie prostego rodu,
W żywocie matki sławę już dziedziczył.
Bóg go przeznaczył do swojego grodu,
By w nim ludowi Jego przewodniczył.
Więc był narodu obroną i siłą:
Bo Pan był przy nim, i zwycięstwo było.

«Słyszał obłudę — słów jej nie rozglądał.
Ufności, zdrada miała być zapłatą.
Zbłądził, że wiary od niewiasty żądał;
Uwierzył w szczęście: i skarany za to.
Był mąż przemożny zdradzony, przedany;
Sławą swych zwycięstw zasłużył kajdany.

«I przekwitł wielkiej chwały jego wieniec.
Przed kim warowne upadały brony,
Sędzia narodu, jakby podły jeniec
Został w katuszach pod ziemię wtrącony.
Wzrok mu wydarto! Jeszcze w pośmiewisko,
Ślepego, wiedli na ludu igrzysko!

«Wtedy wspomniawszy lata dawne, młode,
Wołał do Pana: Oto mąż Twej chwały,
Któremuś w puszczy stwarzał żywą wodę,
Przed którym bitwy jak ptaki pierzchały:
Imię Twe z głębi duszy wypowiada:
A w więzach, w bolach, pod hańbą upada!

«O Panie! jeśli czuwasz nad swym ludem,
Jeśli Ci syny wybranych Twych miłe:
Daj uczcić siebie nowej łaski cudem!
Tchnij we mnie dzielność! Wskrześ mą dawną siłę!
Niech jak lew straszny pomszczę się nad wrogiem:
O Boże! pokaż żeś gnębionych Bogiem!»

Rzekł. I natchniony, przed strwożoną zgrają,
Jak sieć pajęczą wnet zrywa swe pęta!
Już chwyta słupy które gmach wspierają.
Próżno ucieczką bronią się książęta:
Runął gmach mocą Samsonowej ręki...
I pod gruzami stłumiły się jęki.

SAUL I DAWID.

I.

«O czemuż dzień ten straszny z czarnej wyszedł nocy!
W którym krwi chciwy kapłan i krwawi prorocy
Oderwali od króla jego naród bratni!
Dzień pierwszy mojej hańby, chwały mej ostatni!

«Cóż naprzeciw mnie mieli? Jakie Saula zbrodnie?
Czy krzywd swojego ludu nie pomściłem godnie?
Czym podeptał bezbronnych, pokornym ubliżył?
Czym nie bronił świątyni, Imię Pańskie zniżył?
Nie! Miał lud we mnie króla, ojca, i mściciela —
Nie! Wzniosłem chwałę Pana i cześć Izraela.
Alem rąk swych nie zmazał we krwi Amaleka:
Występny! żem w swej piersi czuł serce człowieka.

«Jam dni i nocy długie śród pracy i trudu
Poświęcał sprawom kraju, sławie mego ludu;
Jam do zwycięstwa wojska za sobą wywodził;
Judeę w blask przyodział; jam ją oswobodził
Krwią własną i przelaną krwią mych własnych synów
Z Amorrejczyków sideł, z ręku Filistynów;
Przezemnie lud, co pierwej po puszczach się chował,
Królów, jak niewolników, w tryumfach przyjmował.
Jam ojczyznę rozsławił, wywyższył... A za to,
Hańba mi dziś pożytkiem, wyklęcie zapłatą!

«Wy! kości i krwi moja! ukochane dzieci!..
Ta myśl, ojcom najdroższa! we mnie rospacz nieci.
Wy! rycerze ojczyzny, obrońcy jej wiary,
Nieszczęśliwego ojca niewinne ofiary!
W nienawiści kapłanów, w upadłej mej sławie,
Jakże wam opłakane dziedzictwo zostawię!..
O! gdy na pola bitew biegliście z zapałem,
Król wasz i ojciec, tenże los wam obmyślałem?
Gdym na stolicę wchodził z pod ubogiej strzechy,
Takiejże starość moja czekała pociechy!»

Umilkł; i brwią grożącą skrył ogniste oko.
Wstrząsnął zoranem czołem, i jęknął głęboko
Jako lew w swej jaskini przeszyty grotami.
Powstał. A oczy króla zalały się łzami:
Bo wdzięczny śpiew się rozległ młodego lutnisty,
I zmiękczył gniewne serce. A pieśni dźwięk czysty
Przeniknął duszę Saula, jakby głos Anioła,
Co z bram Nieba do skruchy i do żalu woła.

Spojrzał. Widok młodzieńca dziwnie go uderzył.
Zbliżył się, patrzał; jakby oczom swym nie wierzył;
Milczał, i męską duszę ogarnęła trwoga:
Jakby w dziecku strasznego rospoznawał wroga....
Alić sam wiek śpiewaka, wzrok niewinny, miły,
Ujęły serce króla, i myśli zmieniły.

SAUL.

Kto jesteś lube dziecię? I która rodzina
W błogosławionym domu liczy cię za syna?

DAWID.

Dzięki Panu! że królu słyszę głos twój słodszy.
Izai Bethlemczyka jestem syn najmłodszy.

SAUL.

Ilu masz braci? Jakie wasze zachowanie?

DAWID.

Jest nas ośmiu. W ubogim wiek pędzimy stanie.
Czynim z bracią co woła ojca nam wyznaczy,
A Niebo, pracom naszym błogosławić raczy.
Ja, najmniejszy z rodzeństwa, pasterz, śpiewak młody,
W Bethlehem na pastwiska prowadziłem trzody.
Niosąc torbę na plecach, kij pastuszy w ręku,
W ciszy dolin samotnych, i przy lutni dźwięku,
Chwaliłem Pana pieśnią echom tylko znaną:
Gdy w tem na Dwór królewski z nagła mię wezwano.
Wysłał mnie i pożegnał płaczem ojciec stary.
Przez rękę syna małe przysyła ci dary.
Nie gardź, przyjm nałożoną chlebami oślicę,
Przyjm, królu, koźlę jedno i wina łagwicę.

SAUL.

Wdzięcznym dobremu słudze. Wszakoż się ośmielę
Prosić twego rodzica o większe wesele:
O ciebie będę prosił. Saul cię pomiłował,
Będziesz mu giermkiem, będzie jak syna cię chował.
Drogi mój Jonathanie! Chodź, przyjm go za brata.
Dzieci! pocieszcie stare, wzgardzone me lata.
Patrząc na miłość waszą, wasze serca skromne,
Niech ludu niewdzięczności, nieszczęść mych zapomnę.

O synu mój, Dawidzie! jak rzewne wspomnienia
Przywiodłeś myślom moim!... Jakże czas nas zmienia!
I ja niegdyś, nieznane i szczęśliwe dziecię,
Pasąc trzodę, radością przemierzałem życie.
I jam nosił ubogą torbę, kij pastuszy,
I w mojej Pan Niebiosów lubił mieszkać duszy!
I moją brzmiały pieśnią me rodzinne niwy.
Wychodziłem wesoły, wracałem szczęśliwy!..
Jako ptak co przeleciał, potok co upłynął,
Odbiegła młodość moja, i wiek szczęścia zginął.
Próżno jego pamiątką dusza się rozczula!
Laska chłopca, zmieniona w ciężkie berło króla;

A czoło, niegdyś wieńcem pasterskim strojone,
W smutkach zwiędłe, ciernistą dźwiga dziś koronę!

II.

W gronie rycerstwa, i w blasku sławy,
Jak proch rozbiwszy Filistów szyki,
Saul na stolicę wracał z wyprawy.
Biją pod niebo wojska okrzyki:
Niech błogosławieństw Pan swoich przyda
Zwycięstwom Saula, chwale Dawida!

Uciekła trwoga z bram Izraela.
Na drogę króla lud zewsząd bieży:
Przy gęślach, kotłach, krzykach wesela
Głoszą niewiasty chwałę rycerzy:
Król pobił tysiąc, lecz hetman więcej,
Dawid poraził dziesięć tysięcy!

Do uszu króla przyszła ta mowa:
A gdy go miota zły duch od Pana,
Do serca króla zazdrość się chowa,
I sam chciał włócznią przebić hetmana.
Dawid wygnaniec w góry się chroni:
Za nim płacz ludu, i Saul w pogoni.

Lśni puszcza Zyfy blaskiem orężów,
Saul na przód jechał królewskim wozem:
Miał trzy tysiące wybranych mężów,
I przeciw góry zaległ obozem.
Na Hachil górze Dawid spokojny
Modlił się Panu, i czekał wojny.

Noc skryła puszczę. Król spoczął we śnie.
Nad łożem lampa powoli gasła;
Przed namiotami ucichły pieśnie,
Śpią wodze, wojsko, skonały hasła,

I wszystkich głuche ujęło spanie:
Bowiem sen Pański przypadł był na nie.

Lecz Dawid czuwał. Kroki śmiałemi
Zszedł w obóz króla. Mijał namioty,
Aż znalazł Saulów. Tkwił oszczep w ziemi,
Przy ręku króla stał kubek złoty.
Widział śpiącego Dawid wspaniały:
Wziął znak, i odszedł. A straże spały.

Odszedł. Aż znagła obóz się budzi.
Słyszą! nie wierzą! Pana to dziwy!
Krzyki, zgiełk, przestrach! dwóch obcych ludzi
Było u króla! Gdzie król? Czy żywy?..
Saul miecz już trzymał; złość wzrok mu żarzy:
Gdzie oszczep? — woła — Oszczep mój, straży!..

Zbrojny mąż wyszedł na puszczy drodze,
Królewską włócznią błysnął od głowy.
Widzą, i ledwie śmią poznać wodze
W Dawida ręku oszczep Saulowy!
I Saul poznaje kto był w namiocie,
Poznaje syna po jego cnocie.

DAWID.

Królu! coś mię z dziecięcia hetmanem uczynił,
Co kochałeś Dawida jakby ojciec drugi,
O panie mój i ojcze! cóżem ci przewinił,
Że pragniesz śmierci twego syna, twego sługi?
Czyliż gniew twój nie spocznie, aż mię złożysz w grobie?
Wszakoż dałem ci serca mego dowód nowy;
Źle patrzą twoi stróże: otom był przy tobie,
Przecież się nie targnąłem naprzeciw twej głowy.
Ojcze! takąż to łaskę zlewasz na twe syny!
Niegdyś przy swej osobie chowałeś mię z bliska:
Dziś, wzgardzony wygnaniec, karany bez winy,
Jak zwierz kryję się w puszczach, i głód mię uciska!

SAUL.

Twój że głos usłyszałem, wodzu mój, Dawidzie?
Więc wszystko mi przebaczasz, o synu mój luby!
Stoję przed tobą w żalu, w przestrachu i wstydzie,
Bo ty mą duszę zbawiasz, a jam chciał twej zguby.
Szaleństwo mną pomiata! Tyś mi przydał chwały,
A jam cię znienawidził, wygnał, prześladował,
Jam ci dobre złem oddał. O mężu wspaniały!
Pan mię wydał twej ręce: a tyś mnie zachował!
O! niechaj Pan nie sądzi między mną i tobą,
Boś ty jest sprawiedliwy, ja na grzechu drodze;
Serce wiernego syna ścisnąłem żałobą,
Lata swoje dokończam w ucisku i trwodze.
Przeto, chociaż powściągasz myśli twoje skromnie —
Gdy wiem że masz królować: przysięż mi, o synu!
Że mojego potomstwa nie wygładzisz po mnie,
Że nie będziesz na dzieciach mścił się ojca czynu!

III.

Wiatr zgasił gwiazdy. Z łona czarnej nocy
Burza, jak orzeł, na pustynię spada;
Hukom potoków i wichrów przemocy,
Gniewnego Nieba piorun odpowiada.
Strasznem jaskinie echem zajęczały;
Głośniej Endoru odbiły je skały.

Przelękłe zwierzę kryje się w parowie,
Ryk tylko lwicy czasem się odzywa...
Drogą pustyni wyszli trzej mężowie,
Jednaka szata wszystkich trzech okrywa.
Przecież są różni. Jednego z nich władza,
Samą postawą i krokiem się zdradza.

Król Saul! Już nie zna snu swobodnej chwili.
W stach i tysiącach dziś Filistyńczyki

Już się obozem w Sunam położyli.
Saul na Gelboe przyciągnął swe szyki:
Ale nie kładąc w męstwie dawnej wiary,
Wyzywa w pomoc umarłych i czary,

Przez dziką puszczę, pośród skał załomów,
W prostem odzieniu służebnika skryty,
Bez wojska, straży, śród burzy i gromów,
Z dwoma wiernymi idzie do wróżbity.
Przed nimi w chmurze płynie duch pustyni...
Szli; do głębokiej wkraczają jaskini.

Stoją u wchodu. Z czarnego jej łona
Podziemny płomień bladem światłem błyska;
Drżąca wróżbita nad nim nachylona,
Przelękłym wzrokiem patrzy w śród ogniska.
Jakiś jęk zawył... i w strasznych przemianach
Szkaradne larwy pierzchnęły po ścianach.

«Kto jesteś — krzyknie z gniewem czarownica —
Zuchwały wrogu, nędzny śmierci synu!
Choć żadna gwiazda już ci nie przyświeca,
Wiem że tu jesteś. Zbliż się, dokończ czynu,
Lecz jakiejkolwiek byłbyś władzy, mocy,
Drżyj przed wyrocznią tej okropnej nocy!»

Rzekła; i blade znów schyliwszy czoło,
W płomienia blaskach skryte rzeczy śledzi...
Wprowadza króla w czarodziejskie koło:
«Żądaj!» zawoła... Nie dał odpowiedzi.
«Żądaj!» powtarza... Wreszcie się ośmiela:
«Więc wskrześ i objaw..» Kogo? «Samuela!»

Wybuchnął płomień. Wznosi się i żarzy,
Jakby miechami podsycony piekła.
Wróżbita w dzikich ruchach drżącej twarzy
Jakieś śmiertelne zaklęcia wyrzekła;
Zamawia, wzywa. Wzrok jej osłupiały,
Włosy, jak węże, nad głową powstały.

Tłoczą się dymy z czarnego ogniska,
W ogromnych kłębach zaległy jaskinię,
Suną się, cofną, znów stawają z bliska...
I zwolna postać starca z nich wypłynie.
Wyszła śmiertelnym płaszczem przyodziana:
Saul wskrzeszonego poznaje kapłana!

Głos jego słyszy! «Więc twojaż to zdrada?
Tyż mi i w grobie nie dałeś pokoju?» —
«O! przebacz, mężu! — król mu odpowiada —
Wróg mię otoczył, wyzywa do boju;
Jestem uciśnion, modlę się daremnie!
Pan mię zapomniał, odstąpił odemnie!

Prosiłem iżby odkrył swe wyroki,
Bym Jego wolę, drogi moje wiedział;
Lecz ani snami, ani przez proroki
Nie chciał wysłuchać, i nie odpowiedział.
Przeto cię pytam, świętego kapłana,
Jako mam czynić bym przebłagał Pana?»

Umilkł. I płomień zapadał pod ziemię.
Po chwili kapłan: «Miałem w tobie syna,
Lecz sam zgubiłeś siebie i swe plemię:
Jutro twój obóz w ręku Filistyna.
Późna uległość zostanie daremną:
Jutro twe dzieci i ty... będziesz ze mną!»

Saul drżącem ciałem padł na grunt jaskini.
Zgasł ogień. Wszystko znikęło dla oka.
Łoskot piorunu rozległ się w pustyni.
W około przestrach i ciemność głęboka...
Dwaj wierni słudzy, trwogą, zemstą gnani,
Unoszą króla z okropnej otchłani.

Bóg mieczom Filistynów dał wygranej chwałę.
Na Gelboe poległo Saula wojsko całe,
I wszystkich ciężar bitwy na niego się zwalił.
Widział śmierć swoich synów: lecz się nie użalił:

Walczył. A przemożony gdy upadł od rany,
Wołał do giermka swego: «Giermku mój kochany,
Pan przeciwko mnie stanął, i wróg już dogania,
Daj mi ostatni dowód twego przywiązania:
Zbliż się, niech króla twego losy cię poruszą,
Skróć hańbę, boleść moją, i rozłącz mię z duszą.»

Gdy sługa nie śmiał tego nad tak wielkim mężem:
Powstał jeszcze, i własnym przebił się orężem.

IV.

Kiedy z wojennych wróciwszy czynów,
Dawid z Syceleg wyjść zwlekał:
Słysząc o zgonie Saula i synów,
Takim lamentem wyrzekał

«O! padnij w gorzkich łzach, Izraelu!
Bardzo Pan winy twe karze;
Próżno słynąłeś z rycerzy wielu,
Polegli twoi mocarze!

«Jużeś się rozszedł ze sławą twoją,
Dawne ci słońce nie świeci;
Filistyn Saula odział się zbroją,
Na górach zacni pobici!

«Nie rozgłaszajcie w Geth tej zakały,
Po Askalonu ulicach;
By wrogów córki nie posłyszały,
Nie błysła radość w ich licach!

«Gelboe! Oby ożywcza rosa
I wiosna z ziem twych uciekła!
By się wyrzekły ciebie niebiosa,
Jakoś ty nas się wyrzekła!

«Bo tam rzucona tarcz jest Saulowa,
Przed którą bitwy pierzchały;
Bo tam upadła Jonathy głowa,
Brata mych nieszczęść i chwały!

«Płacz, Izraelu, wiecznie tej klęski,
Obeszlij jękiem krąg świata!
Straciłeś królów oręż zwycięski,
Jam stracił ojca i brata!»

PŁACZ GRZESZNIKA.

I.

Ustało serca mego wesele,
Pan rzucił ku mnie swe zagniewanie.
Osiadła czarność węgli w mych licach,
Niepoznawany błądzę w ulicach —
Na nic mi wszelkie staranie!

W ręku mię mają nieprzyjaciele,
Słudzy się śmieją z mojego stanu,
Lub groźnym biją mię wzrokiem!

Płacząc, i grzech swój wyznając Panu,
Próżnom za wytchnieniem gonił:
Pan się zastawił obłokiem,
Od modlitw moich zasłonił!

Zrzucił mię na dół Pan sprawiedliwy.
Słuchajcie pilnie kto tylko żywy,
Słuchajcie wszyscy mię pilnie.
Pan z wysokości widzi niemylnie,
Pan sprawiedliwy. Jam ręce święte

Sam do karania nakłonił,
Sam się przed zemstą odsłonił,
Przezemnie wszystko poczęte!

II.

Jako niemowlę jestem bez sposobu,
Ustały z płaczu oczy oboje;
I zatrwożone wnętrzności moje,
I głowa moja jak z grobu!

Jak na dzień uroczysty, Pan w gniew odział czoło.
Tych, coby mię straszyli, przyzwał naokoło;
Moc kary mnogiej, przeciw mnie zwrócił,
Żem zbyt grzechami wiek swój zawinił:
Zagrodził drogi, ścieżki wywrócił,
Złamał mię, pustym uczynił.
Duch mój wygnany, próżen pokoja,
Zginął mój koniec, nadzieja moja!

III.

Przyzwałem Ciebie, Panie,
W upadku na zlitowanie,
Prędsi niżeli orłowie,
Ugodzili ku mej głowie,
By się wieczny wyrok spełnił.
Dziedzictwo me zaprzedane,
Domy moje cudzym dane,
Sprawiedliwość Pan wypełnił!

O wejrzyj na mnie, Panie, z gwiaździstego kraju.
Od rodzaju stolica Twoja do rodzaju.
Nawróć, Panie, ku sobie; stanę nawrócony,
I w dniach mych odnowionych, sercem odnowiony.

Mąż przyjęty do Twej chwały,
Który jarzmo niósł w cierpieniu,
Będzie siedział osamiały,
I wywyższy się w milczeniu.

BITWA I ZGON ABNERA.

Abner, wierny Saulowi w życiu i po zgonie,
Jako był hetman, stanął przy syna obronie.
Więc Izbozetha królem po ojcu osądził.
Dawid jedynie w Hebron domem Juda rządził.

To gdy było lat siedem i przez sześć miesięcy,
Do Gabaon szedł Abner, wiodąc huf książęcy.
Joab też od Dawida, z liczbą przyjacieli,
Szli w czasie, i od stawu ku nim zabieżeli.
A gdy się społem zeszli: jak męże w żałobie,
Po obu stronach wody siedli przeciw sobie.
Rzekł Abner do Joaba: «Niech wstaną młodzieńcy,
A będą lub zwycięscy, lub zwycięsców jeńcy.»
I odpowiedział Joab: «Dobrze; niechaj wstaną,
Poigrają przed nami. «I wnet znaki dano.
Wstali tedy, i z obiej szło dwunastu strony,
Każdy do rówiennika swojego zwrócony.
Chwycili się za głowy, błysnęli żelazem,
Razem byli zabici, i upadli razem.

Stała się bitwa wielka. Polegli ci, owi;
Wtedy Abner tył podał i słudzy Saulowi.
A był tam brat Joaba, jeszcze w latach wczesny,
Prędki zawodnik w biegu, jakby jeleń leśny;
Ten doganiał Abnera. Więc hetman przestrzegał
Iżby męża zbrojnego oślep nie dobiegał.
Asael popędliwy wzgardził jego słowy:
Przeto umarł w swem miejscu młodszy Joabowy.

To wypadło na wojnie. W on czas w szczerej wierze
Szedł Abner postanowić z Dawidem przymierze.
I ujęty od króla przez serce łaskawe,
Wracał z Hebron ludowi czynić o tem sprawę.
Lecz Joab go osobno wiedzie pośród brony,
By z nim mówił na zdradzie, zemstą rozsrożony.
Uderza w łono męża, z duszą go rozdziela,
Przelawszy krew Abnera za krew Asaela.

Co gdy usłyszał Dawid, tak wołał do Pana:
«Czystym ja jest ode krwi ległego hetmana.
Przeklęty miecz Joaba! co zdradą zwycięża,
Co w pokoju zabija niebronnego męża.»
Do ludu mówił: «Płaczcie, rozdzierajcie szaty!
Bowiem Izrael wielkiej ma żałować straty.
Nie jak ludzie nikczemni legł Abner przed zgrają,
Lecz jak przed niezbożnemi wybrani padają.
Tak mi Bóg niech uczyni, nie wiedzie do końca,
Jeślibym przyjął pokarm do zachodu słońca.»

A przed oczyma ludu to się spodobało
Że król z śmierci Abnera z jawną wyszedł chwałą.
Bowiem Dawid już mnogie rachował dni sławy,
A hetman był zabity nie z jego naprawy.

EDYSSA.

Błogosławiony, kto przyjął sierotę,
Kto ją wychował w zakonie.
Wdzięczność, jak Anioł, uczci jego cnotę,
I Niebo jemu w obronie.

Edyssa z królem śród blasku i chwały;
Mardochi w innej był doli.
Żal serce cisnął, łzy mu twarz zlewały:
Lud jego ginął w niewoli.

Rozdziera szaty, okrył się popiołem;
Pod smutkiem umysł padł męski.
Dzieci, niewiasty, starcy płaczą społem.
Zbliżał się strasznej dzień klęski.

W miesiącu Adar wszystek naród padnie
Okrutnej zemsty odwetem.
Aman starostom już rozesłał zdradnie
Listy z królewskim sygnetem.

«Cóż — pisał zbójca — że gwałtem, lub zdradą,
Krew tych przelejem niebraci?
Krew cudzoziemców? gdy się ich zagładą
Królewski skarbiec wzbogaci?»

W czci majestatu, troską rządów złaman,
Król do wyroku zasiada;
Na równi z królem ponury stał Aman,
Niżej satrapy i rada.

W koło urzędy, a dalej za kratą
U drzwi żołnierze na straży;
Nikt niewołany pod życia utratą
Tu się przybliżyć nie waży.

Wchodzi Edyssa!.. Drżą słudzy zakonu;
Zły Aman cieszy się skrycie.
Nie znasz zakazu? Lub śród uciech tronu,
Czy już nie miłe ci życie?

Stanęła. Nie śmie... Zwróciły się straże,
Dziwi się służalców tłuszcza...
Już Aman winną porwać na śmierć każe...
W tem złotą laskę król spuszcza.

Znak przebaczenia! «O! duszy wesele!
Cześć tobie! Cześć mej królowy!
Mów, o co prosisz. Wszystkiem się podzielę.
Żądaj królestwa połowy.»

«Gdy nową chwałę chcesz przydać dniu temu,
(Edyssa we łzach odpowie)
O! przebacz, królu, dobroczyńcy memu;
O! przebacz memu ludowi!»

Król zamilkł. Aman wzrokiem bojaźń zdradził,
Choć myśli nie odgadł pana.
Przyszedł dzień straszny. Król radę zgromadził.
Był to dzień śmierci... Amana.

IZMAEL.

«Dziecię! ustąp mu pierwszeństwa,
Nie odmawiaj mi ofiary:
Bóg chce tego posłuszeństwa,
I łzy proszą cię Agary.

«Nie zapomnij tej różnicy,
Choć to matki duszę rani:
Żeś jest synem niewolnicy,
On dziecięciem dumnej pani.»

«Matko, prosisz mnie daremnie.
Niechaj Sara woła krzykiem.
Czemże lepszy on odemnie,
Bym mu nie był równiennikiem?

«Jednegośmy ojca dzieci,
Od jednego Boga dani.
Jedno słońce dwom nam świeci.
Ja znam matkę, nie znam pani.

«Czyż on w puszczy głośniej znany,
By nademnie wyżej siedział?
Że od Nieba zwiastowany?
I mnie Anioł przepowiedział.

«Matko, nie znoś tego sromu.
Niech nam krzywdy nikt nie czyni.
Niśli sługą męża domu,
Wolisz panią być pustyni.

«Zaczniem lata pożądane
Za wolności tam okupem;
Wesół strzelcem twym zostanę,
Będę żywił cię mym łupem.

«Niech tu innych ściska trwoga,
Niechaj podły w jarzmie ginie;
My nie słudzy, matko droga,
Chodźmy, lećmy na pustynie.

«Przecież Anioł twój na puszczy
Ten mi wyrok przyniósł z Eden.
Że śród wrogów żyć mam tłuszczy,
Przeciw wszystkim mam być jeden.

«Kiedyż, kiedy stanę zbrojny;
Kiedyż z dziecka będę mężem!
Serce płonie ogniem wojny,
Ręka drży mi za orężem!»

I ojciec, choć rozżalony,
Stwierdził słowa te Agarze.
Dla żądania dumnej żony,
Na los z dzieckiem iść jej każe.

Tak za wierność swą doznaną,
Wzgardę w miejsce ma nagrody.
Ledwie jej na drogę dano
Jeden chleb i bukłak wody.

«Przestań, matko, myć się łzami,
Bóg nas stworzył i wyżywi;
Będziem wolni, będziem sami,
I bez panów i szczęśliwi.»

Biegł Izmael puszczą śmiało,
Swe wygnanie matce chwali...
Alić wody już nie stało,
Od gorąca dech się pali.

Słońce żarzy się w przestworze,
Skwarne niebo płomienieje,
Naokoło piasków morze...
Z upragnienia dziecię mdleje.

Ledwo kroki stawić zdoła,
Słabem ciałem już nie włada...
«Wody! Matko!» Z jękiem woła,
I bez sił u nóg jej pada.

«O! wstań, powstań, drogie dziecię!
Pij łzy moje, zdrój ich spływa!
O! ty życia mego życie!
O! ja matka nieszczęśliwa!

Boże! Wielki światów Panie!
Tyleś dla mnie łask położył!
Usłysz duszy mej wołanie,
Zbaw mi dziecię któreś stworzył!

«Obietnicom Twoim wierzę,
Duch mój chwałą Twą przejęty!
Oto sługa w prochu leżę,
Miłosierdzia! Święty! Święty!...»

I myśl pierwsza jest podzięką:
Promienisty Anioł błysnął,
Wskazał w ziemię jasną ręką...
I obfity zdrój wytrysnął!

ZNALEZIENIE REBEKI.

Gdy syn Thareja przeżył lat swych poczet długi,
Rzekł ongi do starszego swego domu sługi:

«Przysięgnij mi przez Pana, że mój ulubiony
Z pośrodka chananejskich nie będzie miał żony.
Że gdzie mój dom, gdzie moja została rodzina,
Stamtąd znajdziesz niewiastę dla mojego syna.
Bóg, który swych wyroków i słów nie odmienia,
Który ten kraj poślubił dla mego nasienia,
Usłyszy że do Niego sługa wierny woła,
I w onej drodze poszle przed tobą Anioła.»
Sługa rękę pod biodrę złożył swego pana*),
I na tę mowę była przysięga uznana.
Wziąwszy dziesięć wielbłądów, jechał bez zawodu
Ku Mezopotamii, do Nachora grodu.
I stawiwszy wielbłądy przed miastem u studnie,
Czekał; a już od czasu minęło południe.
Aż gdy pod wieczór z bramy szły niewiasty młode,
I przyszły rozmawiając jasną czerpać wodę:
Sługa w duszy tak mówił: «Abrahama Panie!
Spraw niech Twe miłosierdzie widomem się stanie.
Której rzekę: Z pragnienia pozwól niech ożyję,
Nachyl mi twego wiadra, że się w niem napiję;
Która odpowie: Proszę, przyjmij wiadro moje,
Owszem dozwól iż także wielbłądy napoję;
Poznam dla Izaaka że tę Bóg wydziela.»

Jeszcze mówił; gdy przyszła córka Bathuela:
Dzieweczka wielce śliczna i piękna jedynie.
Zbliża się, i do studni spuszcza swe naczynie,
Sługa rzecze: «Z pragnienia pozwól niech ożyję,
Nachyl mi twego wiadra, że się w niem napiję.»
Ona odpowie: «Proszę, przyjmij wiadro moje,
Owszem dozwól iż także wielbłądy napoję.»
I dawszy mu się napić, toż lała w koryta
Wyczerpanej swej wody wielbłądom do syta.

Więc mąż dobył nausznic, dwa sykle ważyły;
Także dziesięć maneli, a ze złota były.

*) Sposób wykonywania przysięgi.

Co gdy oddał dzieweczce, w radości łzy ronił;
I nachylił się człowiek, i Panu pokłonił.
Bowiem prawdą był wiedzion do onego miasta,
I że dla Izaaka była ta niewiasta.

PODDANIE SIĘ.

«Pasły się twe oślice, twe woły orały,
W tem znagła Sabejczyków przypadł lud zuchwały:
Zabrano wszystką trzodę, i wycięto sługi.»
Gdy ten ledwo powiedział; przybył i rzekł drugi:
«Ogień spalił twe owce. Gdzież są twoje dzieci?»
A gdy ten jeszcze mówił; przybył i rzekł trzeci:
«Gdzież są twe syny? Oto śród przekleństw i krzyków
Wypadł na twe wielbłądy hufiec Chaldejczyków,
Pozabijano mieczem pachołki i warty.»
Gdy ten jeszcze nie skończył — przybiegł i rzekł czwarty:
«Ucztowały twe dzieci u starszego brata.
Wtem od strony pustyni wielki wiatr przylata,
Zatrząsł węgłami domu, i runął dach cały,
I wszystkie pod gruzami dzieci twe skonały.»
Wtedy Job wstał, i rozdarł szaty swe na sobie.
I padł, i leżał w prochu, jakby złożon w grobie.
«Nagom wyszedł — zawoła — z matki mej żywota,
Nago wrócę do ziemi. Żadna moja cnota.
Pan mi dał — Pan mi odjął. Niech wszystko się stanie
Jako chce Pan, i jako Pana podobanie!»

POKUTNIK.

I.

Człowiek, zrodzon z niewiasty, żyjąc przez czas krótki,
Krewkości, nędzy pełen, cierpi grzech i smutki.

Urodził się na pracę, jak ptak na latanie;
Jak kwiat wschodzi, i nie trwa, jako dzień, w swym stanie.

Uleciały dni moje jak prędcy orłowie,
Jako obłok przelotny znikło moje zdrowie.
Życie moje, wiatr próżny. Kto dziś przy mnie siędzie,
Przyjdzie jutro, i miejsca po mnie szukać będzie.

Przetoż mądrością Pana niech się duch poruszy,
Abym zdołał sfolgować gorzkościom mej duszy.
Bo którzy się poniżą, przyjdą do Niebiosów,
A pyszni, starci będą jako wierzchy kłosów.
I jedno młodzian trzyma że ma szczęście wczesne,
Że się wolnym urodził jako źrebię leśne.

II.

Kto jest, co nad przepaścią krąg ziemi utrwalił,
Rozbił niebo jak namiot, i w wiatrach przepływa?
Słońce i miesiąc puścił, i zorze zapalił,
I obfite w obłokach wody zawiązywa?

Kto jako uzdą ujął niehamowne morze,
Każe mu: i postąpi — chce: i cofnie kroku!
Kto zszedł do głębokości, wymierzył jej łoże,
I kto pobłogosławił okręgowi roku?..

Kto zgodą wiekuistą spoił wóz Niebieski,
Wstrząsa ziemię jak owoc, i grzmi śród płomieni?
Mnoży ludy i traci? I kto pas króleski
Biodrom książąt odejmie, i w powróz go zmieni?..

Za czyjem roskazaniem orlica poleci,
By na wysokich miejscach gniazdo swe układła?
Gdy pokarmu wołają głodne puszczy dzieci,
Samotnemu krukowi kto wyszuka jadła?

O! niech mię niedostatek obejmie jak woda,
I niechaj jako wodę piję urąganie,
Niech mię chwyta strach nagły, i na pośmiech poda:
Wieczne jest w wiecznym Panu moje zaufanie.

III.

Jako bieżący potok, bracia mię odbiegli,
Słudzy mię pogardzili, opuścili bliscy:
Wołałem, a nie było którzyby mię strzegli,
Cierpiałem i prosiłem, a odeszli wszyscy!

Pan zapalczywość swoją przeciw mnie otworzył,
Jak wyrwanemu drzewu odjął mi nadzieję;
Popsował mię, na ścieżce mej ciemność położył,
Drogę moją ogrodził, i trwogi w niej sieje.

Wydał mię, i niezbożni w śmiechu przy mnie stoją;
Złych piosnką mię uczynił, nie wiódł mojej pracy —
Rzekłem ziemi: ty ziemio, jesteś matką moją;
Robakom: wy mi bracią jesteście robacy!..
Arfę, niegdyś przyjemną, dziś jękami stroję.
I jako głos płaczących, przykre pieśni moje.

IV.

Pan zna od wieków, która potrzebna mi droga —
Niechaj za śladem Jego moja idzie noga.
On sam wróci mi światło, w trwogach się nię spętam,
Przykazania ust Pańskich gdy nie zapamiętam.

Lecz sierot nie baczyłem, a biedne odarłem;
Wdowy smutne puszczałem z sercem obumarłem.
Nie szło błogosławieństwo za moim wyrokiem,
Nie byłem nogą chromym, ni dla ciemnych okiem.

Przeciw mnie ziemia woła i płaczą zagony,
Ani potem oraczów byłem nasycony.
Trwożnem odszedł bez wsparcia, smutne bez pociechy,
I w zanadrzu jak człowiek skrywałem swe grzechy,

Ktoby mi dał niewinność! O, ktoby to sprawił,
Bym czystością, jak wieńcem, skronie swe oprawił!
Przeciw niewinnym w duchu Pan nie zna urazy,
Którzy wzniosą ku Niemu oblicze bez zmazy.

Na liść porwany wiatrem mocy swej nie sroży,
I przeciw źdźbła suchego ręki nie wielmoży.
A cóż jest człowiek, aza nie liść, proch grobowy,
Gdy Pan swe nawiedzenie zdejmie z jego głowy!

V.

Depczą mię nieprzyjaciele,
Ale się duch mój nie żali:
Pan zmieni płacz mój w wesele,
Pan mię ocali.

Niechaj obwodzi wróg nocą,
Niech śmierci trwoży mię krzykiem;
Bóg mi obrońcą i mocą,
Bóg pomocnikiem.

Od Niego patrzę ochłody;
Boskiemi zajęty dzieły,
Łzy moje wspomnę jak wody
Które minęły.

Choć żywot w płaczu dziś trawię,
Święta podźwignie mię ręka;
Pod wieczór wznijdę w mej sławie,
Jako jutrzenka.

Bo wieczna pokornym chwała...
A nim przy ojcach się złożę,
Wprzód jako palma wspaniała,
Dni swe rozmnożę!

ODBUDOWANIE KOŚCIOŁA.

Daryusz Perski, przez zacne względy
Uczynił wonczas wielką biesiadę
Na swe starosty, pany i Radę,
Na domowniki, i na urzędy
Z swych stu dwudziestu i siedmiu krajów:
Baczny królewskich onych zwyczajów.

A podczas gdy zasnął, króla stróżowie
Mówili do siebie: Uczyńmy mowę.
A który rzecz sprawi w najmędrszej mowie,
Łańcuch mu na szyję, bisior na głowę.

Dla niego wóz stanie o złotym rzędzie,
Jemu spać na złocie, nosić szkarłaty,
On sam po prawicy króla usiędzie,
Będzie zwan królewski powinowaty.

Jeden napisał: Mocne jest wino.
Drugi napisał: Król jest mocniejszy.
Trzeci napisał: Mocą jedyną,
Która moc wina i króla mniejszy,
Stawię Niewiastę. Ta sieć natęża.
Lecz nadewszystko Prawda zwycięża.

A gdy król wstał: wnet stróże mówili.
Więc swą Radę o zdanie król pytał.
Starostowie sąd z Pany złożyli,
Siedli z królem. A pierwszy tak czytał.

«Mężowie! Jako wino nie przemaga ludzie?
Myśl króla i sieroty równie miłą czyni.
Przez nie się ubożuchny raduje w swym trudzie,
Ono i mocarzowi pociechy przyczyni.
Niewolnikowi żale i samotność skraca.
Serce robi bogate jedno łaska trunku;
Wszystkie myśli bespieczne w wesele obraca,
Wyciąga z ludzi pamięć długu i frasunku.
O mężowie! osądźcie, azali nie wino
Mocą jedyną?»

I rzekł, i umilkł.
Więc swą Radę o zdanie król pytał.
Rozważali. A drugi tak czytał.

«Mężowie! Czyliż nie ludzie mocniejsi
Którzy owładli i ziemię i morze?
Wyżsi nad wszystkich, wszyscy przy nich mniejsi,
Ich roskazanie przyjmują w pokorze.
Jeśli król poszle na żołnierkę: spieszą.
Rozwalą tamy, mur i miasto padnie;
Śmierć otrzymując, jeszcze się ucieszą
Że słów królewskich nie odeszli zdradnie.
Rolnicy z ziemi niosą dań królowi;
Rzecze-li: bijcie! Zabiją, choć czują;
Bo z nim lud wszystek; a on jeśli powie:
Puśćcie, wypuszczą; budujcie, zbudują.
Sądźcie, mężowie, że Król a nie Wino,
Mocą jedyną.»

I rzekł, i umilkł.
Więc swą Radę o zdanie król pytał.
Rozważali. A trzeci tak czytał.

«Wszakoż Niewiasty urodziły króle,
Sadzących wino także wychowały.
A kto z nas dziecię wypiastuje czule,
Uczyni szaty, i przyłoży chwały?

Ujrzą niewiastę nadobną... i oto
Otworzą usta, i odejść nie mogą;
Upuszczą z ręku i srebro i złoto,
Więcej ją ceniąc niż wszelką rzecz drogą.
Mąż najdumniejszy w pętach jej zostanie,
I rad z nich będąc, dla niej tylko żyje;
Dla niej kraj rzuci; na jej zawołanie
Odbiegnie króla, czary nie dopije.»

Tu gdy Radę o zdanie król pytał,
Zorobabel tak dalej przeczytał.

«Wielkać jest ziemia i wysokie niebo;
A niebo Prawdę błogosławi zawdy,
A ziemi pierwszą Prawda jest potrzebą;
Błogosławiony przez wieki Bóg Prawdy!
Nieprawi wszyscy synowie człowieczy,
I nieprawością wino ima męża;
Nieprawe, słabe, ziemskie wszelkie rzeczy;
Prawda trwa, żyje, wzmaga się, zwycięża.
I nie masz u niej brakowania osób.
Niesprawiedliwym i złościwym równa;
Odwieczna moc jej, i możność, i sposób,
Wiecznego Boga ona piękność główna.»
I rzekł, i umilkł. Aż wszyscy wołali:
Cześć Prawdzie! Ziemia i Niebo ją chwali!

A król: Usłyszcie, Rado, Panowie,
Ten rzecz uczynił w najmędrszej mowie.
Jemu więc łańcuch, bisior, szkarłaty,
On będzie króla powinowaty.»

Do niego przydał: «Zorobabelu!
Gdy żądasz więcej, proś, niech usłyszę,
A wraz ci wszystko dam, przyjacielu,
Znalezion mędrszy nad towarzysze.»

Tedy on rzekł królowi: Przedtem oni dzicy
Spalili nam modlitwy dom Idumejczycy.

Naczynia z niego wzięte, gdy Babylon pobił,
Odłożył dla nas Cyrus by nowy ozdobił.
A więc błagam cię, królu, z pokorą i żalem,
Wskrześ i podnieś nasz święty kościół w Jeruzalem.
Bo wszakże ten jest ślub twój, któryś królu ziemi,
Królowi Niebieskiemu ślubił usty twemi.»

Tu król powstawszy, w twarz go całował.
Uczcił szafarze roskazem nowym:
I Zorobabel kościoł zbudował
We wtórym roku Daryuszowym.

WOŁANIA.

I.

Czemużeś smutna, i czego mną trwożysz,
O duszo moja! Przecz jesteś w tym stanie?
Azaż nie w Panu radość swą rozmnożysz,
Gdy Pan twa ufność, twe oczekiwanie?

Że cię posiadły bole i uciski,
Że w spracowaniu siły twe zemdlały.
Jego to wola. A Pan zawżdy bliski
Tym, którzy cierpią w drodze Jego chwały.

Czemże jest człowiek, iżby się użalał?
On? zawsze w złości, w krewkościach i winie?
Jeszcze Pan nie chciał, gniewu nie zapalał,
Już jak garncarskie skruszył go naczynie.

Ale Pan słyszy ubogich wołania,
I na pokorne patrzą Jego oczy.
Słabą sierotę cieszy i obrania,
A ufające tarczą swą otoczy.

O Panie! Oto zasługi me żadne,
A nieprawości przeciwko mię stoją;

Spraw niech od własnych myśli nie upadnę!
Racz zesłać ku mnie światłość, prawdę Twoją.

Człowiek, syn prochu, sądów Twoich nie wie,
Zmierzyć Twą wielkość pragnąłby daremno;
Probuj mię, Ojcze! ale sądź nie w gniewie,
Litością swoją zlituj się nademną!

II.

W gorzkim płaczu pracowałem,
Co noc łoże myłem łzami;
Bo zwycięstwo złościom dałem,
Bo upadłem pod grzechami.

Strwożyło się oko moje,
I odbiegło mię wesele;
Światła w dzień, w noc snów się boję,
Jak wyrwane więdnę ziele.

Niech Cię, Panie! wzruszy skrucha,
Zwróć swej na mnie promień mocy;
Jako deszczu ziemia sucha,
Tak czekałem Twej pomocy.

O! zdejm ze mnie grzechu pęty,
Sądów Twoich nie rozrywam:
Ale Ojcze, Panie święty!
Miłosierdzia Twego wzywam.

III.

Pan twierdza słabych, Pan ich obrońca,
A kto pociechy w Nim czeka,
Niezapomniany będzie do końca,
Bo nad nim Pana opieka.

Jakże Mu godną chwałę uczynim?
Nie masz od Niego zawodu;
Błogosławiony kto stanął przy Nim,
Kto Mu zaufał od młodu.

Błogosławieni pobożni szczerze,
W duchu niewinni i prości;
Błogosławiony kto trwały w wierze
Nie siadł ze zborem marności.

Błogosławiony kto stałym krokiem
W drogę zakonu wszedł z rana,
Przed czyjem Pańska bojaźń jest okiem,
Kogo opasze moc Pana.

O! niech Cię wierny przy sobie pozna,
O! powstań w chwale swej, Panie!
Niechaj strapiony pociechy dozna,
Niech sprawiedliwość się stanie.

Twoje są nieba, Twoja jest ziemia,
Twoje jest jej napełnienie;
Niech grzech, co światłość we mnie zaciemia,
Spalą Twej łaski płomienie!

IV.

Byłem młody, lat koleją
Dziś już starość mię ujęła:
A z pokorą i nadzieją
Zawszem wielbił Pańskie dzieła.

Gdyż chwalebne Pana sprawy,
Pewna Jego tarcz obrony;
Anim widział by mąż prawy
Był od Niego opuszczony.

Zły chełpił się szczęściem trwałem,
Wynosił się swoją siłą;
Minąłem go i spojrzałem:
Tylko miejsce po nim było.

Lecz pokorny w innej doli.
Jako drzewu nad wód zdrojem,
Pan zakwitnąć mu pozwoli,
Darząc dobrem i pokojem.

V.

Pan nędzę moją i łzy zobaczył,
I cierpliwości wzrusza Go cnota;
Ciemności moje rozświecić raczył,
Oznajmił drogi żywota

Któż przed Twym, Panie! sądem ostoi?
Niech usta moje chwalą Cię codzień;
Zapomnij grzechy młodości mojej,
Jam słaby, nędzny przechodzień.

Siedzi niezbożnik na swojej zdradzie,
W ukrytem miejscu, jako lew w jamie;
Przed nogą brata sidło swe kładzie,
Chytrze mu czyni i kłamie.

Lecz za niewinnym napróżno goni.
Próżno go łowi zdradą swych sideł;
Pan jest z niewinnym, Pan go zasłoni
Bespiecznym cieniem swych skrzydeł.

VI.

Ciebie, o Panie! będę tylko chwalił.
Który głębokość wód morskich zaburzasz

Rozrywasz morze, byś swój lud ocalił,
Rozszczepiasz skałę i zdrój z niej wynurzasz.

Tobie przystoi, Panie! pieśń w Syonie,
Tobie się ziemia napełniona kłania,
Ty zawiązałeś obfitość w jej łonie,
Tyś krąg Niebieski stwierdził od zachwiania.

Ty, który spojrzysz i rozwiążesz ludy,
Coś rodom stworzeń czas trwania oznaczył,
Czemże to jestem, żeś mi czynił cudy?
I któż ja jestem, żeś mię pomnieć raczył?..

Oto ubogi i niewierny sługa,
W grzechu poczęty, w boleściach zrodzony;
Słabość moc moja, grzech moja zasługa,
Nędźny proch jestem, bez sił, bez obrony.

Lecz Pan cierpliwych w płaczu nie zaniecha.
Bądź ze mną, Panie! bym nie zginął marnie;
Sfolguj mym smutkom, i niechaj pociecha
Litości Twojej duszę mą ogarnie.

VII.

Nie sądź według naszych czynów,
Bośmy wszyscy pod grzechami;
Jak lituje ojciec synów,
Panie! zlituj się nad nami.

Twojego się gniewu straszę,
Żem Cię zdradził sercem płochem!
Utworzenie znasz Ty nasze,
I pamiętasz żeśmy prochem.

Lecz Ty, Panie, wiecznie trwały,
Sam wiecznego Mocarz kraju,

W majestacie przetrwasz chwały
Od rodzaju do rodzaju.

Złamiesz niebios utwierdzenie,
I zwietszeją jako szata —
Znów je zmienisz jak odzienie;
I nie doznasz co są lata.

VIII.

O! zdejm już ze mnie karzącą rękę.
Niech mi się podług win mych nie dzieje.
Obym Ci złożył pieśń na podziękę,
Jakom miał w Tobie nadzieję.

Albowiem ja znam przestępstwa moje,
Żem chodził w zdradzie, żem zgrzeszył Tobie;
Ale me oczy łez lały zdroje,
I serce moje w żałobie.

Grzech mój nademną. Ciężkom zawinił.
Myśli me wszystkie zatruł frasunek;
I nie ma ktoby dobrze mi czynił,
Kto na mój szedłby ratunek.

Spełnia się wyrok i nie odmienia,
Który stanowisz radą tajemną:
O pośpiesz ku mnie w czas utrapienia,
Zmiłuj się, Panie! nademną.

IX.

Pragnęła Cię moja dusza,
K'Tobiem, Panie! ręce wznosił:
A wróg śmiechem się obrusza,
Żeś mi nie dał o com prosił!

Obstąpili mię do koła,
Wielkim wstydem przyoblekli;
Widząc smutek mego czoła,
Gdzież jest Bóg twój? wzgardnie rzekli.

Wtedy oczy łzy wylały,
Żem był mową ludu tłuszczy,
Bolejący, opuściały,
Jako nocny kruk na puszczy.

Nie rozłączy mię z nadzieją
Głos fałszywych przyjacieli:
Bo ze łzami którzy sieją,
Ci z radością będą żęli.

Niech się pyszny w moc swą wzmoże,
Próżno w myślach marzy dumnie;
Ja bogatszy w mej pokorze,
Gdy się Pan mój skłoni ku mnie.

X.

Wszechmocny, wielki, wiekuisty Boże!
Ku Tobie patrzę i wołam ze drżeniem:
Którego roskaz wściekłe związał morze,
Coś zamknął przepaść strasznem swem imieniem.

Ustawam w jękach. Nademną Twe ramię!
Serce me zwiędło, nie śmiem podnieść głowy —
Grzech mój, jak brzemię, ciśnie mię i łamie.
O! nie sądź, nie karz, Boże Jakubowy!

Tracę wytchnienie — żal kości me pali —
Jak słup nieczuły w umartwieniu stoję.
Wszystka moc Nieba Ciebie czci i chwali,
I na wiek wieków dziwne Imię Twoje.

Litosny Boże! rozwiąż moje pęta,
Naucz Twych ścieżek, bym nie żył we wstydzie;
Panie! Obrońco! niech Twa łaska święta
W moje dni życia przy boku mym idzie.

Wesprzyj i utwierdź pokutnego ducha,
Zlej na mą głowę Twoje poświęcenie;
Prowadź w Twej prawdzie — a niech żal i skrucha
Twojego gniewu ugaszą płomienie.

O Boże Stwórco! o Panie łaskawy!
Przyjm me wołania, daj mi swą obronę!
Błogosławione wieczne rąk Twych sprawy,
I wiecznie Imię Twe błogosławione!

ESDRASZ I ANIOŁ URIEL.

«Kiedyż me serce spocznie ze swym żalem!
O matko nasza, nasza Jeruzalem!
Upadła cześć twa, zemdlały twe siły,
Twoje radości w płacz się obróciły.

«Lży cię bezbożnik mocą swą i radą,
Bezbronny lud twój zabija jak stado;
Odarł świątynie, posiadł twe dostatki,
W pojmanie pędzi twe wdowy i dziatki:
Bowiem gniew Pański szedł za jego stroną,
Paląc cię, jako słomę zapaloną.

«Próżnom Cię, Panie, badał i przenikał:
Któryś na puszczach źródła poodmykał,
Nasycił morza, polom spuścił rosy,
Tchnął jasność dniowi, burzom rozdał głosy —
Który, gdy pojrzysz przez swe rozgniewanie,
Rostapiasz góry, przestraszasz otchłanie.

«Wprzód nim wypadły błyskawic jasności,
Nim się powietrzne wzniosły wysokości,
Zadęły wichry, gromy ryk wydały,
Nim Cherubowie wszczęli pieśń Twej chwały,
Nim utworzenie przebiło noc ciemną
I wyszły wieki w swą drogę tajemną:
Już przed początkiem, przed miejscem, przed stanem,
Byłeś początkiem i końcem — i Panem.

«Jako brzemienna, że miejsce swe zmienia,
Nie spóźni przeto czasu porodzenia;
Ani się wrócą strzały w swoją stronę,
Ręką mocnego łowca wypuszczone:
Tak się nie wrócą, aż każda da ranę,
Plagi od Pana na mój lud posłane!
Izali lwa kto głodnego odpędzi,
Albo przed ogniem Pana nas oszczędzi!

«O Panujący! nacożeś mię stworzył!
Obym w żywocie matki był nie ożył,
Iżbym nie widział krzywd mego plemienia,
I spracowania jego i omdlenia:
Bym nie szedł w płaczu ku skrytemu celu —
Że dziś jednego podałeś tak wielu,
Że trapisz lud swój i wola Twa taka,
Żeś tak rosproszył swego jedynaka:
A który szydzi z Twych świętych przymierzy,
Ten go podeptał i złość nad nim szerzy.

«W cóż poszły trudy nasze i nadzieje!
Po naszych włościach wiatr pustyni wieje;
Trwoga nas wkoło jak zaraza ściska;
Zapomnim w rychle dawnych świąt nazwiska.
Młodzieńców naszych do jarzma zaprzęgli,
Na licach matek weszła czarność węgli.
Jakby do łoża podłej niewolnicy,
Do domów naszych przyszli rozbójnicy,

A nasze dzieci, ubogie podróżne,
U cudzoziemca proszą o jałmużnę.
Żołnierze w pętach — w ciemnicach kapłani;
Starcowie nasi z ojczyzny wygnani,
Ucząc swe wnuki jak Cię chwalić mają,
Tylko karania Twoje pamiętają.
Przecz nam, o Panie, takiś wyrok chował!
Bardzoś się w smutkach naszych rozmiłował!

«Jak opuszczone pisklęta na leży,
Po całej puszczy wołają macierzy:
Tak kędyś poszły, każda w inną stronę,
Nasze sieroty, z gniazda wyrzucone.
Kto nosił szkarłat, dziś ogniska nie ma;
Kto mieczem straszył, dźwiga kij pielgrzyma.
Tęsknią do matki między cudzą zgrają,
Po cudzych drogach pieśni swe śpiewają;
Proszą wytchnienia pod cudzą gospodą,
Cudzą swe rany obmywają wodą — —
Widząc je kupcy jadący z towary:
On że lud, mówią, co nam czynił dary?
Gdzież ich Pan teraz? i tyleż zyskali,
Że się dla drugich na śmierć podawali?..
Widząc je książe cudzoziemskie zdala:
On że lud sławny co wojny zapala?
Przed którym drżeli króle, bracia moi?
Gdzież Pan ich, rzecze, i kto go się boi?
Zewsząd w nas bije kar puszczonych mnóstwo
Smutek nas ścisnął, okryło ubóstwo.
Jakżeś, o Panie, na Twe syny wspomniał!
Tyś nas rozniemógł, zabił, i zapomniał.

«Oto przechodząc, przeszedłem narody:
Bez Ciebie żyją, a nie cierpią szkody.
Nas jarzmo krwawi, shańbienie pożarło,
Nasze w boleściach pokolenie zmarło.
Przecz naród miły, naród mych wnętrzności,
Sierotąś zrobił, bez tarczy, bez włości!

Złym niezbożnikom przepuściłeś wielu,
A w nas uderzasz jak strzelec do celu.
Jako wilkowie, bespiecznie pasącą,
Obskoczą jedną owieczkę płaczącą,
Topią w nią zęby, rozerwą na poły:
Tak ugodziły w nas nieprzyjacioły.
Nie słyszą płaczu jej, zbójcowie leśni,
A Ty, czy słyszysz me płaczące pieśni!
Także to z nami miałeś być wzajemnie?
O Panie! serce odchodzi odemnie,
Ból kości pali, ustaje wołanie,
Gdzież Twe przymierza, panujący Panie!»

Tak wołał Esdrasz. I płaczem się wzruszy,
Nie mogąc bolów swej powściągnąć duszy.
Aż gdy w wezbranych myślach sobą brzydził,
Uriel Anioł znowu go nawidził.
Zlękły się na wskroś wnętrzności człowiecze,
Drżał strachem Esdrasz — a duch Pański rzecze:

«Bardzoś ty sercem podniósł się zuchwale,
Iż przeciw Pana czynisz takie żale.
Azaliś ty mu dawał twoje rady,
Gdy nad przepaścią puszczał gwiazd gromady?
Gdy jak z kąpieli, z łona ziemi kwiaty
Wyszły, ubrane każdy w swoje szaty?
Azaś ty z Nim się o opatrzność sprzeczał,
Gdy ptakom pustyń pokarm zabespieczał:
Gdy kazał morzom, by ich słone wody
Skryte pływaków wyżywiały rody?..
Jako nie zejdzie ziarno oraczowe,
Aż je rozedrze ziemia przez połowę,
Aż będzie deszczem płodzącym zepsute:
Tak ty nie wejdziesz, jedno przez pokutę.
Tak lud twój, jedno gdy ucierpi zbytnie,
Nad wszystkie ludy wzmoże się, roskwitnie.
Boć ta jest walka, którą walczyć mają
Którzy od Pana uznania czekają.

A żeś się myślą swoją wielce trwożył,
I swą mądrością bardzo rozwielmożył,
Zważ wagę ognia, przemierz wiatru wienie,
Dnia, który minął, wróć znowu wejrzenie.»

Przestał — i rzucił w puszczę światła drogę.
Odpowiadając rzekł Esdrasz: — «Nie mogę,
Nie umiem, Panie, powiedzieć przytomnie,
Nie zdołam spełnić czego żądasz po mnie.
Któż z urodzonych sprawi to, dociecze?»

«Cóż gdybym spytał — duch Pański mu rzecze,
Jak wiele w sercu morza jest mieszkania?
I które z raju Pan wyjścia odsłania?
Nad utwierdzeniem jako zdrojów wiele?
Jako jest źródeł na przepaści czele?...
Gdy co jest twego, przez które przechodzisz,
Co z tobą zrosło, tego nie dochodzisz:
Azaż nie próżno budzisz w sobie trwogę,
Myśląc ogarnąć Najwyższego drogę?..
Nie na dzisiejszym dzieło stanie wieku.
Przeto zaprawdę powiem ci człowieku:
Z wszystkich drzew ziemi Pan wybrał winnicę,
Ze wszystkich ptaków jedną gołębicę,
Jedną liliję z roskwitłego maju,
Jedną owieczkę ze zwierząt rodzaju,
I jeden strumień z wszystkich wód rozlanych,
I jeden Syon z miast pobudowanych —
A z rozmnożonych narodów tak wiela
Jeden lud tylko Pan sobie wydziela.
On go od wieku wydał przed swem okiem
Nauczycielem ludów i prorokiem,
Że w nim ofiara będzie dokonana,
Że się wypełni nad nim łaska Pana.
Boć jemu przyszły czas jest zgotowany,
I drzewo życia co zagoi rany;
I będzie lud twój narodów źrenica,
W przeczystej chwale jak oblubienica.»

Tu znowu Anioł przestał swoją mowę.
Wstrzęsło się drżeniem serce Esdraszowe.
«Jeśli mam łaskę przed oczyma Twemi,
Daj — rzekł — przemówić słowy człowieczemi.
Odejm mi, błagam, cień oczu mych gruby,
Bym ujrzał długość czasu naszej próby.»

A oto sprawił Pan tąż samą dobą:
Piec pałający obaczył przed sobą.
Stało się jako na swem miejscu dostał,
Widział, a oto dym tylko pozostał.
A potem przyszedł obłok pełen wody,
Spuścił obfity deszcz gwałtownej szkody;
A deszcz obfity przemienił się w mały —
Widział, a tylko krople pozostały.

ŚMIERĆ MACHABEJCZYKÓW.

. . . . . .
. . . . . .
Rzekł mężom zbrojnym pod których był strażą:
«Uczyńcie jako powiernicy każą.»
Przeto z nóg jego odjęli okowy,
Wtedy przed króla szedł z takiemi słowy:
«W otchłań cię wiedzie złości twojej rada,
Przeto ci mówię w obec ludu: biada!
Biada ci, królu, i męki wieczyste,
Że tracisz braci i młodzieńce czyste;
Który podobien samotnemu lwowi,
Człowiek, przepuścić nie masz człowiekowi.»
Więc król i męże którzy w miejscu byli,
Wielce się sercu młodzieńca zdziwili,
Że tak szedł na śmierć nie uległszy trwodze.

A gdy piątego zabijano srodze,
Wejrzawszy nań, rzekł: «O królu śmiertelny!

Zbytnieś ty zgrzeszył będąc skazitelny.
Oto się dziwisz, a nie mniemaj, proszę,
Że przez człowieka moc ja to ponoszę.
Bowiem moc moja od Pana pochodzi,
Który przedemną płomienie twe chłodzi,
I ostrze mieczów niebolącem czyni;
Który w nas wybrał sługi swej świątyni.»

Wtedy szóstego na mękę wiedziono.
Więc gdy kat utkwił nóż w młodzieńca łono,
I zemdlonego ku stosowi wlecze;
Ten poczynając umierać, tak rzecze:
«Nie myl się, królu, z twoimi mężami,
Bowiem ponosim to dla siebie sami.
Że serce ludu stało się odrodne,
Pan sprawia rzeczy podziwienia godne.
Przeto nie mniemaj że się od nas wzbrania,
Ani że ujdziesz wiecznego karania.
Albowiem naród męczeńskiej korony,
Nie ma być mieczem ludzkim wytępiony.»

Zatem Antyoch, gdy jeszcze najmłodszy
Został; nie tylko stał się w mowie słodszy;
Owszem z przysięgą wołał głosem jawnym
Że go uczynić miał zacnym i sławnym,
Potrzeb mu dodać, i że go przez lata
Za przyjaciela chce mieć i za brata.
A gdy upomniał iż nic mu nie skąpi,
Ledwo ojczystych praw swoich odstąpi,
Roskazał katom król być w pogotowiu,
I matce by mu radziła ku zdrowiu.

Więc uściśnienie przyniosła synowi,
I mową kraju matka tak mu powie:
«Uciesz mię, synu, miłością wzajemną,
Owo cię proszę, lituj się nademną,
Iżbym się twojej przyglądała cnocie:
Któram cię czas twój nosiła w żywocie,

Przy piersiach miała i do lat przywiodła.
Zważ jako wszystko ziemskie rzecz jest podła,
A Bóg uczynił Niebiosy i ziemię,
I na nich wszystko — także ludzkie plemię.
Tak się więc stanie w piękne twoje lata
Iż wzgardzisz łaskę i złość tego kata,
A będąc wiernym braci twej młodzianem,
W czystości wieńcu powstaniesz przed Panem.
Bym idąc po was na skończenie dzieła,
Radością wieczną wszystkich was przyjęła!»

Tedy przestała, i płacz skryła w szacie.
Przeto rzekł śmiele: «Dla czegoż czekacie?
Nie ten jest król mój. Mój, z wiecznego tronu,
Widzi że ojców nie złamię zakonu!»
Do króla przydał: «Tobą, królu podły,
Gardzę; namowy mię twe nie uwiodły.
Choć w majestacie — tyś odemnie mniejszy;
Jam tu nad ciebie wyższy, potężniejszy!
Azaż Pan, który koronę ci włożył,
Dla miecza twego na ziemię nas stworzył?
Azaż krew nasza, od ciebie przelana,
Ma być na sądzie tobie zapomniana?
Oto bespieczny stawam w ognia progu,
Spełnić com winien przeciw memu Bogu.
On mię utwierdzi i wyjmie od zdrady,
Bym czysty poszedł w starszych moich ślady;
Iżbym przed tobą, braci moich katem,
Ich cnotę uczcił i dotrwał im bratem.»
Więc król, iż sobie wstydu z tym przymnożył,
Nad nim się owszem najokrutniej srożył.

Tak wszyscy zeszli, wierni do ostatka.
Wtedy po synach koniec wzięła matka.

MIASTO ŚWIĘTE.

Panno Syońska! Zmyj maście woniące,
A rozwiąż z płaczem opaski i kwiaty;
Pożegnaj wieńce, kamienie świecące,
Drogie noszenia i zmieniane szaty:
Zaliż w świąteczne ubierzesz się stroje,
Iżbyś śpiewała poniżenie swoje?

Zapomnij dawną zacność i swobodę,
Spadły jak skrzydła dni blasku i zdrowia;
Już się nie cieszyć jak jaskółczę młode,
Ale masz jęczyć jak gołąbka wdowia:
Że lud twój, grzesząc, spraw Pańskich nie baczył,
Że odbiegł ścieżek które Pan wyznaczył.

Więc gdy mdlejącą niwę ssie posusza,
Płaczą żniwiarze straconą nadzieję,
Ugodzi wicher, zeschły kłos wykrusza,
I hucząc, ziarna po puszczach rozwieje.
Mocniej gniew Pański w grzeszników uderzy,
Strwoży ich mędrce, złamie ich rycerzy.

O! Miasto nasze! dla czegoż ci było
Przestąpić ojców twych z Panem przymierze!
Albo cię tchnienie Jego nie spaliło,
Jako gdy płomień pożera pazdzierze?
Przeszła twa chwała, znikło panowanie,
Jak wędrownego ptaka prześpiewanie.

Jako wyschniętych potoków łożyska,
Tak się twe głuche ulice wydadzą;
A w twoich świątyń i bram zgorzeliska,
Węże i gady gniazda swe wprowadzą:
Tylko przechodzień, szukając twej sławy,
Spłoszy je czasem, uśpione śród trawy.

Po twych ołtarzach cierń się rozzieleni,
Będziesz dla śmiechu echem podróżników,

Jedną mogiłą, gromadą kamieni:
A domy książąt twych i biesiadników
Zostaną smoków smutnych legowiskiem,
Mieszkaniem kani, i strusiów pastwiskiem!

Komuż albowiem taka moc jest dana,
By Odwiecznego wyzwał na potęgę?
By syn niewiasty wchodził w radę Pana:
Który niebiosa rozłożył jak księgę,
Napisał na nich słońca i miesiące,
I gwiazd wypuścił kręgi pałające?

Biada, którzyście serca zuchwałego,
I biada dla was waszemu ludowi!
Którzy myślicie naprzeciw Sędziego,
Jakoby glina przeciw garncarzowi.
Azaliż ręce, co ją ulepiły,
Nie same dały jej tę trochę siły?

Jak gdy przy zbiorach na otrzęsłem drzewie
Dwie, trzy oliwek ledwie pozostało,
Tak kiedy przyszedł Pan w karzącym gniewie,
Pojrzał, a czystych przed Nim było mało.
Przecież zasługa tych jednych to sprawi,
Że Pan przebaczy i lud swój wybawi.

Bo gdy niewiasta, zaraz od poczęcia,
Płód swych wnętrzności już nosi z kochaniem,
Ani zapomni potem niemowlęcia,
A czuwa nad niem troską i niespaniem:
Miałżeby Pana lud być zapomniany,
Aby mu ojciec nie zawiązał rany?

Oto za prawdę przyjdą dni takowe,
Że pard z koźlęciem będą mieszkać społem,
Z owieczką usnąć ma szczenię wilkowe,
I lew do plewy obok stanie z wołem;
Dziecię od piersi dłoń swą tam położy,
Lew go nie pożre, koźlę się nie strwoży.

Śpiewajcież Panu który to uczyni,
Opowiadajcie Go po wszystkiej ziemi.
Naprzeciw Miastu daremnie z pustyni
Wyjdzie bezbożnik wojskami mnogiemi:
Uschnie w swej mocy, jako liść usycha —
Stargniona będzie w otchłań jego pycha.

Bowiem nad wszystkie Pan swój lud posadzi,
I biodra jego mieczem swym przepasze,
Zatem do domu chwały przyprowadzi
Jako pisklęta w bespieczne poddasze.
Całość mu wróci, w dawną moc oblecze,
A przez wysłańca swego Miastu rzecze:

Otrząśń się z prochu, a wstań Jeruzalem!
Wstań ubożuchna, odetchnij swą siłą,
Któreś po grzechu, z pokutą a żalem
Z rąk Pańskich kielich gniewu Jego piło.
Przeto Pan karę na łaskę wymienia,
Od pokolenia tak do pokolenia.

Wołał okrutnik z śmiechem: otoś w grobie,
Żeś utraciła w bolach całe plemię,
Nachyl się, mówi, bym przeszedł po tobie —
I położyłaś ciało swe jak ziemię.
Więc, Miasto Święte! żeś smutne i ciche,
Pan ma uczynić z ciebie wieków pychę.

Wzniesie od ziemi i kwieciem ustroi,
Swą służebnicę ubierze w płaszcz chwały:
Odżyją w rodach swych hetmani twoi,
Córki ich będą w bramach twoich grały:
Zdumione ludy ujrzą, że się stanie,
A twoja światłość wejdzie jak zaranie.

TRENY PRZYCHODNIA.

TREN PIERWSZY.

Nie nad umarłym stawajcie z żałobą:
Przestał swą pracę, ani strwoży sobą
Który najemny dzień swój już ukończył,
Wziął swą zapłatę, i z Panem się złączył.
Ale nad temi niechaj będą płacze,
Którzy sieroty smutne i tułacze:
Bowiem ni przyjście ni odejście słońca
Ich utęsknieniu nie ma zadać końca;
Ani się z laty smutek dusz ich zmienia,
Że utracili ziemię narodzenia.
Jak wiatry, wstając z piasków swoich łoża,
Spieszą spragnione na morskie przestworza,
Tam tylko, pustyń przebiwszy się drogą,
Wolnie tchnąć, wolnie wyciągnąć się mogą,
Więc obozować biegną w te płaszczyzny —
Tak myśli moje idą do ojczyzny.
W swych udręczeniach szukając ochłody,
Dążą tam, jak do swego ujścia wody.

Azaż gdzie wzrośnie radość tak obfita,
Jako gdy matka dzieci swoje wita,
Kiedy po czasach odejścia i trwogi
Znowu ogląda wracające z drogi?..
Więc w gronie dziewic, w białe strojnych szaty,
Barwi im ścieżki w gałęzie i w kwiaty,
I poszle sługi aby w przodzie stały,
Pieśń ich młodości zdala im śpiewały.
A ty! zemdlona, i w jarzmo związana,
Ty matko nasza, z prochem porównana,
Czyliż usłyszysz sierot twoich krzyki,
Przytulisz jeszcze twoje wędrowniki..?
Rzekłabyś płacząc: za jakież to winy,
Takim niedolom podane me syny?..

O matko miła! stąd są nasze znoje,
Te tylko winy żeśmy dzieci twoje.

Tak więc ptak cichy, gdy gniazdo swe żywi,
Weźmie raz śmierci. Więc strzelcy zdradliwi
Cieszą się z szczęścia, a ptak już przed niemi
Upadł — i we krwi swej brocząc po ziemi,
Widzi jak zbójcy przyskoczywszy zgrają,
Rodzeństwo jego okrutnie chwytają,
Słyszy pisk dzieci: lecz mdlejąc pod grotem,
Już się nie porwie ku nim matki lotem.

TREN DRUGI.

O Panie! na toż w puszczach Tyś go chował,
Krwią naszą paszczę jego rozsmakował,
Iżby narodów ten lew ukarmiony
Jeszcze w nas głębiej swe wprowadził szpony?
Iżby, złożywszy głowę na pierś naszą,
Żył krwią jej ciepłą, jak swą dzienną paszą?..

Żaliś położył na nas śmierci oczy,
Jak wąż na ptaka, którego zatłoczy:
Dokądże gniewu z siebie nie wysączysz,
A zawżdy karząc, nigdy kar nie skończysz?
Pragniesz li wiecznie mieć w nas połów nowy,
Jako mąż złośnik czyniący swe łowy:
Który pobiwszy ojce chytrym grotem,
Puścił pisklęta, a znajdzie je potem?..

O Panie! tyleś zwrócił bolów ku mnie,
Nie karz, jeżeli płaczę nierozumnie!
Jeśli, schnąc w duszy, jak gad w pustej bramie,
Omdlewam w myślach, i mowę swą łamię —
Wszakoż już nie wiem jak swym dniom wydołać,
I by Cię wzruszyć, jakim głosem wołać.

TREN TRZECI.

Na cóż nam pamięć dawnych lat została,
Gdy dawna ojców odeszła nas chwała.

Gdy nas nie jedno z dziedzictwa obrano,
Lecz od ich nawet mogił odegnano..?
Cóż są ich sprawy? wszystek blask ich cześci?
Cóż są dziś dla nas — krom smutnej powieści!

Raczej nam było, nim w ten los ugodzić,
Z podłych tułaczów, z niewolnic się rodzić.
Tożbyśmy przecie, sami w jarzmie sromu,
Choć nie płakali starej sławy domu.
Aniby wróg nasz rzekł w zuchwałej mowie:
Wielcy ich byli i straszni Przodkowie!

O Panie! Żaliś nie Ty lud prowadził,
Gdyś morze przedarł, w dwa mury rozsadził:
I aby przebył bespieczny swą drogę,
Dno mu w przepaści położył przed nogę?
Żaliż nie Twoje ręce to sprawiały,
Gdyś mu w pustyni cudownie ze skały
Zdroje wypuszczał, jakoby z posłania,
Jakoby z gniazda ptaki do latania?

Toż się Twa litość przed wiek postarzała,
I złościom naszym zwyciężyć się dała?
Albo twarz nasza, w płaczu, uciśnieniu,
Wzgardach, w ciemnicach, długiem rosproszeniu,
Tak się zmieniła od jarzma i trudu,
Iż nie poznawasz już w nas swego ludu!

O! biada tobie w zagniewaniu Pana,
Domie mój miły, ojczyzno kochana!
Oto jak orzeł, na cudze pisklęty,
Które ma zabić — tak zbójca zawzięty
Wpędził się na cię wielką swoją mocą,
I nie masz ktoby stanął ci z pomocą.
Ach! pomnij, Panie, dawnej łaski Twojej!
Dokądże gniew się Twój nie uspokoi!

TREN CZWARTY.

Azaliż nie tak wrogi już nas mają

Jak gdy niemowlę piastunce oddają?
Tak li nas, Panie, mając swem igrzyskiem,
Jak ojciec płaszczem, okryjesz uciskiem?
I by nas nie dać miłosierdzia oku,
Schowasz że w gniewie swym jako w obłoku?..

Zgasła nam radość, jako zaszłe słońce;
Smutek nasz, jak noc, obszedł ziemi końce —
Gdzież jest lud wierny co się ku nam zwrócił?
Który nie słyszał nas, lub nie odrzucił?..
Sędzie narodów, obrońcy wspaniali,
Samiśmy wdową, przychodniem się stali.

Któż nam da rękę? Kto zdejmie okowy?
Oto złożywszy miecze swe pod głowy,
Rycerze nasi posnęli w mogiłach —
Oto młodzieńcy zemdleli na siłach.
Dawna się sława od nas wyprowadza,
Sługa nas depcze, i przyjaciel zdradza,
A mściwy wróg nasz, wymyślacz ucisku,
Spoczywa w szczęściu, jako wół w pastwisku.

Ach! Wybaw, Panie, reszty Twego ludu,
Odpłać mu lata sieroctwa i trudu!
Jako niewolnik mdlejąc, pragnie cienia,
Tak pragnę, łaknę śmierci wypocznienia.

TREN PIĄTY.

Tułając dni swe pomiędzy obcemi,
Jakież mi pieśni w cudzej zacząć ziemi?
Izaliż sercu zapłakać zabronię
O swoim Panu, o swoim Syonie?
Jako upadłe z gniazda, zapomniałe,
Rozdziera pierś swą krzykiem ptaszę małe:
Tak nie przestanę nigdy wołać Pana,
O! Jeruzalem moja opłakana!
By stargnął z ciebie niewoli odzienie,
A skończył płacz twój i twe powłóczenie.

Jeśli cię kiedy odstąpię, zapomnę,
Niech klątwa pożre mnie i me potomne;
Niech się w goryczach dusza ma rozleje
Jeśli nie w Panu zachowam nadzieję.

Azaż nie Pan jest, który noc rostrąca? —
Wypuścił światłość: i szła przed Nim drżąca;
Lub ją hamując zasunie obłokiem,
Przyzwie gwiazd wojsko: wszystkie ma przed okiem.
Azaż nie Pan jest, albo mię nie strwoży,
Który upusty niebieskie otworzy,
Któremu tęcza upadła pod nogi;
Rozeszle chmury — i poszły w swe drogi.
Głębia przepaści chwałę Jego głosi;
Wysokość ręce do Niego podnosi.
Głosami stworzeń, wichrami pustyni,
Wód nawałnością pieśń dla siebie czyni,
Który niebiosa, tchnieniem swej potęgi,
Jak szatę uprządł, zwinie jako księgi.

O Panie! zbytniej Twej mocy się boję.
Jako głos morza straszne Imię Twoje.
Czemże jest człowiek, byś mu wojnę dawał,
A przeciw niemu jak olbrzym powstawał?

TREN SZÓSTY.

O wiekuisty! Ja chwałę Twą głoszę,
Ja z głębi duszy pieśń Tobie wynoszę:
A Tyś jest dla mnie tylko w karach hojny,
A smutek ściska mię jako mąż zbrojny!

Czyliżeś sobie na pośmiech mnie stworzył,
Żeś na zdeptanie jak węża położył?
Jakążeś głębię w duszy mojej zoczył,
Żeś mię jak przepaść ciemnością otoczył?
Będąż mnie ręce Twoje uciskały,
Aż z bolu wstanę, jak morze zuchwały?

Niegdyś, dziecięcia ubłagany jęki,

Mogłeś lwom głodnym zawiązać paszczęki;
Dziś, gardząc jękiem całego narodu,
Krwią naszą wrogów nie nasycasz głodu!...

Ach! Zobacz, Panie! Jako w rozwaliny
Poszedł Twój Syon! Jako jego syny,
Chociaż w miłości Twojej nie ustaniem,
Są światu żalem i głów potrząsaniem!

Jak rolnik czujny, gdy przyjdzie czas żniwa,
Wypatrzy chwasty, i z gniewem wyrywa;
Rzuci je wszystkie od granic swej ziemi,
I ani spojrzy gdzie padły, co z niemi:
Tak nas porwałeś na sieroctwa trudy,
Takeś nas rozwiał śród najdalsze ludy.
Zbytnie się zmogłeś naprzeciw omdlałych,
Że tak nas karzesz w pokoleniach całych.

A przecież, Panie! my, synowie mali,
Obyśmy wiecznie czcili Cię i znali!
Ty bezdnie morza zamknąłeś swem słowem,
Ty codzień ziemię darzysz światłem nowem;
I będzie lud Twój wrócony i wolny,
Byś go rozmnożył jak urodzaj polny.

TREN SIÓDMY.

Kiedyż go zwołasz z pośrodka narodów,
Do swoich świątyń, do ojczystych grodów?
Kiedyż go zbierzesz jako swe pisklęta?..
O! spraw już, Panie, sierotom te święta!
Jeśli Twe sądy płaczem ich nie gardzą,
Za cóż, ach! za cóż tak się spóźniasz bardzo!

Otośmy padli przed strasznym mocarzem,
Jako gdy trawa pada przed kosarzem;
I niebronione ludu Twego życie,
Jakby związanej owcy na zabicie.
Ale, gdy, Panie, litość Twa zawładnie:
Jako liść suchy jarzmo z nas upadnie;

Wróci nam radość jak dzień — i godową,
Jak oblubieniec weźmiem szatę nową.
Gdy Ty nas zbudzisz — powstaniem z noclegu,
Jak ptak do lotu, jak rzeka do biegu.

Więc się bezbożnik dziwi i przelęka
Że takie sprawy Twoja spełnia ręka.
Bowiem Pan mówi: Ja od granic ziemi,
Ja cię przywiodę z twemi pojmanemi.
Ani cię wróg twój zabije tą raną,
Że cię, Syonie, nazwali wygnaną.
Moc nieprzyjaciół twych w hańbę się zmieni,
Którzy cię depczą, legną spustoszeni.
A pokolenie zdumiałe się dowie,
Że jako z pierwu są twoi synowie.

TREN ÓSMY.

Wyszedł gniew Pana. Z głębi pustyń lodów,
Podniósł się z swych miejsc pożerca narodów.
Zatoczył wzrokiem: zaszły ciemnią zorze —
Stanął w swej mocy: wezbrał jako morze:
Zwrócił się w okrąg, jako wiatr przestronny
Ryczy na połów. Przed nim, nieobronny
Świat się uniżył: on złości swych brzemię
Rozwiązał gniewny, i przeszedł przez ziemię.
I kędy przegnał zbrojnych swych, jak trzody:
Ustały miasta — skonały narody.

Oto ni starców oszczędził katuszą,
Ni go mdlejących dziatek głosy wzruszą;
Nie zmiękczą serca jego, ani trudniej
Ogrzać dno ciemnej i głębokiej studni.

Alić złość własna, w której nie chciał zmiany,
Ta nad nim jako mur porysowany.
Ku nowym mordom gdy wyciągał ramie,
Pada nań z trzaskiem, i jak trzcinę łamie.

Gdzież ów drapieżca a przewodnik ziemi,
Z swoją wszechmocą? z okrzyki swojemi!

Przed którym ludy ranione padały,
Jak smutne ptaki od myśliwca strzały?
Któż go ubłaga? Jak mu się obronim?...
Szukaj przechodniu: tu jest miejsce po nim.

Zginął z odgłosem dzieł swoich i sławy,
Jako rozwiany dym spalonej trawy;
I w przepaść wieków padł echem obrzydłem,
Który był świata mocą i straszydłem.

TREN DZIEWIĄTY.

Więc ptak poznawa czas przyjścia swojego,
Bocian i kania w powietrzu go strzegą:
A lud mój sądów nie rospoznał Pana,
Nie przyjął drogi, że była wskazana?..
O Jeruzalem! Smutna odwrotnico!
On cię nasadził wyborną winnicą,
Gdzież latorośli twojej poszła siła?
Jakożeś Mu się przykro odmieniła!
Gdy jako wieniec zdjął z ciebie twą sławę,
A dał cię ziemskim królestwom na wrzawę;
Gdy cię odstąpił, i gniew swój poduszczy,
Byś zeszła jako suchy wrzos na puszczy...
. . . . . .
Minęło żniwo, a smutne się lato
Już dokonało płaczem i zatratą...
Twojeż jest dzieło? Twym li to zachodem
Jeszcze cię ujrzą rodzajnym ogrodem..
Żaliż nie poznasz ojców swych zagonu?
Nie słyszysz głosu? Wy góry Syonu!
Oto wypuśćcie, a w gałąski roście,
Którzy są blisko, owoc im przynoście;
Jeszcze tu będzie słyszan dźwięk wesela,
Pieśń oblubieńca i głos przyjaciela;
Bowiem on lud mój, kwitnący potomnie,
Który przytulę, że przystąpił do mnie.

PIOSNKI

SIELSKIE.

(Zarzucano mi, jakobym niektóre z tych piosnek przetłomaczył a przynajmniej naśladował z jakichś śpiewów ludu, a tego czytelnikowi nie oznajmił. Oświadczam, jeśliby to kogo obchodzić mogło, iż ów zarzut był całkiem niesłuszny, i żem żadnej z nich ani nie tłómaczył, ani nie naśladował z nikąd.)

ŻOŁNIERZ.

Mam tu z studni ciągnąć wodę?
To i stary robić może.
Mam na paszę pędzić trzodę?
Pięknych lat mych żal się Boże!

Nie! Tak dłużej nie zostanie.
W mieście domy malowane,
Piękne panny, grzeczne panie:
Do żołnierzy tam przystanę.

Nie chcę wiadra; pałasz wolę:
Brzęknie, błyśnie — i obroni.
Nie chcę z trzodą; raczej w pole,
Gdzie huk, bitwa, rżenie koni.

Niech na łąki, na dąbrowy
Brzmi fujara tu żałosna:
Milszy, milszy krzyk wojskowy,
I muzyka piękna, głośna.

Ciągnę, jadę z wojskiem naszem,
Śliczna patrzy tam dziewoja:
Dzeń ostrogą, szczęk pałaszem,
Oko w oko... już jest moja!

Nie krzycz stary, milcz niecnoto,
Cóż jej złego? Nie przepadnie!
Wolę dziewczę, niśli złoto,
A i złoto wezmę snadnie.

Ciągnę, jadę, wesół, hoży,
Z kraju w kraj, z nowego w nowy,
Wzdłuż i poprzek jak świat boży,
Świat przebiegam, wracam zdrowy.

Piękny żołnierz na koniku,
Mundur lśni od srebra, złota!
Pełno we wsi pytań, krzyku,
On w matczyne wjeżdża wrota.

Witaj siostro, poznaj brata!
Po gościniec wraz się zbliża;
Witaj matko, wracam z świata!
Lejcie, pijcie do żołnierza!

MATKA.

Dojrzewa jabłko błyszczące,
Ale wiatr leci i zrywa.
Bieli się płótno na łące,
Za płótnem kupiec przybywa.

Rumiane dziewczę przy matce
Zatęsknia, łzami twarz rosi:
Bo wierny chłopiec już w chatce
Wzdycha, przysięga, i prosi.

O piękne jabłko nie stoję,
Chowane przedam i płótno:
Gdy przy mnie dziewczę jest moje,
Nie żal mi tego — nie smutno.

Lecz gdy raz oddam je z domu...
Ach! tylko żal nam z was, dzieci:
Już mię pocieszyć nikomu,
Radość jak ptak mię odleci.

Odleci z mego zakątka,
Bez echa będą me słowa,
A mego szczęścia pamiątka
Tylko w mych łzach się zachowa.

MARZENIE.

Skąd to płyniesz, strumieniu,
Że tak mruczysz żałośnie?
Czy nie miło ci w cieniu,
Gdzie ten piękny gaj rośnie?

Może w obcej krainie
Stał nad tobą mój luby,
I przy milszej dziewczynie
Zdradnie śmiał się z mej zguby?

Może za swym szeregiem
Jadąc, wojną znękany,
Nad twym upadł gdzie brzegiem,
I obmywał swe rany?

Rany swoje obmywał,
I nieznany nikomu,
Smutną piosnkę zaśpiewał,
Myśląc o mnie, o domu!

HULANKA.

Szynkareczko,
Szafareczko,
Bój się Boga, stój!
Tam się śmiejesz,
Tu miód lejesz
Wprost na kaftan mój.

Nie daruję,
Wycałuję...
Jakie oczko, brew!
Jaka biała
Szyjka cała...
Hej, spali mię krew!

Cóż tak bracie
Wciąż dumacie?
Bierz tam smutki czart!
Pełno nędzy,
Ot pij prędzej...
Świat ten djabła wart!

Pjane nogi
Zbłądzą z drogi:
Cóż za wielki srom?
Krzykiem żony
Rozbudzony,
Trafisz gdzie twój dom.

Pij, lub kijem
Się pobijem...
Biegnij dziewczę wczas;
By pogodzić,
Nie zaszkodzić;
Oblej miodem nas!

POSEŁ.

Błysło ranne ziółko,
Zimne dni się mienią:
Ty, wierna jaskółko,
Znów przed naszą sienią.

Z tobą słońce dłużej,
Z tobą miła wiosna:

Witaj nam z podróży,
Śpiewaczko radosna!

Nie leć, czekaj, słowo!
Może ziarka prosisz,
Może piosnkę nową
Z cudzych stron przynosisz?

Latasz, patrzysz w koło
Czarnemi oczyma...
Nie patrz tak wesoło,
Nie ma jej tu, nie ma!

Poszła za żołnierza,
Rzuciła tę chatkę;
Koło tego krzyża
Pożegnała matkę.

Gdzie ten szlak na lewo,
Ściskała me nogi;
A tam, gdzie to drzewo,
Chciała wrócić z drogi!

Może lecisz od niej?
Powiedz że mi przecie,
Czy nie są tam głodni,
Czy dobrze im w świecie?

Czy o mnie mówiła
Dobremi tam słowy?
Czy córeczka miła,
Czy synek ich zdrowy?

SYN.

Jedzie, jedzie rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiej wojny.

Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.

Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili,
I sąsiedzi się cieszyli.

«Gdzieżeś matko? Wracam z boju!
Matko miła, wyjdź z pokoju,
Niech uściskam twoje nogi,
Wyjdź przywitać syna z drogi!»

— «Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie!
Pokój w ziemi ma zrobiony,
I kamieniem przyłożony.»

— «Jam ten pokój dla niej sprawił,
Długom się na wojnie bawił!
Żyjcie już tu sami sobie,
Gdy przezemnie matka w grobie!

Mszy i modlitw nie zaniechał,
Jak przyjechał, tak odjechał...
Znikł za górą rycerz zbrojny,
Już nie wróci nigdy z wojny.

OPUSZCZONA.

Świeć lub gaśnij, światło słońca,
Schnij lub kwitnij, dolin kwiecie:
Moim płaczom nie masz końca,
Dla mnie nic już na tym świecie!

Mówił: wrócę — a nie wraca.
Mówił: kocham — a nie kocha!

Niech mu niebo nie odpłaca,
Niech ja tylko cierpię płocha.

Żegnam ciebie, miła chatko,
Gdziem wprzód żyła tak szczęśliwie!
Żegnam w chatce, ciebie, matko,
I was, siostry, żegnam tkliwie!

Gdy noc będzie na dolinie,
Pójdę od was nocą ciemną
W dzikie lasy, na pustynie!
Tylko smutek pójdzie ze mną.

Lecz gdy ujrzę taką chatkę,
Taką niwę, gdzie, z daleka,
Taką starą, biedną matkę
Jak na dziecię swe narzeka...

Wtedy z żalu padnę pewnie,
Wspomnę lata me stroskane,
I zapłaczę ciężko, rzewnie...
I już więcej nie powstanę!

POWRÓT.

«Niewiasto, pokój wam błogi!
Czemuż ta żałość głęboka!
Kogóż wyglądasz z tej drogi,
Że tak nie zwracasz z niej oka?»

— «Ach patrzę, i wciąż łzy płyną!
Nie patrzę ja tu daremnie!
Tą drogą córkę jedyną
Na smętarz nieśli odemnie!

— «Niewiasto, żal cię niech rzuci,
Umarli odżyć nie mogą,

Z cmętarza nikt już nie wróci,
Kogoż więc czekasz tą drogą?

— «Ach łzy mi świat już zakryły!
Nie patrzę ja tu daremnie:
Tą drogą, syn mój, syn miły
Na wojnę poszedł odemnie!»

— «Dopierom stanął przed chatką,
Nie patrz tam, nie patrz po drodze;
Otrzyj łzy, poznaj mię, matko!
Twój syn przy twojej jest nodze!

PIOSNKA GAJOWEGO.

Hej! w koło dąbrowy,
A domek w dolinie!
Bodaj żył Gajowy,
Przy lubej dziewczynie!

Sobie żyjem, sami,
Puszcza nas osłania:
Nam tu las z wiatrami
Jak państwu się kłania.

W białych pańskich dworach
Muzykantów granie;
Milsze w czarnych borach
Kukułek kukanie.

W białych pańskich dworach
Słudzy z pochodniami;
Nam tu w czarnych borach
Wszedł miesiąc z gwiazdami.

Miesiączku, nie gaśnij!
Rosa połyskuje,

Świecą myśli jaśniej,
Żywiej serce czuje.

Idź, kto chcesz, do dworów,
Dworskim ciesz się stanem;
Ja sobie śród borów
Jestem strzelcem, panem!

Hukam, biegam, śpiewam,
Ja wolny, Gajowy!
Z echem się odzywam,
Na bory, dąbrowy!

GOŁĄB.

«O! któż znajdzie zgubę moją!
Latał, bujał tam nad rzeką,
Siwe piórka pierś mu stroją,
Z wierzchu cały jakby mleko.

«Nóżka czysta, śliczne oko,
W locie zawsze przodem stada,
Latał, bujał tam wysoko,
I poleciał — i przepada!

«Gdzieżeś, mój gołąbku ładny!
Może jastrząb już cię zabił,
Może ziarnem strzelec zdradny
W zgubne sidło cię przywabił!

«Ktoby pragnął mej podzięki,
Uspokoił mój frasunek,
Ktoby oddał cię do ręki:
Miałby z serca pocałunek!»

Płacze, szuka drogiej szkody.
Nikt że biednej nie pocieszy?...

Biegnie, biegnie Jasio młody,
Jakże wesoł ku niej spieszy!

O szczęśliwy! Twarz u twarzy,
Usta rzucić ust nie chciały...
A w około, jak na straży,
Latał, bujał gołąb biały.

CZARY.

To są czary, pewno czary!
Coś dziwnego w tem się święci;
Dobrze mówi ojciec stary,
Robię, gadam bez pamięci.

W każdem miejscu, każdą dobą,
Idę w lasy, czyli w jary:
Zawsze widzę ją przed sobą!
To są czary, pewno czary!

Czy pogoda sprawia ciszę,
Czy wiatr łamie drzew konary:
Zawsze, wszędzie głos jej słyszę!
O! to pewno, pewno czary!

W dzień się myślą przy niej stawię,
W nocy kształt jej biorą mary:
Ona przy mnie w snach, na jawie!
Jestem pewny że to czary!

Gdy z nią śpiewam: czuję trwogę;
Gdy odejdzie: żal bez miary;
Chcę być wesół, i nie mogę!
Ani wątpić że to czary!

Na to miłe słówko rzekła,
Przywabiła mię do domu,
By zdradziła, by urzekła!
Ufajże tu teraz komu!

UCIECZKA.

Sen ladaco! Świta, dnieje,
Gasną gwiazdy, kur już pieje:
A tam koń mój oczy mruży,
Ani myśli od podróży.

Szabli w izbie nie przepaszę,
Ojca, matki nie przestraszę,
W rękę wezmę i ostrogi,
Byle wykraść się do drogi...

Rzuć już, porzuć koniu siano!
Świta, dnieje, już nie rano...
Rzuć już, porzuć koniu studnię,
Musim stanąć na południe.

Na południe tam staniemy,
W wieczór bitwę odbędziemy,
Że nie minie jeszcze doba,
Wrócisz sam, lub wrócim oba.

NARZECZONY.

Wiatr zaszumiał między krzewy,
Nie w czas, nie w czas koniu,
Nie w czas chłopcze czarnobrewy
Lecisz tu po błoniu.

Czy nie widzisz tam nad lasem
Tego kruków stada?
Jak podleci, krąży czasem,
I w las znów zapada?..

«Czyż to drużba, mój weselny
Znak daje, przyśpiesza?..
Nie! to w progu dziad kościelny
Chorągiew rozwiesza.

«Czyż to matka jeść gotuje
Na nasze wesele?..
Nie! to dym kadzidła czuję,
Jakby przy kościele.

«Gdzieżeś, gdzieżeś dziewczę hoże?
Czemuż nie wybieży?..»
— «Jakże, jakże wybiedz może,
Kiedy w trumnie leży?

«Odwiedzali krewni tłumnie,
Krewną opłakali:
W trumnie leży, a przy trumnie
Gromnica się pali.»

— «O! puszczajcie! żal mię tłoczy,
Niech zobaczę żonę:
Czy konając, piękne oczy
Zwróciła w mą stronę?

«Czy się chustką mą odziała,
Pierścień ma na ręku?
O! puszczajcie do jej ciała,
Niech upadnę w jęku!

«Gdy usłyszy me wołanie,
Płacz mój nad swą głową:
Może z trumny jeszcze wstanie,
Zacznie żyć na nowo!»

SMUTNA RZEKA.

«Rzeko z cudzoziemców strony!
Czemu nurt twój tak zmącony?
Czy się gdzie zapadły brzegi,
Czy stopniały stare śniegi?»

— «Leżą w górach stare śniegi,
Kwiatem kwitną moje brzegi;
Ale tam przy źródle mojem
Płacze matka nad mym zdrojem.

«Siedem córek piastowała,
Siedem córek zakopała,
Siedem córek śród ogrodu,
Głowami przeciwko wschodu.

«Teraz się z duchami wita,
O wygody dziatki pyta,
I mogiły ich polewa,
I żałosne pieśni śpiewa.»

JELONKI.

«Jelonki, jelonki, który z was zechce
Pójść za mną tędy do miłej chatki,
I bawić w chatce miłe me dziatki?
Córeczka mała
Będzie śpiewała,
Ustroi w każdą niedzielę;
A synek młody
Krynicznej wody
Przyniesie, sianka zaściele.
Jelonki, jelonki, któryż z was zechce
Pójść za mną tędy do miłej chatki,
I bawić w chatce miłe me dziatki?»

— «Dziękujem, strzelcze! wygód nie chcemy,
Nie rzucim siebie, tu zostaniemy.
Razem do wody,
Razem w dolinę,
Razem w gęstwinę
Szukać ochłody;
Razem na paszę,
I każdą dobą
Być zawsze z sobą:
To życie nasze.
Dziękujem, strzelcze, lepiej nie chcemy,
Nie rzucim siebie — tu zostaniemy!»

DWAJ MŁODZIEŃCY.

«Witaj, witaj z darami,
Pani matko sędziwa!
Jakże poczniesz tu z nami?
Dwóch nas zięciów przybywa!»

— «Oto moja jedyna!
Który skromnie i ładnie
Pierwszy pieśń jej odgadnie,
Tego przyjmę za syna.»

— «W pięknym gaju strumyk wąski,
Nad strumykiem brzóz gałąski;
W pięknym gaju pieśń słowika,
Ale smutna, ale dzika:
Słuchali, nikt nie zgadywał,
Bo nie dla nich piosnkę śpiewał.

«Piękny wyrósł kwiat nad wodą,
Własną smucił się urodą;
Piękny promień w chmurze znika,
I pieśń zawsze smutna, dzika:

Słuchali, nikt nie zgadywał,
Bo nie dla nich piosnkę śpiewał.

«Błysły gwiazdy dwie wysoko,
A za trzecią tęskni oko;
Serce sercem się przenika,
I pieśń zawsze smutna, dzika:
Słuchali, nikt nie zgadywał,
Bo nie dla nich piosnkę śpiewał.»

— «Biedna z wami ta dziewczyna,
Wy już dawno macie syna.
Biedna wasza stara głowa,
Pani matko, bądź nam zdrowa!»

PIEŚŃ PRZY UMARŁYM.

Żałujecie, łzy lejecie,
Wy dziateczki, i wy krewni:
Ciszej, ciszej, w tamtym świecie
Już mu lepiej jest i pewniej.

Lepsza, milsza trumna prosta,
Niśli chata tu z dymnikiem;
Bespieczniejsza: w niej starosta
Nie przebudzi rannym krzykiem.

Cudzym posiej, zbierz nie sobie,
Cudzym oddaj wszystkie kroki:
Lepszy, milszy nocleg w grobie,
Dół nie długi, nie szeroki.

Niechaj płaczą nasze pany,
Uciekł od nich brat nasz bliźni;
Niechaj pańskie płaczą łany,
Jego pot ich nie użyźni.

My nie płaczmy. Ty, grabarzu,
Nie patrz, nie świeć tak oczami:
Dół mu wykóp na smętarzu,
Nad polami, nad łąkami.

Gdy grób błyśnie ciepłą rosą,
Niechaj w koło, z lubą wiosną,
Piękne trawy z łąk się wzniosą,
Piękne w polach zboża rosną.

Łzy lejecie, żałujecie,
Wy dziateczki, i wy krewni:
Ciszej, ciszej, w tamtym świecie
Już mu lepiej jest i pewniej.

WOJAK.

Rży mój gniady, ziemię grzebie,
Puśćcie, czas już, czas!
Ciebie, ojcze; matko, ciebie;
Siostry, żegnam was!..

Dumnie patrzysz tam po błoniu,
Złośliw trząsasz grzbiet...
Śpieszę, śpieszę, luby koniu,
Skaczę, lecim wnet.

Z wiatrem, z wiatrem! Niech drżą wrogi,
Krwawy stoczym bój!
Raźni, zdrowi wrócim z drogi,
Z wiatrem koniu mój!

Tak, tak, dobrze! na zawody!
Jeśli poledz mam...
Sam tu, koniu, do zagrody
Wolny wróć tu sam.

Słyszę jeszcze sióstr wołanie,
Zwróć się, koniu, stój!...
Nie chcesz? Lećże. Niech się stanie!
Leć na krwawy bój!

PODSTĘP.

Ten brodaty
Dziad bogaty
Nie będzie się długo cieszył.
Choć grzech zdrada,
Zdradzę dziada,
By Bóg tylko noc przyśpieszył.

Nocną dobą
Wezmę z sobą
Kij i pełen wór kamieni;
Hejże z psami,
Pod oknami...
Gwałt! złodzieje! Jam już w sieni.

Dziad wybiega,
Nie postrzega.
Gdy w złodziejach widzi zgubę,
Gdy ich szuka,
W tem jest sztuka
Jak mu porwać dziewczę lube.

Dalej ze mną!
Bądź wzajemną,
Rzuć już, porzuć złego dziada;
Niech ma złoto,
Mniejsza o to,
Ale tobą niech nie włada.

Wraca stary,
Są talary:

Lecz dziewczyna? Ach, dziewczyna!..
Niech się smuci,
Z psami kłóci,
Cóż nam szkodzi, niech przeklina.

GRÓB KOCHANKA.

Głosie po nad jasną rzeką,
Co się kryjesz w drzew tych cieniu,
Ptaszku! jakeś się dowiedział:
Że tu od Krzyża daleko,
Gdzie moje tylko pacierze,
Tu przy tym wąskim kamieniu,
Jest najsmutniej, najboleśniej?
Czy duch ci jego powiedział...
Że całe zwiedzasz pobrzeże,
W koło śpiewasz swoje pieśni,
A stąd tylko zawsze stronisz,
Piosnki nad nim nie zadzwonisz!...

Wędrowcze żałosny, blady!
Sam jeden na sklepieniu,
Księżycu! jakeś się dowiedział:
Że tu gdzie się las roschodzi,
Gdzie moje tylko znać ślady,
Tu przy tym wąskim kamieniu,
Jest najmilej, najsłodziej?
Czy duch ci jego powiedział...
Że ledwo jesteś na niebie,
Łzę obaczysz na mem licu,
Zaraz oko zasmucone
Zwracasz, patrzysz na tę stronę,
Jakeś patrzał przy pogrzebie,
Żałosny, blady księżycu!

MOGIŁY.

«Czego się, dąbrowo, smucisz,
Powiedz czemuś tak żałosna?
Choć pogodna w koło wiosna,
Ty z wichrami wciąż się kłócisz?
Usłysz słowo wędrownika,
Odpowiedz, dąbrowo dzika!»

— «Jakże nie mam być żałosna,
Jak z wichrami się nie kłócić?
W koło piękna, miła wiosna,
Ja się tylko muszę smucić.
Już od dawna siostry moje
Świeżą szatą się okryły:
Ja tylko bez liści stoję,
Odkąd skryłam te mogiły.
A gdy wzgórza, ciepłą nocą,
Od księżyca się ozłocą,
W koło brzmią słowików dźwięki,
U mnie tylko z mogił jęki!»

PODRÓŻ.

O! w świat, prędzej! Muszę, muszę!
Już wytrzymać tak nie mogę,
Tęskność ściska serce, duszę,
Puśćcie! Muszę! W drogę, w drogę!

Gdzie na śniegach śniegów łoża,
I gdzie słońce żarem pali,
Z kraju w kraj, na morze z morza,
Gdzie wzrok sięgnie, w świat, a dalej!

Na najwyższe w świecie góry,
Coraz wyżej, jeszcze wyżej...

Aż z wierzchołka gór na chmury!
Jakby orzeł, śmiały, chyży!

Ach! tam, ach tam choćby chwilę!
Błyskawicą będę błyskał,
Łapał gwiazdy jak motyle,
A nogami deszcz wyciskał.

Będę mył się w źródłach rosy,
Obłokami twarz obcierał,
Promieniami czesał włosy,
W słońce, w księżyc się ubierał.

Aby świeżej nabrać mocy,
Zrobię sobie z chmur posłanie,
Tam przez trzy dni, przez trzy nocy
Przewracać się jak na sianie.

Gdy się znudzę? W tęż godzinę
W pierwszy lepszy wiatr się wsunę,
Nim jak płaszczem się obwinę,
I na ziemię jak ptak runę.

Wtedy z lubą się zaręczę,
Skarby z mej nawiozłszy jazdy:
Dam na wstążki siostrom tęczę,
Do zabawki braciom gwiazdy.

Krzyknie cała okolica,
Króle do mnie przyszlą gońce,
Porwę srebo od księżyca,
I zakupię złote słońce!

ZASADZKA.

Na cóż sad ten mi się przyda?
I do sadu przyszła bieda.

Na nic moja tu uroda,
Tylko prośb i łez mych szkoda.

Witaj, witaj, Jasiuleczku!
Cóż tu, cóż tu w ogródeczku!
Piękny ptaszek na ustroni,
Śliczne jabłko na jabłoni.

Ledwo zacznie, słówko rzeknie,
Zerwie jabłko, i ucieknie.
Jeszcze potem w głos się śmieje
Że ja wzdycham i łzy leję.

Czekaj, chytra! mam już sposób,
Od grzecznych mi dany osób.
Jak wysłucham Mszy w niedzielę,
Znajdę sobie jedno zielę.

Jak je znajdę i posadzę,
Może Bóg da że cię zdradzę.
Musisz przecie raz co stracić,
I za jabłka mi zapłacić.

ŻYCZENIE.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym jak tylko dla ciebie.
Ani na wody, ani na lasy:
Ale przez wszystkie czasy,
Pod twem okienkiem, i tylko dla ciebie,
Gdybym w słoneczko mogła zmienić siebie —!

Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju,
Nigdziebym, w żadnym nie śpiewała kraju,

Ani na wody, ani na lasy:
Ale przez wszystkie czasy,
Pod twem okienkiem, i tylko dla ciebie...
Czemuż nie mogę w ptaszka zmienić siebie!

WIOSNA.

Błyszczą krople rosy,
Mruczy zdrój po błoni,
Ukryta we wrzosy
Gdzieś jałówka dzwoni.

Piękną, miłą błonią
Leci wzrok wesoło;
W koło kwiaty wonią,
Kwitną gaje w koło.

Paś się, błąkaj, trzodko,
Ja pod skałą siędę,
Piosnkę lubą, słodką
Śpiewać sobie będę.

Ustroń miła, cicha!
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wzdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Ze mną strumyk śpiewa,
Do mnie się z wysoka
Skowronek odzywa.

Jakże ładny, chyży...
Ledwo widny oku...
Coraz wyżej, wyżej,
Już zginął w obłoku.

Uleciał, szczęśliwy!
Tam swą piosnkę głosi...
I ziemi śpiew tkliwy
Do niebios zanosi!

GDZIE LUBI.

Strumyk lubi w dolinie,
Sarna lubi w gęstwinie,
W gaju lubi ptaszyna;
Lecz dziewczyna... Dziewczyna
Lubi gdzie niebieskie oko,
Lubi i gdzie czarne oko,
Lubi gdzie wesołe pieśni,
Lubi i gdzie smutne pieśni;
Sama nie wie gdzie lubi,
Wszędzie serce zgubi.

ŻAL MATKI.

Noc była czarna, chłodna,
Ty w ziemi drogie dziecię!..
Nie odziana, głodna!
Dobry dzień, lube dziecię!
Słów matki nie czujesz,
Ręki nie ucałujesz,
Weź sobie już me życie!

Inszym ich dziewczęta
Usłużą, pomogą w domu;
Jest odezwać się komu,
Jest kogo ubrać w święta;
Matki je zaczesują,
I ludziom pokazują:

Ty, ćwiekami przybita,
Zimnem płótnem nakryta!
Już ja zawsze bez ciebie,
Już po twoim pogrzebie!

Niech się na mnie sąsiad zmówi;
Niech mię łaje sąsiada,
Niech mię zły człowiek omówi,
Niech się chata zapada:
Nic nie powiem; robić nie będę;
Płacząc, za stołem siędę,
Głowę na rękach położę,
Ja biedna! O Boże! Boże!

WYJAZD.

«Czemuś pić nie chciał u zdroja,
Czarny mój brytanie?
Czemuś ty, szabelko moja,
Zabrzękła na ścianie?»

— «Przez okienko wiatr z jeziora
Szabelkę poruszył;
Drobny śnieżek padał wczora,
Zdrój, synu, zapruszył.»

— «Matko, szyba nie dzwoniła,
I woda wesoła;
Tylko pewnie moja miła
U cudzego stoła.

«Pies i szabla moja wiara,
Pojąłem ich mowę;
Puszczaj, nie płacz, matko stara,
Przywiodę synowę.»

BŁAWATEK.

«Pociesz mię choćby piosenką!
— «Nie, nie mogę. Ciszej, ciszej,
Matka otworzy okienko,
I wszystko usłyszy.»

— «Zawsześ jednaka i pusta,
Nie kochasz mię, nie, nie wierzę...
Czegóż odwracasz tak usta?
Nikt nas nie postrzeże.»

— «O! nie; od tego się wstrzymasz;
Ludzie chodzą, tuż i chatka,
Końca całusom twym nie masz,
Poznałaby matka.

— «Czyż serce twoje opoką?
Mój ty skarbie, moje złoto!
Przynajmniej popatrz mi w oko,
Proszę cię choć o to!»

— «Nie, ja stąd oczu nie ruszę,
Darmo nie proś — w innym czasie;
Teraz ja patrzeć tam muszę,
Gdzie się trzodka pasie.»

— «Ach, co ja widzę w tym lasku!»
— «Cóż? — «Jak śliczny tam bławatek!
Jakiej pełności i blasku!»
— «Ach, to mój jest kwiatek!»

— «Chodźmy.» — «Lecz zostań ty w dali.»
— «Doprowadzę cię do kwiatka.»
Trochę go długo szukali...
Czy też pozna matka?

PROŚBA.

Jeśli w szkodę wpędzam woły,
Jeślim w izbie ci dokuczył,
Puść mię, matko, daj do szkoły,
Daj bym czytać się nauczył.

Piękne księgi mię zabawią,
Będę czytał gładko, skoro;
Państwo suknie dla mnie sprawią,
Za panicza mię przebiorą.

Wrócę widzieć matkę miłą,
Będę świat wam opisywał,
Z pism tłómaczył gdzie co było,
Z naszym księdzem przy Mszy śpiewał.

Naprzód powiem co się stanie,
Trawy w polach wyrachuję;
I nad łóżkiem twem, na ścianie,
Węglem Świętych pomaluję!

WIENIEC.

«Komu ten wieniec zielony,
I gdzie jest twoja miła?
Których że drużbów matka ci prosiła,
Czyj ty narzeczony?»

— «Matka drużbów nie prosiła,
Mnie przyjmie moja miła;
Śmierci ja narzeczony:
Dla niej ten wieniec zielony.»

— «Masz ojca, krewnych wielu,
I sam jeszcze tak młody;

A ojca twojego miody
Nie popłyną na twem weselu?
A krewnych twoich gospody
Nie przyjmą cię po twem weselu?»

— «Kocham, i jestem młody,
Idę pod ziemię na gody;
Już mię tam wyprzedziła
Pierwsza moja miła.
Gdy będziem obok siebie:
Na czterech gospodarzy
Zaproszą czterech grabarzy,
Odwiedzą krewnych gospody;
Ojca mojego miody
Wypiją na pogrzebie —
Tylko matka za stołem smutna siędzie,
Za synem płakać będzie.
Aż postawi Krzyż poświęcony:
Na nim ten wieniec zielony.»

GOŚĆ.

Blade słońce za chmurami,
Wiatr dolinę zbiegł odludną:
Czegoś oko zaszło łzami,
Czegoś w sercu smutno, nudno.

Jakaś przyszła mi piosenka,
Ale wrony jęły krakać...
Siądę z chustką u okienka,
Będę sobie dumać, płakać.

Leci, leci ptaszek chyży,
Piękny ptaszek do mnie dąży:
To podleci, to się zniży,
To przy chustce w koło krąży.

Czegóż, czego w smutny domek
Piękny ptaszku tak zaglądasz?
W dziobku trzymasz kilka słomek,
Czy tu gniazdo usłać żądasz?..

Dzięki, miły gościu, dzięki!
Mieszkaj przy mnie pod tem drzewem;
Będziesz proso jadł z mej ręki,
I mnie cieszył słodkim śpiewem.

Z listków zbiorę rosę tobie,
Napoją cię moje dłonie,
W upał cień gęściejszy zrobię,
I od deszczów cię zasłonię.

Tylko ukryj gniazdo swoje
Przed macochą, przed nią jedną:
Bo przeklęłaby nas dwoje,
Ciebie, ptaszku, i mnie biedną!

RÓSZCZKA.

Młoda żona piękne oczy
W dzień i w nocy łzami mroczy;
Już rok jeden, drugi, trzeci,
Nie ma szczęścia, nie ma dzieci...
Aż sąsiady odwiedzały:
W kolebce synek mały!

I już w szczęście matka wierzy,
Pod figurę świętą bieży,
Przy niej sadzi rószczkę, śpiewa,
Łzami ją polewa.

«O gałąsko! witaj, witaj!
Żyj, i w liść się stroj;

O wyrastaj, o roskwitaj,
Ty i synek mój!

«Niech Bóg od was złe odwróci!
Wznieś się pośród drzew!
Niech przy tobie słowik nuci,
Przy nim matki śpiew.

«Świtaj mi słoneczko, świtaj,
Pij gałąsko zdrój!
O wyrastaj, o roskwitaj,
Ty i synek mój!

«Niech mi rośnie, niech mi żyje
Piękny jak twój kwiat!
Ile listków cię okryje,
Niech ma tyle lat.

«Jasny promień słońca chwytaj,
I rosą się pój!
O wyrastaj, o roskwitaj,
Ty i synek mój!»

Dziewięć ranków rosa pada,
I dni dziewięć ciepłe słońce,
Dziewięć nocy gwiazda blada...
Aż puściły rószczki końce.
Dziesiątego ranku cała
W liść i w kwiat się przyodziała...
Sąsiady znów odwiedzały:
W trumience synek mały!

STRÓŻ GROBU.

«Ptaszku mały, jasnopióry,
Czemuś zawsze przy tym grobie?

Cóżeś tak podobał sobie
Na wąskim, chłodnym kamieniu?
Ani na gniazdo gałąski,
Ani tu mchu na jadło,
Ani tu cieniu —
Tylko kamień chłodny, wąski!
Cóż tak do serca tu ci przypadło?»
Nic nie mówił i odleciał,
Nic nie mówił — i przyleciał;
Znów usiadł w milczeniu,
Na wąskim, chłodnym kamieniu.

«Stróżu mały, jasnopióry,
Czemuś znów na tym kamieniu?
Ostygło krągłe słońce,
Lasy nie dają cieniu,
Ziemia śniegiem się bieli,
Bracia twoi odlecieli
W cieplejsze świata końce;
Ty choć polecisz do góry,
Znów siadasz na tym grobie?
Powiedz, cóżeś tu upodobał sobie?»

Nic nie mówił i odleciał —
Lecz choć poleciał do góry,
Choć odleciał, znów przyleciał,
Znów usiadł w milczeniu,
Na wąskim, chłodnym kamieniu;
Ptaszek mały, jasnopióry.

PIOSNKA DZIADA.

Czy o deszczu, czy o zimnie,
Skoro znajdę ciepły kątek,
Gdy kij, torba, broda przy mnie.
Już mam cały mój majątek.

Pogłaskawszy siwą brodę,
Idę śmiało w świat o głodzie;
Kto ma serce czułe, młode!
Rzuci grosza siwej brodzie.

Nie zaboli o to głowa
Żywność pańska, czy uboga;
Każdą torba moja schowa:
Dar jednego wszystko Boga.

Kij mój pomoc krokom niesie,
Nie trzeba mi przy nim koni;
Od kolegi w czarnym lesie,
Od psów we wsi mię obroni.

Tym przyniosła powódź straty,
Na tych z ogniem przyszła szkoda:
Nie mam roli, nie mam chaty,
Cóż mi zrobi ogień, woda?

Złe na dobre mi wychodzi,
Mych łachmanów za nic nie dam;
Czy kto umrze, czy się rodzi,
Ja pacierze zawsze przedam.

PŁÓTNO.

Nad wodą piękna kalina,
W ogródku piękna lilija:
Piękniejsza milsza dziewczyna
Na łące płótno rozwija.

«Dla kogo bielisz to płótno?
Czemu nań twoje łzy płyną?
Czego tam patrzysz tak smutno?
Odpowiedz, piękna dziewczyno.»

— «Poszedł na wojnę brat miły,
Od roku już nas porzucił —
Patrzę, łzy świat mi zakryły,
Bo dotąd jeszcze nie wrócił.

«Litując mojej tęsknoty,
Gdy wróci brat mój kochany:
Tem płótnem własnej roboty
Obwijać będę mu rany.»

— «Lecz jeśli brat twój nie żyje?...
Odpowiedz, i spojrzyj ku mnie.»
— «To matka moja nakryje
Tem płótnem córkę swą w trumnie!»

PIERŚCIEŃ.

Smutno niańki ci śpiewały,
A ja już kochałem;
A na lewy palec mały
Srebrny pierścień dałem.

Pobrali dziewczęta drudzy,
Ja wiernie kochałem;
Przyszedł młody chłopiec cudzy,
Choć ja pierścień dałem.

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem;
Innego zostałaś żoną,
Ja zawsze kochałem.

Wdową byłaś, już ci głowę
W rutę ubierałem;
Przyszedł wdowiec, pojął wdowę,
Ja jeszcze kochałem.

Dziś dziewczęta mnie wyśmiały,
Gorzko zapłakałem:
Próżnom wierny był i stały,
Próżno pierścień dałem!

PRZYCZYNA.

«Mówię ci grzecznie i skromnie,
Z tak dzikiej nie chełp się cnoty,
Posłuchaj, dziewczę! Chodź do mnie,
Chodź, kupię pierścień ci złoty.»
— «Ja, panie, złota nie noszę,
Nie kupuj, nie kupuj, proszę.»

— «Ach! twoje oczka nad złoto!
Ja tylko dla ciebie żyję!
Pozwól mi, proszę cię o to,
Kupić ci perły na szyję.»
— «Ja, panie, pereł nie noszę,
Nie kupuj, nie kupuj, proszę.»

— «Moje ty szczęście jedyne,
Czemuż me serce zasmucasz?
Powiedz mi, powiedz przyczynę
Dla której dary odrzucasz?»
— «Nie miłe twoje są dary...
Boś panie... brzydki i stary.»

ŻEBRACZKA.

Wysłała w obce strony,
Bogatej szukać żony,
Wysłała matka syna;
Straciła go za młodu,

I płakała zawodu:
Sama swych łez przyczyna.

O żebranym wyszła chlebie,
Przeklinała sama siebie,
Przy drodze siadła w cieniu,
Śpiewała na kamieniu;
To kamień nieboszczyka...
Z pod ziemi jęk przenika.

«Czegóż ci, duszo, potrzeba?
Czy chcesz pacierza, czy chleba?
Czy w ciasną trumnę włożyli?
Czy ćwiekiem rękę przybili?»

— «Trumnę moją ziemia zjadła,
W proch się ręka już rospadła;
Lecz żalę się w tem jęczeniu:
Matka syna nie poznała,
I na jego kamieniu
Ludziom za chleb śpiewała!»

PTASZEK TAJEMNICZY.

«Ptaszku wędrowcze, w któreż to kraje
Dążysz przez wody, pola, i gaje?
W naszej dolinie
Zdrój czysty płynie:
Nabierzesz siły.
Na łanie proso
Błyszczy się rosą:
Posil się, miły!»
— «Jestem zgłodniały, a lecę w drogę;
Jestem spragniony, a pić nie mogę.»

— «Więc gdy powrócisz z zieloną wiosną,
Wtedy zanucisz piosnkę radosną.

Dla ciebie drzewo tu kalinowe,
I zdrój przejrzysty, i ziarko zdrowe.»

— «Niechaj cię ludzie po kraju chwalą,
Niech się nad ptaszkiem twoim użalą:
Ja już do gajów twych nie powrócę,
Dzisiaj ostatnią piosnkę im nucę.»

Biały ptaszek z lewej strony
W krwawe krople nakropiony.
Jedna piosnka... kwiaty płaczą,
Druga piosnka... zdroje płaczą...
W złote zdjęty półobręcze,
Zniknął owiniony w tęczę.

OBRAZEK.

«Co ty, dziecię, tam znajdujesz,
Że tak książkę tę całujesz?»
— «W niej obrazek wyciśnięty,
A w obrasku jest mój Święty.
Górą po nad pięknem czołem
Opasany jasnem kołem,
W ręku palmę ma zieloną,
Piękną palmę roskwitnioną.»
— «Czegóż płaczesz, lube dziecię?
O co w sercu prosisz skrycie?»
— «Ja nie proszę, lecz dziękuję;
Płacząc przed Nim, radość czuję.»
— «Za cóż więc zanosisz dzięki?
Daj mi książkę tę do ręki.»
— «Prosiłem Go w cichej mowie
O matki, o ojca zdrowie,
By nam zawsze dawał chleba,

Potem zawiódł nas do Nieba...
Ruszył palmą na znak Święty!
Że zostanę tam przyjęty!

PRZYPADEK.

«Dokąd że to leci
Gołąbka chowana?
Czy do swoich dzieci,
Czy do swego pana?

«Miłe twe ptaszęta,
Gołąbko chowana;
Lecz nasze dziewczęta
Wolą twego pana.

«Radość, szczęście czuję
Skoro go zobaczę;
A gdy z nim tańcuję,
To i serce skacze.»

Z gaiku, od wody,
Gdzie krynica skryta,
Wybiega Jaś młody,
I za rękę chwyta.

«Skarbie mój jedyny!
Zaraz w tę niedzielę
Będą zaręczyny,
A w przyszłą, wesele!»

— Gdybym ja wiedziała
Żeś był za drzewami:
Mowićbym nie śmiała,
Przeszłabym ze łzami.

«Leć tu, leć do ręki,
Gołąbko kochana!
Dzięki tobie, dzięki,
Za męża i pana!»

STRZELEC.

Piękny strzelec idzie drogą,
Wierny jego pies przed nogą;
Piękny strzelec usiadł w cieniu,
Trzyma strzelbę na ramieniu.

Powstał, idzie za zwierzyną,
Idzie wzgórzem i doliną,
Patrzy, szuka, staje czasem,
Zagrał w trąbkę, znikł za lasem.

Psa najpierwej znęcić trzeba.
Nie żałujmy mleka, chleba;
Może pana łatwo zdradzić,
Za zwierzyną tu sprowadzić.

Matka pójdzie do szpichlerza,
Ojciec strzelbę niech przymierza,
Dzieci z psem by się bawiły:
A ze mną mój strzelec miły.

KWIATKI.

«Czemu zwracasz wzrok tam rzewny?
Czego, dziewczę, żądasz?
Czy ma przybyć który krewny,
Czy swatów wyglądasz?»

— «Krewni o mnie zapomnieli,
I swatów nie żądam;
Ale śniegów już topieli
I wiosny wyglądam.»

— «Chcesz by pod oknami chatki,
Dziewczyno żałosna,
Wydała ci piękne kwiatki
Pożądana wiosna?»

— «Chcę by kwiatki mi wydała,
Lecz nie pod oknami:
Na grobiem je matki siała,
Polewała łzami!»

OSTROŻNOŚĆ.

Stała Marysia nad wodą,
Ciesząc się swoją urodą;
Kwiat przyłożyła do czoła,
Mruga na Jasia i woła.

«Chodź tu, mój drogi, mój śliczny,
Napij się wody krynicznej.»
— «Boję się, boję stąd szkody,
I tej nie będę pił wody.»

— «Czemu zdaleka tak stoisz,
Czemuż tej wody się boisz?»
— «Bo w nią twe oczy patrzały,
Może ją zaczarowały.»

TUŁACZKA.

«Dokąd że tak z ranną gwiazdą,
Jaskółeczka smutna leci?
Czy zły człowiek zepsuł gniazdo,
Czy ci jastrząb zabił dzieci?»

— «W gnieździe mi bespiecznie było,
Jest pod dachem i nie moknie:
Lecz już mieszkać mi nie miło
W gnieździe mem, w kościelnem oknie.

«Odkąd ksiądz odumarł stary,
Dzieciom się mym tęskni, nudzi:
Nie gra nikt na chórze fary,
Nie masz już pobożnych ludzi.

«Ani modlitw, ani pieśni,
Ani dzwonków, lamp niedzielnych;
Nic się nam miłego nie śni
W ciszy pustych ścian kościelnych.

Muszę lecieć, choć się smucę,
Wolę skryć się w obce strony:
I nie wprzód tu z dziećmi wrócę,
Aż znów wezwą na Mszę dzwony.»

KON GRABARZ.

Już cię więcej nie utrudzę,
Pójdziesz sobie sam po błoniu;
Ku ostatniej dziś posłudze
Wygrzeb jeszcze dół mi, koniu!

Spiesz się, póki z rany mojej
Krew do reszty nie ubieży,

Póki nie odejmę zbroi,
I nie skończę mych pacierzy.

Spiesz się, pracuj całą siłą,
Głębiej koniu, głębiej jeszcze,
By mię słońce nie paliło,
By nie doszły do mnie deszcze.

Gasną oczy, dech się ziębi...
Ach, żal braci, żal mi chatki!
Głębiej, proszę, jeszcze głębiej,
By nie zbudził płacz mię matki.

Dość, dość, koniu! Jak zawoła
Wszystkich zmarłych Bóg do siebie,
Bym mógł słyszeć głos Anioła,
I co prędzej stanął w Niebie!

KUKUŁKA.

Dąbrową szła matka,
I niosła gdzie chatka
Wesoła,
Chrztem świętym obmyte,
Dzieciątko spowite
Z kościoła.
«Spij, aniołku, moje dziecię,
Moje szczęście, moje życie,
Mój synku!»

Spoczęła w dolinie,
Dać piersi dziecinie
Dziś wcześniej.
I strugi mruczały,
I ptaszki śpiewały
Swe pieśni.

A najgłośniej, miłym śpiewem,
Woła, huka nad swem drzewem
Kukułka.

«Ty kiedyż maleńki
Tak zaczniesz piosenki
Twej matce!
I będziesz tak hukać,
Ja będę cię szukać
Po chatce!
Znajdę, a ty znów się chować
Ja aniołka znów całować
Tak będę!»

I poszła do sioła,
Odnosząc z kościoła
Chłopaczka...
Kukułka kukała,
A matka płakała,
Biedaczka...
Aż po roku śliczne, zdrowe,
Biegło dziecię przez dąbrowę,
Jej synek!

ZAWÓD.

«Ach, dzieweczko, zmiłujże się,
Cóż ty sama robisz w lesie!
Dawaj prędzej rączkę, mała,
Byś mi drogę pokazała.

«Tyś tu pewnie okoliczna,
A jam zbłądził, życie moje!
Zmiłujże się, jakeś śliczna,
Będziem sobie iść we dwoje.»

— «Pan zbłądził? Ja tu jagody
Z matką zbieram. A u trzody
Ot i bracia chodzą strażą,
Oni drogę wnet pokażą.»

— «Ej, już trafię i sam może.
Nie widziałem. Co za szkoda!
A jam myślał, żal się Boże,
Że i dla mnie tu jagoda.»

BOCIANY.

Czy płótna to bielą,
Ze wsi, na łące?
Czy kupcy tam ścielą
Namioty w drodze?..
Nie płótna, bo mają
Czaty chodzące;
Nie kupcy, bo stają
Na jednej nodze...
To obóz bociani!
Wszyscy po parze,
Noclegiem pospani...
Lecz nie śpią straże.

Lśni łąka, lśni rzeka,
Z chmur miesiąc schodzi,
Straż widzi z daleka,
Coś się tam bieli...
«Hej, kto to się skrada,
W obóz nasz wchodzi?
Stój, gościu, to zdrada,
My cię widzieli.
A czego tu, panie,
Czego chcesz nocą?

Mów, bracie bocianie,
Ktoś ty i po co?»

— «Z waszegom ja rodu.»
— «Skąd brat przybywa?»
— «Z Starosty ogrodu,
Od miejskiej bramy;
Starosta przezemnie
Braci mych wzywa.»
— «Nie zmyślaj daremnie,
Starostę znamy.
On gniazdo nam z jodły
Spalił tej zimy;
Ty jesteś szpieg podły,
Wnet cię sądzimy.»

I wiodą z tą mową
Gościa nocnego;
On kiwa swą głową
W ciężkim kłopocie;
Kolana mu drżały
Z żalu wielkiego;
A skrzydła, jak biały
Płaszcz, wlókł po błocie.
Przyszli z nim w gromadę,
Pyta starszyzna,
I prosi przed Radę,
Czy też się przyzna.

Więc bocian Jenerał
Szedł prędkim krokim,
I sędziów pozbierał,
Żeby nie zwlekać;
Bociana Rotmistrza
Posłał z wyrokiem,
Bo sprawa najczystsza,
Nie ma co czekać...

Lśni łąka, lśni rzeka,
Szedł wschodem strzelec
Nad wodą, z daleka,
Bocian wisielec!*)

TRZY PLAMY.

Biegnie biały koń przez pole,
A krew błyszczy mu na czole;
Biegnie biały koń po niwie,
A krew błyszczy mu na grzywie;
Biegnie biały koń po drodze,
A krew błyszczy mu na nodze.
Aż już zarżał, jest u bramy,
A trzy na nim krwawe plamy.

«Witaj, witaj, koniu biały!
Czemuś drżący i spotniały?
Gdzież twój pan? Czy tam w pobliżu
Zmówić pacierz klął przy Krzyżu?
Czy u studni odpoczywa,
A z kurzawy twarz obmywa?
Prędkoż wyjdzie już na wzgórek,
Do synka, do dwóch swych córek?»

Starsza córka wnet wybiegła,
Krwi na czole nie postrzegła;
Młodsza konia pogłaskała,
Krwi na grzywie nie dojrzała;

*) Lud nasz utrzymuje że bociany w swoich wędrówkach mają między sobą dowódców, strażników, i t. d. Zdarza się, iż w miejscu, gdzie się te ptaki zgromadzać zwykły, znajdują niekiedy bociana powieszonego, takim sposobem, że w tę lub ową rozszczepioną gałąź wtłoczony był szyją aż do zaduszenia, i tak zostawiony. Ludzie wiejscy kładą takie zabójstwo na karb samychże bocianów: którzy mają karać śmiercią rozmaitych między sobą przestępców, a osobliwie szpiegów od stada obcego.

Ale synek puścił z ręki
Swe zabawki, klął maleńki,
Konia w nogę pocałował,
Krwi się ojca użałował.

CUDZOZIEMIEC.

«Dziewczę! Kwiatku! spojrzyj mile,
Przecież serce twe nie skała;
Przynajmniej mię kochaj tyle,
Żebyś słów mych posłuchała.»

— «Niech cię Pan Bóg w szczęściu chowa,
Nie zwodź słowy mię miłemi;
Matka moja, biedna wdowa,
A tyś synem obcej ziemi.

«Prędzej, później, jakąś dobą,
Jakbyś odszedł... Nie, nie mogę...
Jakbyś odszedł, toby z tobą
I me serce poszło w drogę.

A bez serca, smutne ciało
Na cóż by się biednej matce,
Na cóż by się wtenczas zdało
Biednej wdowie, w biednej chatce!»

WDZIĘCZNOŚĆ.

O! śpiewaku mój maleńki,
Moja ty ptaszyno mała!

Powiedz, jakież twe piosenki,
Cóżeś ty w nich szczebiotała?*)

Ona znowu leci dołem,
Skrzydłem trąci wód przeźrocze,
Znów zawinie szybkiem kołem,
A nad stawkiem tak świegocze:

«To ja, to ja, w dach wasz stukam,
Wyjdźcie, rybki, wyjdźcie proszę,
To ja, siostry, was ja szukam,
I piosenkę wam przynoszę.

«Czy wesołe, czyście zdrowe,
Czy z was żadna nie o głodzie?
Wyście moje sny zimowe
Strzegły w jasnej swej gospodzie.

«Dziś ja wdzięczna wam odsłużę;
Ledwo z rankiem strząsnę rosę,
Zaraz puszczam się w podróże,
Szukam ziarek — wam je niosę.

«Dziś mym domem piękne pola,
W koło lasy mam ogromne,
Dziś szczęśliwa moja dola,
Ale o was nie zapomnę.

«I każdego tak poranka
Dla was chętnie toż uczynię.
To ja, wasza wychowanka,
Miłe moje gospodynie!»

*) Lud powszechnie utrzymuje że jaskółki (lubo nie wszystkie) zimują pod wodą. Uczeni szydzą z tego twierdzenia. Komu zdarzyło się widzieć znajdowane w czasie zimy jaskółki pod wodą, które wniesione do ciepłego pokoju odzyskiwały życie i zdrowie: ten wie bardzo dobrze iż w tym razie nie lud prosty ale uczeni są w błędzie.

Tu przechyli szyjkę ładną,
Pod nią w stawku rybek czata...
Kilka ziarn zniknęło na dno...
Jaskółeczka znów odlata.

O! śpiewaku mój maleńki,
Moja ty ptaszyno mała!
Jakże piękne twe piosenki,
Jakżeś mile szczebiotała!

WIERSZE RÓŻNE.

DO ***.

Nikną dnia ślady. Na ciemnem sklepieniu
Noc drżące gwiazdy zapala;
Przed naszem okiem, w ich srebrnym promieniu,
Szumiąca upływa fala.

Wzniosły się ognie na przeciwnym brzegu,
Ich blask rozbija się w wodzie;
Brzmi pieśń wioślarzy. W nienaglonym biegu
Spóźnione zdążają łodzie.

Mgły płyną. Czasem blada twarz księżyca,
Jak z grobu wyjrzy ponuro.
Patrzysz — i smutek twe okrywa lica:
Smucisz się z smutną naturą.

Czemuż łzą straszysz ten piękny wiek młody?
Czemu to żałości słowo?
Czemuż w nurt ciemnej wpatrując się wody,
Tak smutnie potrząsasz głową?

Dla twych obrazów inne żyją farby,
Szukaj ich w młodości niebie.
Przed tobą wszystkie nadziei są skarby;
Prócz smutku, wszystko dla ciebie.

Dla ciebie ranek na czystym błękicie
Budzi jutrzenkę radosną;
Pod nowem słońcem, nowy strój i życie,
Z nową rozwija się wiosną.

Młody krzew dolin, lekkim drżąc powiewem,
Kąpie się strugami rosy;
Brzmią różno dźwięcznym wonne gaje śpiewem,
I zewsząd szczęścia odgłosy.

Tu flet pastuszy echa łąk umila;
Tu zdrój w brzęczącej podróży;
Tu blaskiem zorzy, pod skrzydłem motyla,
Płonie otwarta pierś róży.

Tu piękność, roskosz, błyszczą twemu oku!
A w wieszczym myśl twoja rzucie,
Śród tego życia i szczęścia widoku,
Zbudzi przyszłości przeczucie.

DZIEWCZĘ.

Błysnęła jutrzenka,
Sklep nocy rospęka;
Nad bory, nad wzgórza
Twarz słońce wynurza:
Mgły topi złotem okiem,
Rozlewa dzień potokiem.

Mknie wietrzyk przez kłosy,
Na kłosach blask rosy;
Przeleciał przez krzewy,
Rozdźwięczne brzmią śpiewy,
Na łące kwiatów stroje,
Po łące brzęczą zdroje.

Doliną, pod gajem,
Nad szklistym ruczajem,
Kwitnące, porywcze,
Jak śliczne to dziewczę!
Wesołą piosnkę śpiewa,
Do czoła kwiatek zrywa.

Podbiega, to stawa,
Wzrok wdziękiem napawa;
Umilkła; znów śmiechem
Przedrzeźnia się z echem...
O! piękna w kwiecie latek,
Śpiew piękny, piękny kwiatek!

Śpiew nagle ucina...
Jakaż to przyczyna?
I kwiatek precz ciska,
Gniew z ócz jej wybłyska...
Co! nawet we łzach lice..?
Dziewczęta! O wietrznice!

«Wciąż jedno, odludno,
Wciąż smutno i nudno.
Toż w wieczór, o świcie,
Już nudzi mię życie.
Nie będę kwiatków zrywać,
Już nie chcę nigdy śpiewać.

«Jak ustroń ta głucha!
Choć śpiewaj... któż słucha?
Choć strój się... dla kogo?
By stanąć nad drogą!
Przy matce szycie, trudy,
Ach nudy, nudy, nudy!

«O gdyby kto młody,
I ładnej urody,
Raz przybył w tę stronę,
A wziął mię za żonę...
O Boże! cobym dała!
O! jakbym go kochała!»

Wybiega młodzieniec...
Twarz krasi rumieniec,

Wdzięk w ustach, wdzięk w oku...
Przesadził zdrój w skoku...
Nim dobiegł... Coś wyrzekła,
Krzyknęła, i uciekła.

KUKUŁKA.

Słońce raniej ze snu wstaje,
Na zielone patrzeć gaje;
W kwiatki się ubrały smugi,
Skryte w trawach mruczą strugi.

Łączka, lasek, miło wszędy,
Tędy parów, ścieżka tędy,
Tu szum listków, tam brzęk pszczółki,
Niedaleko głos kukułki.

Cicho! Ona tutaj leci.
Może tu gdzie ma swe dzieci.
Otóż na te drzewa spada...
Tam, na gruszy tej usiada.

MŁODZIENIEC.

Miła ptaszyno! Jak śpiew twój radosny!
Pierwsza nam głosisz przyjście lubej wiosny.
Ledwo swe zima zdejmie stąd okowy,
Budzisz pól echa, rozbrzmiewasz dąbrowy.
Głos twój wesoły wszędzie radość szerzy,
Cieszy oraczów, zabawia pasterzy.
O! niech ci błogo będzie w moim kraju!
Piękna ptaszyno, witaj w pięknym gaju!

STRZELEC.

Nie będzie nic dziś z łowu...
Eh! ta kukułka znowu.

Ot siadła... Chuda, młoda,
Naboju prawie szkoda.
Niewarto... Albo strzelę?
Straciłem czasu wiele,
Zmęczonym i spragniony...
Od biedy wziąść dla żony.
Ta głupia jeszcze kuka,
O! sama śmierci szuka.

MŁODZIENIEC.

Nie chcę jej płoszyć, skryję się za krzakiem...
Lube stworzenie! Jak chciałbym być ptakiem!
Latać i śpiewać: całe jego życie.
Pod każdem drzewem znajdzie dom, ukrycie.
Nie zna co praca, co trudy, co szkody,
Wszędzie ma ziarno, wszędzie kroplę wody.

STRZELEC.

Tak, hukaj, ciesz się zdrowiem,
Wnet ja ci tu odpowiem.
O, jak wyciąga szyję...
Niech tylko śrut przybiję.
No, koniec twojej śpiewce...
Spaliło na panewce!

MŁODZIENIEC.

Może mię widzi; czegoś się porywa,
Zleciała niżej i głębiej się skrywa...

STRZELEC.

Chcesz lecieć? Tu zostaniesz...
(Strzela.)
Nie trzep się; już nie wstaniesz.
Filut ptak, jak się chował!
Przedziwniem wycelował.

SYSTEM FILOZOFICZNY

pewnego Podstarościego od Łukowa: który go wykładał autorowi, zjechawszy się raz z nim przypadkiem na nocleg pod Węgrowem.

Żyć, najgłupsze to rzemiosło!*)
Czy nas licho tu przyniosło!
Gdzieś małżeństwo się zrobiło,
Tobie nic się ani śniło,
A oni cię bytem darzą,
Ochrzczą gwałtem, i żyć każą.
Róbże co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Ten świat, dziwna to zagadka!
Prawi ci coś ojciec, matka,
O jakimś Adamie, Ewie,
Jakimś wężu, jakiemś drzewie...
Gdzież sens? Cóż to wszystko znaczy?
Niechaj mi kto wytłómaczy!
Rob ty co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Ot dalipan, i bez sprzeczki,
Świat ten nie wart torby sieczki!
Probuj szczęścia, zmieniaj stany?
Wszystko bajki! Próżne zmiany.
Choć ty tłucz o ścianę głową,
Zawsze bieda jednakowo!
Róbże co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Smaczny kielich, w karty grzanka,
Ładny buziak, i hulanka:

*) Odczytując teraz ten wierszyk, przyszło mi na myśl, czy kto i mnie samego nie wziąłby za wyznawcę systemu Podstarościego Łukowskiego?.. Ale mniemam, że ton żartu i satyry jest tu dość wyraźny.

Chociaż temu ktoś tam przeczy,
Prawdę rzekłszy, niezłe rzeczy!
Cóż, gdy tego ksiądz nasz, lala,
Ani liznąć nie pozwala.
Rób ty co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Czy mam wiele, czy mam mało,
Na cóż mi się to przydało?
Ten człowiek, to czyste drwiny!
Odbędzie tu swe godziny,
Coś porobi, coś pogada,
Pokręci się — i przepada!
Rób że co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Słowem — przyszliśmy tu w goście,
Potrzebni jak dziura w moście.
I sam ten świat?... Na co? Po co?...
Darmo myśleć dniem i nocą.
Tęgi nam zabito ćwieczek,
Do krocset tysięcy beczek!
Rób ty co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

ROZMOWA Z MICHAŁEM.

«Cóż Michale tam na dworze?»
— «Deszcz, że człowiek wyjść nie może,
Brzydko panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny. Niech pan słucha,
Aż strach jaka wciąż ulewa.»
— «Więc przyłóż na komin drzewa.»
— «Mam też suche.. Niech pan siada...
Oj tak, deszcz okrutny pada.»
— «Dajno książkę tę ze stołu.»

— «Ta co z wierzchu, czy ta z dołu?»
— «Tę którąś roscinał z rana...
Ta, ta, daj ją.» — «Proszę pana,
Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać!
Ja to o tych książkach słyszę —
Proszę pana, co w nich pisze?
Pan musi znać doskonale.»
— «Różne rzeczy, mój Michale.
Historyje, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje;
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzódy.
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje,
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy króle gdzie rządzili,
Co, dla czego tak się stało...»
— «Na co to się panie zdało!
Dość kłopotu na tym świecie
Myśleć, by człek wyżył przecie,
Co to teraz zewsząd bieda:
A to — na co to się przyda?
Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy naprzykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty.
Było panie, to już było,
Tak Bóg chciał, tak się zrobiło.»
— «Popraw ogień.» — «Pan się śmieje,
A to prawda... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy... To tak właśnie
Jak dziecko, co to nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzódy.
Praw mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam mospanie,
O trzech braciach, o sułtanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek...

Jakiż panie w tem pożytek?
Dziecko, to tam się i bawi,
Matka głupia, to mu prawi.»
— «Jak to, stary! Ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładniesz w równi...» — «Nie to, panie.
Cóż tam, moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi,
Pan czyta, to wie najlepiej.
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi,
Jeśli pan ma wolną chwilę:
Bo to panie ksiąg jest tyle,
Że liczba niezrachowana,
Różnej formy, proszę pana.»
— «W książkach także jest wykrycie,
Jak trzeba prowadzić życie.
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota.
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Praca jest najlepszą tamą...»
— «Proszę pana, to tosamo,
Byle na mszę pójść w niedzielę,
Można słyszeć i w kościele.
A ksiądz, człowiek też nie lada,
Różnych nauk dość posiada;
Nie jednego, kto zbrodniczy,
Złaje nawet i wykrzyczy...
Lecz cóż! Panu rzecz ta znana,
Ludzie ludźmi, proszę pana.
Gdy w kościele? to to słyszą;
A z kościoła? to znów grzeszą.»
— «Więc źle robią, mój Michale.»
— «Bardzo źle. Ja też nie chwalę.
Powiedz mi pan z łaski swojej,
Jak w tych różnych pismach stoi,
Co też się na przyszłość stanie?»

— «Śmieszne czynisz zapytanie.»
— «Bo to panie najciekawsze.
Czy już tak ma być na zawsze,
Jak jest dotąd? Czy się przecie.
Raz polepszy co na świecie?»
— «A polepszy, w jakiejś porze.»
— «Kiedyż panie to być może?»
— «Wtedy, gdy tak jak należy,
Rozum światło swe rozszerzy:
Gdy ciemnota zniknie wszędzie,
Gdy ksiąg jeszcze więcej będzie,
Kiedy nauk skarb otwarty...»
— «Proszę pana, wolne żarty!
Od kiedy to, w takim trudzie,
Tych się nauk uczą ludzie!
Od kiedy już księgi piszą,
Co gdzie tylko widzą, słyszą,
W różnym panie tam języku,
To już właśnie że bez liku!
Według tego, w każdym kraju
Jużby było dziś jak w raju.
A to panie zawsze bieda!
Choć grosz przyjdzie, to się wyda.
Wciąż drożyzna niesłychana...
To nie warto, proszę pana.
Cośby to się ludziom snuło...»
— «No, idź już sobie, gaduło!»

RACHUNEK ŻYCIA.

List gospodarza, pisany ze wsi do mieszkańca miasta.

Chcesz wiedzieć Waćpan Dobrodziej
Jak też nam tu życie schodzi.
Waćpanowie, w wielkim świecie,
Modnie i różnie żyjecie:

U nas, w cichym kącie wioski,
Mniej odmiany, mniej też troski.
Zwyczajnie sobie prostaki,
Nasz rachunek życia taki.
Rano, nasamprzód, pacierze —
Potem piję co ciepłego,
Potem zaraz człek się bierze
Do pracy, bo nic bez tego.
A więc, co tam bądź na dworze,
W lecie, czy w zimowej porze,
Muszę z obowiąsku pana
Dojrzeć sobie codzień z rana,
Czy wszystko jak być powinno,
Czy każdy już zaczął swoje:
Raz koleją tą, raz inną,
Tędy przejdę, tam postoję,
Tam się spytam, tam coś każę,
Wszędzie jest mię pełno — łażę
I do owiec, i do koni,
Słowem, wszystko jak na dłoni.
Temu trzeba jak zaradzić,
To potrzeba przysposobić,
To ogrodzić, to przesadzić —
Dość, że zawsze jest co zrobić.
Czasem także, choć na krótko,
Wybiegniesz z strzelbą raniutko
Po zająca, albo ptaka,
Czasem też fabryka jaka.
Jeszcze się gdzieś powie słowo,
Wyjrzy w okno, czy na ganek,
Jedno z drugiem — to i owo...
I ot jakoś przejdzie ranek.

Potem obiad. Po obiedzie,
Czy z sąsiedztwa kto przyjedzie,
Czy też się na wózek siada
I jedzie się do sąsiada.
A nie, to dzieci biegają,

Latem w sad, po izbach w zimie;
Lub też córki co zagrają,
A ja sobie trochę zdrzymię.
Czasem co od sług usłyszę,
Albo list się gdzie napisze,
Albo się do książki bierze:
Czy to nabożnej, o wierze,
Czy też jakiej narodowej,
Autora szczeropolskiego —
Bądź z nowszych, więc tom jakowy
Edycyi Mostowskiego.
Bywa że kupiec zawita,
O to, o owo się spyta,
Prawda, czasem dosyć nie da,
Lecz często się coś i sprzeda.
Pójdziesz na wieś, zajrzysz wszędzie,
Zrobisz co choremu, wdowie;
Czasem kwestarz skąd przybędzie,
I nowinkę jaką powie.
Czasem też ku wieczorowi,
Czy w pole, czy ku młynowi,
Sam, albo ochota czyja.
I ot jakoś dzień przemija.

Na wieczór, rachunek dzienny:
Przy tem ja najmocniej stoję.
Więc Ekonom, i Gumienny,
I drudzy przynoszą swoje:
Pytam się, o wszystkiem słyszę,
Ślicznie pięknie zliczę, spiszę,
Jedno po drugiem, rozumnie,
Już to jak zegarek u mnie.
Dopiero gdy się załatwię,
Wtedy sobie z wolną głową
Albo zacznę prawić dziatwie
Jaką powieść narodową;
Albo skąd przyjedzie siwy

Jaki wojak, lub myśliwy,
To słucham, a on mi gwarzy,
Jak zwyczajnie lubią starzy.
Czasem z gościem przy szklanicy,
Czy w karty, jeśli ochota,
Czy siadłszy u warcabnicy,
Proboszczowi wytnę kota.
Albo jak zimową porą,
Na kominie głownie gorą,
Trochę i podumać miło,
Jak to tam gdzie w życiu było.
Żądza szczęścia coraz cichnie,
Tyle, tyle już w pamięci —
Czasem człowiek się uśmiechnie,
Czasem się i łza zakręci — —
Ha! cóż robić! Szkoda jęku;
Bóg sam to wie, w Boskiem ręku!..
Ot widzisz Waćpan Dobrodziej,
I wieczór jakoś przechodzi.

Taki nasz dzień. A dzień do dnia,
Tygodnie, miesiące, lata!
Byle odbyć czas przechodnia,
Skończyć głupią służbę świata.
Już dziedzice podrastają,
Co twych prac używać mają.
Ociężeje głowa, nogi,
Dalej, stary! umknij z drogi.
Więc gdym kresu już dogonił,
W cichej, w miłej mej ustroni:
To dzwon, co na chrzest mój dzwonił,
I na pogrzeb mój zadzwoni.
Dobrzy zjadą się sąsiedzi,
W wiosce już pan nowy siedzi;
Ten i ów jeszcze się spyta
Z czego umarł? Jak...? I kwita.
Tu dobrze, tam źle cię wspomną,

Ktoś się i ucieszy skrycie;
Pogadają, i zapomną...
I ot jakoś przeszło życie.

PROSTAK WIEJSKI.

Nie wiem gdzie tam lepiej komu,
Każdyć panem własnej woli.
Mnie najlepiej w ojców domu,
Więc rad siedzę na swej roli.
Nie ciekawym co tam poda
Zagraniczna miastom moda:
Sieję sobie swe zagony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam szuka obyczaju,
Pędzi w świat... Otwarte wrota!
Dzięki Bogu, wiem i w kraju
Co jest rozum, grzeczność, cnota.
Wolę ja w staroświecczyznie
Własnej wiernym być ojczyznie,
Bom z pradziadów Polak chrzczony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś przez mądre tam mozoły
Myśli że świat przeinaczy.
Toć i jam odbywał szkoły,
Wiem co ta ich mądrość znaczy.
Hurt na hurt, wolę ja stare
Ojców serce, ojców wiarę,
Żyć dla dzieci i dla żony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
I gdy jakiś zysk w tem zoczy,
Górnościami, czułościami,

Jako może mydli oczy.
U mnie — znam się na oszustach,
Prawda w sercu, prawda w ustach,
Do prostotym wzwyczajony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie łakną drudzy
Chwały, sławy, i tak dalej.
Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
Gdy mię w wiosce kmieć pochwali,
Gdy pochwalą mię sąsiedzi,
A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi:
Tom już całkiem nacieszony,
Niech Bóg będzie pochwalony!

DO DZIECKA.

Jak nowy żołnierz, nieświadom bojów:
Nim wojna zora mu czoło,
Cieszy się piosnką, blaskiem swych strojów,
Biegnie w szeregi wesoło:

Błogo poczynasz życia gościnę,
Bo nie wiesz co cię w niej czeka.
Dziś jeszcze śmiechy, piosnki matczyne..
Jutro urośniesz w człowieka!

Teraz cię wszystko pociąga, mami,
Cieszy cię lada błyskotka;
Wszystko pokochasz, chwytasz rękami
Z czem tylko wzrok się twój spotka.

Kiedyś! gdy senne odlecą lata,
Gdy raz ucieknie złudzenie...
Od wszystkich blasków i ponęt świata
Zimne odwrócisz spojrzenie.

Jakże się zmienisz! Te oczy żywe,
Zachmurzy smutków obsłona;
Na czole, gdzie dziś pieszczoty tkliwe,
Usiędzie troska zmarszczona.

Znikną mamidła. Przez cierni tyle
Powiedzie powinność twarda!..
Usta, dziś śmiechem kwitnące mile,
Ściśnie ci boleść, lub wzgarda...

Ale dla czegoż, kochane dziecię,
Straszę cię przyszłą żałobą?...
O! baw się, pókić zabawką życie,
Póki masz cacka przed sobą!

O N.

«Co ci, dziecię, że od rana
Tak wciąż jesteś zadumana?
To się nie chcesz bawić z braćmi,
To ci oko łzą się zaćmi,
Czy masz jaki smutek skrycie?
Co to, powiedz, lube dziecię.»
— «Nie, mamo, nie smutek żadny.
Ja dziś miałam sen tak ładny,
Tak mi o tem myśleć miło,
Tak mi się to dziwnie śniło!»
— «Cóż to znów był za sen taki?
Powiedz, moje dziecię, jaki?»
— «Najprzód śniła mi się mama.
Gdzieś nad wodą była sama,
O mnie coś mówiła wiele —
A ja, że byłam w kościele.
Wszystkie nas tam dzieci wzięto,
Jakieś było wielkie Święto.
Ja, niby z kwiecioną głową,

Ubrana w sukienkę nową,
W jakąś taką białą, mleczną,
Bardzo, bardzo, dziwnie śliczną!
Otóż, gdym w tym stroju była,
Takem słodko się modliła,
Że modląc się, przez czas cały
Jak wczoraj mi łzy spadały:
A on brał, i temi łzami
Tak się bawił jak perłami.»
— «Kto?» — «On.» — «Któż» — «On —» Wciąż to samo.
Któż on?» — «On sam, droga mamo,
Bo ja nie wiem kto On taki.»
— «Któż on był? Jakie miał znaki?»
— «To wiem tylko z jego znamion,
Że dwa skrzydła miał z dwóch ramion;
Lecz czasem, gdy ruszył szyją,
Zdał mi się kwiatem, liliją; —
Potem światło, lecz nie płomień,
Tylko jakiś blask szedł, promień;
Później, ten sam, ja nie umiem
Opowiedzieć, nie rozumiem,
Skrzydła gdzieś mu jak śnieg spadną,
A On stał się taką ładną
Jakąś pieśnią, taką miłą...
I wszystko tak dziwnie było....
Ale cóż to? Czy się lękasz,
Powiedz, proszę? Ty uklękasz?»
— «Klęknij przy mnie, dziecię moje,
Będziem modlić się we dwoje.
Szczęśliwy! takie sny czyje!
Ja przeczytam Litaniję
Do twego Anioła Stróża,
A twój głos niech ją przedłuża;
Proś Go jeszcze temi łzami:
Przyczyń się, módl się za nami!

SĄDY BOŻE.

Ułamek powieści.

Kto rad powieści słucha, a sens z nich dobywa;
Nie wzgardzi tą. Jest dawna — i pewnie prawdziwa.
Stoi też w wielu księgach.

Dwaj stateczni ludzie,
Mężowie chrześcijańscy, po trudach i nudzie
Dość długiego żywota, świat sobie sprzykrzywszy;
Wyszli na puszczę, aby pędzić wiek szczęśliwszy.
Więc mieszkali w jaskiniach, daleko od siebie;
Tylko się modlitwami spotykali w Niebie,

I wiedzieli o sobie.

Owoż, ile razy
Młodszy z tych samotników czytał te wyrazy
Świętego Pawła: jako dziwne sądy Boże,
Że człek nigdy ich dociec i pojąć nie może;
Zawsze wpadał w myślenie troskliwe...

Wszedł do jego jaskini mąż pielgrzym. Nie owy,
Pustelnik drugi, ale jakiś przybysz nowy.
Pozdrowili się w Panu, a zatem gość rzecze:
«O czemżeś tak zamyślon, troskliwy człowiecze?
Jeślić ta księga trudna? może co objaśnię,
Gdy od Świętego Grobu teraz wracam właśnie.»
Więc tamten mu o słowach Pawła mówić pocznie.
A pielgrzym zaś przyrzeka okazać naocznie
Onych słów prawdę: jako dziwne sądy Boże,
Że człek nigdy ich dociec i pojąć nie może.
«Jedno, mówi, chodź ze mną, miły towarzyszu.»
Tak szli przez puszczę oba.

W głuchem skał zaciszu,
W najdalszej głębi lasów zamkniony od świata,
Ow drugi mąż pustelnik przebył mnogie lata,

Więc marnościom a błędom ziemi oderwana,
Dusza jego, wytchnienie brała w łasce Pana.
Dziś, strawiony robotnik, miał się ku nagrodzie:
Czekając śmierci.

Słońce, niknące w zachodzie,
Jeszcze drzew wierzchy złotem przeglądało okiem,
Gdy mąż święty z swej groty wyszedł drżącym krokiem.
Wnet odśpiewawszy wdzięcznie hymn ku chwale Bożej,
Spoczął na skale, aby użyć chłodu zorzy.

Aż patrząc w rodzinnego miasta swego stronę,
Dopuścił myśli, że szła w miłe lata one,
Gdy jeszcze dziecko drobne, po jego ulicach
Igrał w młodzianków kole, albo przy rodzicach
Biegł, od wszystkich znajomych po drodze witany,
Od ojca napomniony, od matki głaskany...
Więc coraz, coraz żywiej pamięć się w nim budzi
Dawnych miejsc, dawnych czasów, dawnych onych ludzi.
Przypomina ich twarze, ich wzrost, nawet słowo,
I pierwsze ubiory swe, i piosnkę domową,
Tę samą, którą z braćmi śpiewał tyle razy...
I wszystkie, wszystkie one dzieciństwa obrazy
Występują wraz przed nim żywe i kwitnące:
Jak występują po dżdżu wiosennym na słońce
I wnet rolę okryją zboża wprzód posiane,
Przez całą zimę wiernie w ziemi przechowane.
Odtąd, tyle zmian, tyle zdarzeń, tyle czasu!
Mógłżeby jeszcze trafić, wyszedłszy dziś z lasu,
Choć jedną twarz znajomą? Usłyszeć o czynach
Swych przyjaciół, o tylu rzeczach, o rodzinach
Które wtenczas tam żyły? Czy się gdzie wyniosły,
Czy owszem w pokolenia nowe się rozrosły?
Jakże byłby przyjęty?... Ach! jakby mu miło,
Ujrzeć choć raz te miejsca! jakby słodko było!

Tak marzył, i brał przed się pójść jutro z pustyni,
Dowiedzieć się, a wrócić znów do swej jaskini.
Tak marzył — i łokciem się wsparł na mchu pościeli.

Gdy owi dwaj nadeszli, i już go ujrzeli.
Pod skałą przepaść. W koło wieczór się ucisza.
Zaraz pielgrzym spyta się swego towarzysza,
Co by to był za człowiek? A ten mu zaś prawi,
Iż jest mąż święty, który wiek w modlitwie trawi,
A oddawna tu mieszka. Więc pielgrzym mu powie:
«Postójże tu, że ja się zbliżę ku mężowi.»

A skoro się doń zbliżył... zrzucił go ze skały.

I rzekł do towarzysza, który był struchlały:
«Azaż nie widzisz jako dziwne sądy Boże,
Że człek nigdy ich dociec i pojąć nie może?»
Lecz tamten nie miał mowy. Bowiem już od czoła
Pielgrzyma szedł blask wielki: że pielgrzym w Anioła
Zmienił się!

* * *

Powieść idzie dłużej. Lecz nie kładę
Inszych, dziwnych jej zdarzeń. Jedno przydam radę:
Byś, Czytelniku, księgi stare umiłował,
A zrozumieć je dobrej woli nie żałował.
To wziąwszy Mikołaja Reja: w onem dziele*)
Masz tę powieść, i owszem drugich rzeczy wiele.

PAMIĘCI JANA PAWŁA WORONICZA,

Prymasa Polskiego **)

Gdy zagniewanie Pana na lud Jego padło;
Jeruzalem shańbione w perzynach osiadło,
Wiatr rozwiał zacność jego! A idący drogą,
Klaskając nad niem, popiół pomiatując nogą,

*) Żywot człowieka poczciwego.
**) Zmarłego w Wiedniu r. 1829.

«Onoż miasto, wołali, w sławie doskonałe?
Takież wesele, taką odzierżyło chwałę!»

Odrzucił Pan swój ołtarz, przeklął swą świątnicę!
Młodzieńcy jarzmo brali, jęczały dziewice —
Starcy w prochu upadli. Duchem Bożym zdjęty,
Na grobie swej ojczyzny wołał prorok święty:
«Ojce nasi zgrzeszyli, a nas za ich winy
Nakryła hańba! Za nich w pęta idą syny!
Z szerokich włości naszych wiatr tylko i dymy,
Za własną wodę płacić przychodniom musimy.
Cześć naszą, jak zelżoną depczą niewolnicę;
Tyś chciał, Panie, obrałeś nas jako winnicę;
Przecieżeś nie wypuścił wiecznie z Twej opieki,
Niechaj języki wiernych chwalą Cię na wieki!
Zechcesz — jeszcze nam wrogi będą się kłaniały;
Z uniżenia podniesiesz znowu nas do chwały.»

Tak gdy w dziedzinę Piastów grom uderzył zguby;
Gdy tylko w świetnym zgonie szukaliśmy chluby;
Kiedy w gruzy runęła Jeruzalem nasza:
On! wieszcz i kapłan! podniósł płacz Jeremijasza.
Duchem Pańskim zagrzany, od stóp Zbawcy tronu
Zgasłą cześć ojczystego śpiewał nam Syonu.
Cnoty zacnych naddziadów w duszach wnuków szczepił;
Rozbitkom stawił światło, do wytrwania krzepił;
Opuszczonych pocieszał. A niezłomny w wierze,
Przywodząc święte Pana z ojcami przymierze,
Które Bóg ziścił dawnem rodu ich okryciem:
Śmierć obecną, przeszłości wielkiej budził życiem.
Z ufnością błagał Pana, by kościom z mogiły
Powstać kazał, i dawne tchnął w nie życie, siły!*)

Jego głos, nasz upadek i niewolę słodził;
Zmartwychwstaniu ojczyzny jego głos przewodził.
Ledwie nowych nadziei zorze nam zabłysło,
Gdy ojczysty proporzec zaszumiał nad Wisłą:

*) Obacz Woronicza hymn do boga.

Orły nasze, łaknące karmi dawnej chwały,
Z jego rąk przed zwycięscy wozem poleciały.*)
Któż czarną przyszłość w błogiej mógł przewidzieć chwili!
Cóż nam rycerze nasi krwią swoją zdobyli?..
Ranami i zaszczytem ozdobieni sławy,
Cóż przynieśli do domów z swej wędrówki krwawej?...
Rosproszone nadzieje — w duszach żal głęboki —
Marny oklask narodów — wodza swego zwłoki!
Próżno się siłą własną syn prochu wielmoży:
Upadnie, przeciw komu zwrócon palec Boży.

Już stawał kapłan ludu w schyłku swej siwizny!
Starcowi, znękanemu burzami ojczyzny,
Jeszcze jeden cios groził. Od swoich daleki,
Nie na rodzinnej ziemi miał zawrzeć powieki!

Przetrwał najpamiętniejsze narodu koleje;
Widział zgon jego, przeżył zawodne nadzieje,
Najcięższe jego klęski i ofiary liczył,
Witał go, gdy swe imię znowu odziedziczył.
Tak w wiekuistą puszczę, gdy burze uderzą,
Huczą łoskotne gromy, wichry gwałty szerzą,
Lecą złomy, zniszczenie przechodzi w około...
Dąb trwa. Sam na zwaliskach pyszne wznosi czoło;
I nie wprzód grunt zalegnie w stóletniej jesieni,
Aż nowem pasza życiem znów się rozzieleni.

DO ANTONIEGO OLESZCZYŃSKIEGO.

(Wiersz pisany w Paryżu r. 1833.)

Milknie huk, gasną blaski, nikną tłumy w mieście,
Zmęczony dzień w głuszonych wrzawach kona wreszcie.
Zbytek, rospusta, nędza, już we śnie się nurzy:
Wytchnęły bruki. Miasto jak morze po burzy,

*) Kazanie Woronicza przy poświęceniu Orłów polskich r. 1812.

Ciemne i uciszone. Górą Orzeł dumny,
Monarcha wieku czuwa z wieczystej kolumny*).
Dziś przy nim, próżno w koło twe oko się zniża.
Nic, prócz błota — wiecznego mieszkańca Paryża.
W cieniach starej Sorbony czerniących z daleka,
Gdzie miłośnik ludzkości, ale wróg człowieka,
Rousseau, w marzeniach wzniosłej lecz zbłąkanej duszy,
Kreślił niegdyś wewnętrznej dzieje swej katuszy:
W tych murach, gdy już cała uśpiona stolica,
Komuż jeszcze samotna lampa tam przyświeca**)?...

Kunsztmistrzu! Któż twe prace przerwać się ośmieli?
Na przekorę lekarzy twych i przyjacieli,
W starożytności naszych zatopion nauce,
Kradniesz snowi godziny, a niesiesz je sztuce.

Jak ów żeglarz, natchnieniem i wiarą przejęty,
Łamiąc się z wichry, morskie przerzynał odmęty;
To w gwiazdach, to w przepaści czytając swe sądy,
Wierzył, płynął: aż ujrzał spodziewane lądy!
Z taką Ty wytrwałością, w znojach twych uczonych,
To z liter pargaminów rdzą lat wyszczerbionych,
To w kartach pyłem wieków zasklepionej księgi,
Szukasz śladów ojczystej sławy i potęgi.
Badasz — wnet sztuki cudem, życie w dawnych siłach
Zapala się w tysiącznych, nieznanych mogiłach;
I mistrza czarnoksięstwem — za wieków odtokiem,
Duch dawnej Polski jawnie staje przed twem okiem!

Żaden tu rys uwadze twojej nie ubieży.
Poznajesz twarze królów naszych i rycerzy,
Sławnych Ojców ojczyzny! ich obrzędy, szaty,
Publiczne ich przybytki, rodzinne komnaty:

*) Na placu Vendôme kolumna z posągiem Napoleona.

**) Artysta nasz, któremu wiersz niniejszy poświęcony, na pochwałę patrjotycznej jego gorliwości i talentu, oraz na zachęcenie Go do dalszych w swym kunszcie prac narodowych, mieszkał lat kilka w Paryżu, w tym samym domu, w którym niegdyś mieszkał J. J. Rousseau, blisko Sorbony.

Odpychasz czasu koło. Władzą twego dłóta
Cała przeszłość z grobowych zasłon znów rozsuta.
Coraz nowe utwory wyrzucasz z pod dłoni:
Liczby świetnych dzieł twoich rym mój nie dogoni.
To z Dąbrówką zbawienie świętej wiary szerzysz;
To szczerbcem Bolesława w sławną bramę mierzysz;
To psie pole zaścielasz trupy niemieckiemi —
Znów w radnem niesiesz kole prawa własnej ziemi.

Tu Polaków wspaniały dając obraz męstwa,
Czarnieckiego, Sapiehy wystawiasz zwycięstwa,
Więzisz Maksymiljana i moskiewskich carów;
Tam wzywasz hołdowniki do składania darów.
Bądź Litwę łączysz wiecznie z Piastów latorośla,
Bądź Krzyżacy o pokój do nas żebrać poślą.
Czy prowadzisz pod Wiedeń zbawczy bułat Jana,
Czyli sąsiadom szukać każesz w Polsce pana;
Godowe stoły przodków, czy kreślisz ich groby,
Bądź narodu tryumfy, bądź jego żałoby,
I z Kościuszką zaczynasz szereg dziejów nowy:
Oleszczyński! tyś zawsze wzniosły, narodowy.
Już się wiersz mój umęcza i zbytnie rozszerza,
A jeszczem tu nie wspomniał twego Kazimierza*)!

Ty wiesz jakim był kiedyś każdy gród nasz stary,
Nim go Szwedów zniszczyły działa i pożary.
Baszty obronnych Zamków rylec twój odznacza
Na miejscach gdzie dziś chodzą woły już oracza.
Pamiętne gmachy, niegdyś pełne ojców chwały,
Na nowo nam w twych blachach z gruzu wieków wstały.
Nie zatrą polskich dziejów zbójeccy sąsiedzi:
Dla wnuków naszych dzieci ryjesz je na miedzi.
Chluba nam, że Cię widzim w swem gronie, rodaku!
Cześć ci, świetny kunsztmistrzu, przykładny Polaku!

Wpatrzony w twoje cele, idąc ku nim wiernie,
Przenoś wzrokiem — małości i chwilowe ciernie.

*) Wielka i główna blacha Oleszczyńskiego, od dawna zaczęta.

Że nieczułość, lub zawiść drogę ci zabieży,
Czyż przeto dłóto z ręki upuścić należy?
Sztuka, równie jak cnota, sama sobie niebem;
Dla obojga cierpienie powszednim tu chlebem.
Ziemia, w tem tajemnica najwyższej im chwały,
Cierpieniem wynagradza boskie ich zapały.
W niem wielkość. Pan wyświecić chcąc człowieka dolę:
Nie wóz tryumfu wybrał, ale Krzyża bole.

Ty! co nad dary wroga i łask jego mnóstwo,
Dumnie przeniosłeś raczej wygnańca ubóstwo:
Wytrwasz w twej powinności. Przyjdzie chwila błoga,
Kiedy przez cnoty synów, przez wiarę w jej Boga,
Matka nasza, stargawszy pęto co ją krwawi,
Powita nas z pielgrzymki, i pobłogosławi.
Wtenczas! za trudy, których gorliwość twa szuka,
Uwieńczą Cię twe bóstwa: Ojczyzna i Sztuka.
I wezwiem Władysława*), w hołdzie długopomnym,
By rysy twe w medalu przekazał potomnym.

DO SOSNY POLSKIEJ,

znalezionej w jednym z ogrodów w Chatenay.

Gdzie winnice, gdzie wonne pomarańcze rosną,
Domowy mój prostaku, witaj, moja sosno!
Od matek i sióstr twoich oderwana rodu,
Stoisz, sierota, pośród cudzego ogrodu.
Jakże tu miłym jesteś gościem memu oku!
Oboje doświadczamy jednego wyroku.
I mnie także poniosła pielgrzymka daleka;
I mnie na cudzej ziemi czas życia ucieka!..

*) Brat Antoniego Władysław Oleszczyński, znany już rodakom z wykonania pięknego medalu poświęconego Fergussonowi Członkowi Parlamentu Angielskiego, obrońcy sprawy Polskiej.

Czemuż, choć cię starania czułe otoczyły,
Nie rozwinęłaś wzrostu, utraciła siły?..
Masz tu wcześniej i słońce i rosy wiośniane,
Przecież gałąski twoje bledną poschylane:
Więdniesz, usychasz smutna śród kwietnej płaszczyzny
Nie ma dla ciebie życia, bo nie ma ojczyzny!

Drzewo wierne! Nie zniesiesz wygnania tęsknoty.
Jeszcze trochę jesiennej i zimowej słoty,
I padniesz martwe! Obca ziemia cię pogrzebie...
Drzewo moje! Czy będę szczęśliwszym od ciebie!

PIELGRZYM.

Innym pokój, szczęście w domu,
Mnie ogniska, dachu nie ma;
Nie ma ręki podać komu
W obcej ziemi dla pielgrzyma!

Szczęściem! zbiega rok za rokiem,
Jak godzina po godzinie;
Próżno kłócić się z wyrokiem,
Przeszło wczoraj i dziś minie!

Smutny ranek mgłami dymi,
Łąk i gajów skrył widoki:
Prowadź kiju mój pielgrzymi,
Nie dbam, gdzie me zwrócisz kroki!

Kiedy nie między swojemi,
Kiedy w koło obca mowa:
Tułaczowi w cudzej ziemi
Każda droga jednakowa!

MODLITWA.

Kiedy Helijasz, podany gonitwie,
Upadł na puszczy, wołając:
«O dosyć, Panie! Oto już nie mogę;
Weź duszę moją, skończ już moją trwogę!»
Zemdlał boleścią. — Lecz Anioł mu rzecze:
«Jeszcześ nie odbył pracy twej, człowiecze.»
I dał mu pokarm na drogę.

Jeśli i ze mną, niegodnym, o Panie!
Taka jest wola Twoja?... Niech się stanie.
Niechaj Ci jeszcze zły sługa Twój służy:
Tylko umocnij kroki drżące, chore,
Tylko mi zeszlij na pokarm w podróży:
Cierpliwość, miłość, pokorę!

CHMURA.

Nad duszą mędrca zawisł cień Chmury;
Mędrzec jej dymy brał za Niebiosy:
Była to Mądrość.
Wtem promień Wiary przebił ją z góry.
We łzach pokory, jak w kroplach rosy,
Stopniała Chmura.
I poznał wtedy, czem była;
Jakie Słońce przed nim kryła!

OBECNOŚĆ STWÓRCY.

Dla ducha, który chowa blask Twej chwały,
Obecność Twoja we wszystkiem się kreśli.
W stworzeniu światów, w samotnika myśli,

Stwórco! Tyś wszędzie widomy i cały.
Tak słońca oko lśni z niebios przestworza
Tu w kropli, a tam w niezmierności morza.

WIELKOŚĆ.

Tylko myśl wielka wielkie zajmie serce.
Nie wyzwie głosu z spiżowego garła,
Dłoń niedołężna dziecięcia, lub karła;
Lecz gdy w potężny dzwon siła uderzy:
Krzyk jego piersi wstrząsa ściany wieży,
Jak burza leci na kraj jego brzmienie...
Wtedy go słyszy całe pokolenie.

ZMARSZCZKI CZOŁA.

Gdy ujrzysz w brózdy pokrajane pole,
Wiesz, że już oracz lemiesz swój tam wodził.
Gdy ujrzę zmarszczki poryte na czole,
Wiem, że już po niem pług życia przechodził.
Lecz ta uprawa czy nie była marną?
Jakież tam padło, jakie żyje ziarno?..
Czy błędnej myśli rozniecona pychą,
Krnąbrnego serca spali je posusza?
Czy też pokorą nakryła je dusza,
Żywiąc modlitwą, jakby rosą cichą?

KWIATEK.

Usnęło słabe dziecię. Matka, krewni,
Modlą się przy niem, czekają...

Kiedy się zbudzi? Czy pozna gdzie matka?..
Wczoraj z obrasku od Świętego skroni
Co jest nad łóżkiem, naparło się kwiatka;
Dano mu. Dotąd nie puszcza go z dłoni.

Obie się rączki na piersiach mu składły,
Trzymały kwiatek, dawno zwiędły, zbladły...
Wtem patrzą... błysnął, jakby w dniu rozwicia!
Nagle przepłynął przez niego zdrój życia,
Tchnął wonią kwiatek!... Chwilę tylko trwało.
Odkryli dziecię... W tę chwilę skonało.

MĄDROŚĆ.

Szukając światła w ciemni nieprzejrzystej,
W głąb myśli dumna mądrość się zanurza...
Widniejsze słońce w małej kropli czystej,
Niż w oceanie, gdy w nim mieszka burza.

KUNSZTMISTRZ.

W królów pałacu, czy pod nędzy strzechą,
Kunsztmistrz nie pochwał lecz spółczucia żąda...
Podniebny piorun budzi dolin echo,
I górne słońce w falach się przegląda.

DWA WIEKI.

Ku wielkim, górnym celom pełne niosąc życie,
Z litością lub z uśmiechem poglądasz na dziecię.
O! dumny. Gdzież cię wiodą owe górne cele?

W pracach, w troskach gdzież zdążasz? Zbiegło lat niewiele:
Starzec! Dziecię! Jakże to dwa podobne wieki.
Równa ich niemoc, równa potrzeba opieki,
Taż niepamięć na wszystko... Tylko różna pora.
Czem jest dla dziecka jutro, tem dla starca wczora:
Tonem w dali niknącym, zamglonym obrazem,
Jakimś niezrozumiałym, zawiłym wyrazem;
To życie! — Oba wieki mają swe powieści:
Tylko że w bajkach starca już cud się nie mieści;
Że w nich mniej łez, mniej śmiechów; że życie z nich farby
Wyciągnęło jak słota, i wykradło skarby!

I czemże tu jest człowiek w tym bycie przemiennym,
Jeśli się nad proch ziemi nie wyniesie wiarą?..
Oto, jak mówi pismo: gościem jednodziennym,
Posłem przebiegającym, topniejącą parą.

CZŁOWIEK I ZIEMIA.

Z trudnością dziecię wydziera się ziemi,
Walczy z nią... Człowiek tą razą zwycięża,
Powstał, i siłą młodzieńca i męża
Zdeptał ją, pobiegł krokami prędkiemi.
Przeszło chwil kilka. W końcu krótkiej drogi,
Wlecze się starzec omdlałemi nogi,
Ledwo oderwie stopę, sił już nie ma...
Zwycięża ziemia: chwyta, ciągnie — wstrzyma.

SPOJRZENIE UMIERAJĄCEGO.

Na ten świat ludzie nie patrzą tym wzrokiem:
O! już świat inszy jest przed jego okiem.
Dusza już Pana swojego postrzegła,

Spieszy się, cała w źrenice przybiegła.
Rzekłbyś że Ojca ma przywitać dziecię,
Biegnie do okna, przyśpieszyć przybycie.

MYŚL I MORZE.

Zuchwałych uczuć miotana nierządem,
Myśl, gdy wytęży wszystkich sił swych gromy:
Uderza w Stwórcę, sądzi Go swym sądem,
Chwila... A zburzy stworzenia ogromy...
Widziałem morza roshukane tonie,
Jak lwy rozbiegłe, bujały bałwany:
Oto wnet buchnie, porwie niebios ściany,
I dzieło światów w głębiach swych pochłonie...
Pędzi... Od brzegów spadło wypienione:
Tylko ciemniejsze, straszniejsze, zmęczone.

SĘDZIOWIE.

Przeleciało dwóch ptaków. Drób swojski ich śledzi:
Chce się tem bawić, sądzić kto kogo wyprzedzi.
Wkrótce, gdy oba, jakby dwie gwiazdy w przestrzeni,
Nad lasy, wieże, chmury, ku słońcu lecieli:
Sędziowie chcieli sądzić... lecz już nie widzieli.
Kunsztmistrza kunsztmistrz tylko zrozumie, oceni.

ZIARNO.

Jak nie roskwitnie i nie zrodzi ziarno,
Chociaż żyzniącej rosy się napije,
Chociaż je słońca promienie ogarną:

Póki się w głębię ziemi nie zaryje;
I by strzeliło pięknym na świat kwiatem,
W grobową ciszę skrywa się przed światem.
Tak myśl człowieka, ziarno tylu cudów,
W którem niezmierny świat jest utajony;
Pomimo badań i nauki trudów,
Tylko w milczeniu przyjmie się, ożyje,
I wyda plony.

BITWA NAD LORĄ.

I.

Cudzoziemca synu dziki,
Coś zamieszkał tę jaskinię*)!
Słyszę jak mruczą strumyki,
Jak szum drzew na wiatrach płynie...

Lecz nieraz z odgłosy temi
Chwytam twe tony omdlałe.
Czy rycerzów swojej ziemi,
Czy swych Bogów śpiewasz chwałę?..

O! mieszkańcze smutnej skały!
Patrz gdzie Lora źródło bierze:
Wojenne głosy ustały,
Posnęli w prochu rycerze.

W koło grobowe pieczary!
Tak czas z mocy ludzkiej szydzi...
Ale już Ossijan stary,
Ludzi ni grobów nie widzi!...

*) Poemat ten, ułożony dla jednego z pierwotnych pustelników chrześcijańskich.

Jeśli, synu dzikiej skały,
Lubi pieśni ucho twoje:
Słuchaj. Świadek dawnej chwały,
Będę śpiewał dawne boje.

* * *

Dawno umilkł odgłos wojny.
Tak piorunu echo ginie,
Gdy słońca promień spokojny
Złoci kwiaty po dolinie.
Ale ten dzień tryumfu dusza ma pamięta,
Kiedy z Ullinu w Konie stanęły okręta.
Spuszczone żagle, cicho u masztów wisiały,
Po za lasy Morwenu wiatry poleciały.
Uroczysta pieśń bardów w polu rozlegała:
Swaran był zwyciężony — przy Fingalu chwała!

Wszyscy wodzowie króla na ucztę sproszeni:
Lecz Aldo i Maronan jedni zapomnieni.
Widzieliśmy jak włócznie pod nogi cisnęli,
Jak mówili do siebie, a gniew ukryć chcieli.
Właśnie w pogodzie nieba, po nad wody wieczne,
Dwie mgły czarne tak staną do czasu bespieczne.

«Płyńmy, Aldo, z tej ziemi! — Maronan zawoła —
Dla nich cześć, dla nich łaski, i uczta wesoła,
Nas tylko odrzucają, jak dzieci od mężów,
Jak niegodnych przybyszów bez dzieł, bez orężów.
Opuśćmy ród niewdzięczny! Niechaj nam kraj drugi
Lepiej nagrodzi męstwo i nasze posługi.»

Wnet przez wodę Lumaru pędzi ich wiatr skory,
I wchodzą do pałacu przodków króla Sory.
Wracał on wtedy z łowów. Włócznia krwią oblana,
Oczy w ziemię patrzące, i twarz zadumana.

Cudzoziemców na ucztę wspaniałą zaprosił.
A kiedy krwią najezdnik pola jego rosił,

Widział jak dwaj rycerze na wojsk jego czele
Walczyli, a pierzchali wnet nieprzyjaciele.

Powraca z bojów Aldo, wygraną wsławiony;
Przyszedł do Lormy, pięknej Erragona żony.
Po śnieżnych barkach, włosów spadały pierścienie,
W łzawem jej oku tlały miłości promienie;
Na śliczne lica róża wystąpiła świeża,
A pierś to się wypełnia, to pełna się zniża.
Tak śnieg, kiedy wiosenny powiew się zakrada,
Podnosi się ku słońcu, i miękko opada.
W ciche miejsca pałacu ukryć łzy pośpiesza,
Tam na białem ramieniu smutnie głowę zwiesza.
Trzy dni żyła samotna w głuchych salach męża,
Płakała... Aldo przy niej. Miłość ją zwycięża —
Opuszcza pałac Sory, i w Morwenu stronę
Gość niewdzięczny uwodzi Erragona żonę.

«Dumny Aldo! — wzruszonym głosem Fingal rzecze —
Czyż król Sory schronienia twego nie dociecze?
W którejże odtąd stronie, który król uwierzy
Że jest wdzięczność, jest wiara śród moich rycerzy?
Zuchwalcze! życie Lormy skłóciłeś spokojne,
Nam przynosisz niesłuszną z Erragonem wojnę.

«Wielki cieniu Trenmora! W jakiejże więc porze
Bespieczny, i w pokoju, ciężką zbroję złożę!
Cały wiek swój spędziłem śród pobojowiska,
Jeszcze walczę, chociaż już starość mię uciska...
Widzę jak straszna burza w przyszłości się sunie!
Morwenie! mnie nie będzie, i pałac mój runie...
Gdy na mogile mojej zejdzie mech spokojny,
Kiedy już dzieci moje pomrą w polach wojny:
Odrodne pokolenie przyjdzie tu w te strony...
Będą wołać: gdzie Fingal, Fingal niezwalczony!..
Nikczemnik, jak sny słyszeć dzieła moje będzie,
Ale na grobach starych sława ma usiędzie.»

Tymczasem już zgromadził Erragon rycerzy.
Tak nad szczytem Morwenu, gdy chmura się szerzy,
Gdy przed światłem księżyca mgły zasuną wzgórze,
Duch nocy przywołuje posłuszne mu burze.
Król Sory z hufcem mężów już na brzegu Kony;
Do Fingala w poselstwie starzec wyprawiony:
Niech wystąpi z pałacu na wojenne znoje,
Lub niech Erragonowi kraj odda i zbroję.
Młódź Morwenu pobiegła z łukami na łowy,
Zagnała się za zwierzem w dalekie parowy.
Fingal siedział na sali, schylił stare czoło,
Towarzysze młodości stali na około;
Zima wieku już dużo siły im ujęła.
Przypominali sobie swe rycerskie dzieła...
Aż od strony, skąd toczy jasne wody Lora,
Widzą z wzniesioną włócznią wiernego Namora.
«Nie czas teraz — zawoła — dawne prawić dzieje;
Erragon już na brzegu, wnet krew się poleje!»

— «Wie Erragon — król odrzekł — nie straszą nas boje.
Ale mu poszlę w darze te rumaki moje
Któreśmy z południowej przywiedli równiny.
Pośpiesz z niemi przy boku urodnej Bosminy.
Ty idź, córko Fingala; spraw, Bosmino młoda,
Iżby bez krwi rozlewu powróciła zgoda.
Niech waleczny król Sory w sale ocienione
Przyjdzie na ucztę; Aldo oddaje mu żonę.
Nasi młodzi rycerze pognali się w lasy,
A nas starość obarcza... Inne przyszły czasy!»

Jak pośród cieniów nocy staje ranna zorza,
Pośród wojsk króla Sory tak Bosmina hoża.
W prawej ręce wzniesiona lśniła złotem strzała,
W lewej przecudną czarę posłanka trzymała:
Miłość była w spojrzeniu, roskosz u jej łona.
Wyjaśnia się ponure czoło Erragona.
Tak skała, kiedy wiatry przedrą chmur sklepienie,
Rozświeca się, a słońca biją nań promienie.

«Cudzoziemcze! — mówiła dziewica zmięszana —
Pokój niosę rycerzom od Morwenu pana.
Moim cię głosem Fingal w sale ocienione
Prosi na ucztę — Aldo oddaje ci żonę.
Królu Sory! niech zgoda panuje szczęśliwa,
Niech żelazo przy boku mężnych odpoczywa.
Jeśli ponieść bogactwa w swoje pragniesz kraje,
Nie gardź okupem który Aldo chętnie daje.
Przyjm, królu, sto rumaków do boju ćwiczonych,
Sto młodych cudzoziemek wdzięcznie utrefionych,
Sto przepasek, z nich każda dla żon przeznaczona,
Przyśpieszy urodzenie i boleść pokona.
Dwanaście czar kosztownych, każda cudnie rżnięta,
Jeśli zechcesz, ozdobią w Sorze twoje święta.
Przy ich gwiaździstych brzegach woda wkoło drżąca,
Zdaje się drogim trunkiem, jak wino świecąca.
Fingal broni przyjaciół, i wrogów zwycięża,
Ale umie szanować walecznego męża.»

Stał Erragon; już oko pod brew gęstą schował.
«Próżno — odpowie — Fingal ucztę przygotował;
Nie uczty, lecz zwycięstwa szukają rycerze.
Niech mi odda swych przodków dzidy i puklerze.
Gdy do Sory wędrownik przyjdzie kiedy zdala,
Niech dzieci moje mówią: oto broń Fingala!»

— «Choć do Sory wędrownik przyjdzie kiedy zdala,
Nie powiedzą twe dzieci żeś wziął broń Fingala.
Czy widzisz — rzecze córka — jako mgła się szerzy?
Cudzoziemcze, tyś sprawcą zguby twych rycerzy.

I spieszy kędy na nią grono starców czeka.
Fingal gniewem wzruszony, zemsty nie odwleka.
Powstał nagle, na czoło zrzucił się włos biały.
Już głowę w hełm przyodział, piersi pancerz wdziały,
Aż gdy dzielną prawicą za włócznię porywa,
Biały obłok w powietrzu nagle przelatywa...
Ujrzeli cień Trenmora! Rosnące w nich męstwo
Wrogom zgubę rokuje, im pewne zwycięstwo.

Spieszą starcy do boju. Na zgrzybiałej twarzy
Jeszcze ogień młodości i męstwa się żarzy.

Aż przy grobie Tratala, z lasów wracające
Wyszły z otwartą paszczą ogary dyszące.
Postrzegł je Fingal, stanął: i zaraz za niemi
Oskar z Gaulem najpierwsi idą, po nich Nemi;
Ponury Fergus, Dermid, ochoczy na boje,
Szedł, wiatrom rospuściwszy czarne kosy swoje.
Uderza Fingal w tarczę. Za króla roskazem
Tysiąc dzid podniesionych zabłysnęło razem;
I zaraz wzniósł się oręż na przeciwnym brzegu.
Spieszymy silnym krokiem w ściśniętym szeregu.
Tak swe łoże rzuciwszy, gór potok wezbrany,
Pędzi wywalać puszcze i zatapiać łany.
Fingal na wzgórzu sztandar Morwenu rozwinął.
Zwarły się srogie szyki. Mąż po mężu ginął.
Patrzą starcy z radością jak dzielne ich syny
Krótkie życie na wieczne mieniają wawrzyny.
Wyszedł gniewny Erragon. Śmierć mu z oczu biła;
Straszna, nieprzemożona ręki jego siła.
Przebiega pole trupów — a ofiar niesyty,
Zemsty pełen, krwi pragnie, cały krwią okryty.
Któryż z nim śmiał się mierzyć?.. W tarczę bije tarcza,
Zbroja ledwo pod razy strasznemi wystarcza;
Odskoczą, znów przypadną, pierś z piersią się zetrze,
Krzyk mężów, łoskot stali, zalega powietrze...
Lecz młody wojowniku, krew twa ziemię broczy;
Płacz Lormo! Na sen wieczny Aldo zamknął oczy!

Wzniósł potężny miecz Fingal.. Ale już w tej porze
Zwarł się Gaul z Erragonem. Któż powiedzieć może
Walkę tych bohatyrów? Król Sory się chwieje,
Upada; krew się czarna z boku jego leje.
«Stójcie! — zawoła Fingal — Oszczędzajcie życie!
Wielkim był, na którego zgon teraz patrzycie.
Jak bohater zwyciężał, jak bohater ginie...
Dzieci Morwenu, ileż w Sorze łez popłynie!

Wędrownik do pałacu przyjdzie zadumany,
Ponura cichość smutne obsiądzie w nim ściany.
Nie znajdzie Erragona. Zgaśnie Sory chwała,
Jak radość, która uczty jego ożywiała.
Może kiedy w obłoku cień się tam przeminie,
Lecz grób jego porośnie tu w cudzej krainie!»

Tak mówił do nas Fingal. Noc wzgórza ocienia,
Nasi bardowie wznieśli tryumfalne pienia.
Krwawego Erragona złożyliśmy w grobie,
Ja hymny pogrzebowe śpiewałem w żałobie.
W północ cień wojownika wyszedł na obłoku,
Krew mu z rany płynęła, żałość była w oku.
Wtenczas się z nami żegnał! Spoczywaj w pokoju,
Królu Sory! Twe ramię straszne było w boju.

Smutna Lorma na wzgórza piękne oczy zwraca:
Tlały za chmurą gwiazdy — Aldo nie powraca.
«Świeci się woda jezior, zszedł księżyc na niebie,
Któż, myśliwcze kochany, mógł tam wstrzymać ciebie?
Czyś za zwierzem w odległe zapędził się knieje?
W jakiejże stronie wietrzyk przy twych kosach wieje?»

Jeszcze smutna na wzgórza piękne oczy zwraca:
Lecą z za lasów wiatry, Aldo nie powraca...
Aż od strony skąd mniema ujrzeć jego ślady,
Po nad skałę cień męża przesunął się blady.
Patrzy Lorma... Skrwawiony miał jeszcze miecz w dłoni!.
Biegnie z bramy pałacu i za cieniem goni.
Słychać było jej jęki. Tak odgłos wietrzyka
Lecącego przez wrzosy, w oddaleniu znika...

Spojrzyj w bok tej jaskini: dojrzysz grób jej w dali.
Bardowie jej nieszczęścia długo opiewali.
I co rok, gdy jesienne przyjdą mgliste chwile,
Córki Morwenu płaczą przy Lormy mogile.

* * *

Koście rycerzów się bielą,
Cudzoziemcze, przy twej skale —
Śpiewaj czasem o ich chwale,
Niech się ich duchy weselą.

Gdy gwiazdy będą na niebie,
Z cichym promieniem księżyca
Co twą jaskinię oświeca,
Niech zejdzie Lorma do ciebie.

Ujrzysz ją w lekkim obłoku,
Na piersiach blada zasłona —
Lecz Lorma niepocieszona,
Zawsze łza błyszczy w jej oku!

II.

KROTAR.

MALWINA.

Wiatr rozdarł blady obłok, pierzchnęła z nim mara,
Lecz poznałam głos luby, głos to był Oskara!
Gdzie nad pałac powietrzny ta chmura się wspina,
Sam jesteś, drogi cieniu! Tu sama Malwina!
O! wiatry, czemużeście z jeziora wzleciały!
Waszemi skrzydły bite, sosny zajęczały,
Skrył się w niebieskie sale cień kochanka miły.
Szaty jego powietrzne zlekka się chyliły,
Mgliste ich frędzle, światłem księżyca dotknione,
Jak srebro cudzoziemca lśniły, rospuszczone.
Grób twój porósł. Nie jesteś jednak zapomniany —
Żyjesz w sercu Malwiny, Oskarze kochany.
Czy jutrzenka rospuści złoty włos po niebie,
Czy wieczór zlewa rosy, zawsze wołam ciebie!
Niegdyś, szczęsna kochanka, pod lubem twem okiem
Kwitnęłam, jako młode drzewko nad potokiem;

Aleś ty mię odstąpił! Ty w chmurne podwoje
Uniosłeś z sobą radość i nadzieje moje.
I choć słońce znów wschodzi, znów wody pozłaca:
Wraca się wiosna — szczęście moje nie powraca!

Błądzę w ponurych salach tęskna i milcząca!
Nie utulisz mych żalów, arfo słodko brzmiąca.
Ni wasza tkliwa przyjaźń, szczęśliwe dziewice,
Nie potrafi osuszyć z łez Malwiny lice.
Alboż nie pamiętacie Malwiny kochanka?
Piękny, jak pierwszy promień złotego poranka.

OSSIJAN.

O córko! Mile głos twój ucho moje pieści.
Ale czemuż twe słowa tak pełne boleści!
Smutek ma swoje wdzięki; lecz żałość żywiona,
Spali serce, i prędko dni twoich dokona.
I mnie żal wielu rzeczy! Żal rycerzy sławnych,
Niegdyś mych towarzyszy — żal lat moich dawnych!

* * *

Kędy w kraju kwitnącym, nad Kromy wodami,
Siada orzeł na skale, pomiędzy świerkami
Wznoszą się grube wieże pałacu Krotara.
Krotar, stary bohater — sława jego stara.
W obronie przyjaciela Fingal mię wysyła:
Rozwijam żagle, płynę. Lasy noc już kryła,
Kiedy w progi Krotara z rycerzami wchodzę.
Starzec przy zbroi ojców siedział na podłodze;
Nucił omdlałym głosem czasy przeszłej chwały:
Oczy zgasłe, twarz bladą włos narzucał biały.
Powstał Krotar z westchnieniem na chrzęst naszej broni;
Przyciska mię do piersi, i łzy rzewne roni...
«Ossijanie! — zawołał — Gdzież te lata moje,
Kiedy z Fingalem bratem toczyliśmy boje!
Kochał mię mężny Fingal, i ja go kochałem...
Mój synu! Tyś był wtenczas jeszcze dzieckiem małem,

Ty nie musisz pamiętać jak przez sławne męstwo
Odnieśliśmy z twym ojcem nad Strutą zwycięstwo.
Nie zawszem był jak dzisiaj stary i bez siły,
I dla mnie dni szczęśliwsze, dni tryumfu były!
Długo twój ojciec w bojach z Kaltarem się ważył,
Zwyciężył — zbroją jego męstwo me obdarzył.
Zobacz, jest na tej ścianie. Rzeźbę rdza już tłoczy.
Ja ślepy! Już jej dawno nie widzą me oczy!...
Niech nam przy uczcie pienie bardów towarzyszy;
Ucho moje z roskoszą dawne czasy słyszy.
Przyjaciele! niech wstąpi śród nas radość szczera:
Sławnego dziś u siebie mamy bohatera.»

Przygotowano ucztę — i zabrzmiały pienia.
Ale ta głośna radość ledwo że ocienia
Smutek, który się zdawał w głębi dusz ich ciężyć.
Tak właśnie promyk gwiazdy nie może zwyciężyć
Chmury czarnej, i światła przez nią nie przeciska,
I ledwo bladym brzaskiem brzegi jej połyska.
Podniósł znowu głos Krotar. Ale częste jęki
Zdradzały boleść jego i wewnętrzne męki.
«Dopókąd nie upadły zgryzot na mnie roje,
Inszym ja był, i insze były uczty moje.
Dziecię Fingala! — mówił — Wprzód z cudzoziemcami
Cieszyłem się: lecz wprzódy był tu syn mój z nami.
Dziś go nie ma! Za ojca starego on zginął.
Strumień młodych dni jego zbyt rychło upłynął!..
Bez litości na wiek mój, z Tromli Rotmar dziki,
Wydał mi wojnę, przywiódł liczne wojowniki.
Złością tą oburzony, przyodziałem zbroję...
Lecz nędzny, cóż ja mogłem w smutne lata moje!
Niepożyteczny drugim, sam sobie niemiły...
Bez celu po pałacu kroki me błądziły.
Syn mój powracał z łowów. Jeszcze dziecko prawie,
Nie występował dotąd na żadnej wyprawie.
Widział moje błądzące po pałacu kroki,
Widział łzy swego ojca i smutek głęboki...
Usłyszałem jak wzdychał. «Ojcze mój, powiada,

Czemuż tak czarny smutek czoło twe obsiada?
Czyż dla tegoś tak smutny, dla tego łzy ronił,
Że nie masz we mnie syna któryby cię bronił?..
Ojcze! już ja się nie dam tak łatwo zwyciężyć;
Czuję, że już potrafię łuk silnie naprężyć.
Pozwól mi, niech nauczę pysznego Rotmara,
Że ma jeszcze obrońców twoja głowa stara.
Za kraj, za ciebie, ojcze, powiedzie mię chwała;
Młodym, lecz serce moje ogniem męstwa pała.»
«Pójdziesz, odpowiedziałem. Lecz niech starsi męże
Pewniejsze niosą wrogom przed tobą oręże;
Przez nich, jeśli zwycięscą do ojca nie wrócisz,
Przynajmniej nas przedwczesnym zgonem nie zasmucisz.»
«Leci, walczy — i ginie!... Kraju niszczyciele
Chcą jeszcze mojej śmierci. Rotmar na ich czele.»

— «Toż nam nie teraz pora wczasować w pokoju:
Nieprzyjaciel przed nami! Rycerze, do boju!»
Rzekłem, i każdy z moich wnet za oręż chwyci.
Spieszymy i noc całą idziem mgłą okryci.
Aż przerżnięta strumieniem, posiana krzewami,
Ze świtem się dolina odkrywa przed nami.
Po broni poznajemy Rotmara rycerzy,
Wznosim dzidy, wpadamy — i walka się szerzy.
Zapełniają dolinę konających krzyki,
Przy nas chwała; z mej ręki poległ Rotmar dziki.
I nim ściągnęło z nieba słońce jasność swoję,
Przyniosłem Krotarowi świetną jego zbroję.
Brał ją starzec w swe ręce, i długo ją trzymał,
Jak gdyby się tak sławną zdobyczą nadymał.

Gdy w ponurem milczeniu, wolne mierząc kroki,
Nieśli smutni rycerze Fowar Gorma*) zwłoki:
Ja nad zgonem młodziana opiewałem żale.
Ojciec jego był z nami, lecz nie płakał wcale —
Szukał rany po ciele ostygłem dziecięcia,
Znalazł ją, i tak do mnie mówił śród objęcia:

*) Syna Krotara.

«Winszuj mi, Ossijanie! Syn mój poległ z chwałą!
Nie uciekał; patrz, w piersi przeszyty był strzałą.
Szczęśliwi! którzy giną w wieku swego kwiecie,
Kiedy sława roznosi dzieła ich po świecie!
Człowiek słaby i podły nie powie z litością
Że gnuśnieją w swych domach, gnębieni starością.
I dziewice za nimi łzy żałości leją —
I w późnych jeszcze pieśniach jak gwiazdy jaśnieją.
Lecz starcy, codzień nikną. I widzą w obydzie
Jak ich młodości chwała w zapomnienie idzie!
Upadają nieznani; nie ma nawet komu
Odprowadzić ich ze łzą do wiecznego domu.
Zgon ich radość otacza. A na ich kamieniu,
Który miałby ich pamięć wydrzeć zapomnieniu,
Porosną mech i zioła, i nikt ich nie zerwie —
I nikt nad nim milczenia westchnieniem nie przerwie!»

III.

MINWANA.

Wesoło suwa okręt przez spienione wały,
Piękna Minwana z drżeniem patrzy nań ze skały.
Poznaje naszych młodych rycerzy płynących,
Świetną bronią i wiosną wieku jaśniejących.
«Ryno! gdzież jesteś — woła — Ryno ukochany!
Czyż nie znasz, zapomniałeś już głosu Minwany?»

Łzą zmyte nasze oczy, nasz smutek ponury
Dały jej prędko poznać że już po nad chmury
Wzleciał cień jej kochanka — że tylko z wietrzykiem
Głos jego brzmiał na wzgórkach pod gwiazdy promykiem.
«O! przewódzco rycerzów, dolin naszych synu!
Więc upadłeś na polach zielonych Ullinu!
Gdzież jest łuk twój, gdzie tarcza twa niezmocowana,
Gdzie włócznia, twój towarzysz, w pieśniach rozsławiana?

1/2 80-
161284
2/1145

Ach postrzegam! Tak że mi ta powraca zbroja?
Porzucona na okręt, a na niej krew twoja!
Toż dawni przyjaciele nie chcieli przy tobie
Zostawić ci twej broni w twym samotnym grobie!

«Jutrzenko! kiedy przyjdziesz wołać u mogiły:
Powstań młody rycerzu, powstań Ryno miły,
Brzmią już myśliwskie echa zieloną doliną,
Przebudź się na głos echa, biegnij i ty, Ryno!
Wróć się piękna jutrzenko, nie wołaj daremno:
Nie wstanie on z strzelcami, ni z ojcem, ni ze mną.
Pod ziemią go trzymają wiecznej nocy cienie,
A na mogile jego pasą się jelenie...

Ale ja, opuszczona, nieznana nikomu,
Przyjdę, mężu, za tobą do twojego domu.
Młode me towarzyszki, przyjaźnią wiedzione,
Szukając moich śladów, trafią w naszą stronę,
I będą śpiewać czule i wołać mię wszędzie,
Będą śpiewać i wołać... lecz mnie już nie będzie.
Ryno mój! Ja już wtenczas, szczęśliwa przy tobie,
Snem głuchym, nieprzespanym będę spała w grobie!»

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Nr 509795
Inwentarz Główny
w Białymstoku

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

509775
SZ
kol. z biblioteki
RiW Śliwowskich

Książnica Podlaska
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku
KP-BG-0517807